Kiedy odnalezione ludzkie kości przenoszą nas w czasie, zaczyna się śmiertelna gra

# SZKIELET

Janusz Mika

OFICYNKA
WYDAWNICTWO

# SZKIELET

Janusz Mika

OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Janusz Mika, Gdańsk 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Książka ani jej część nie może być przedrukowywana
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2023

Opracowanie redakcyjne: zespół
Skład: Dariusz Piskulak
Projekt okładki: Anna Damasiewicz
Zdjęcie na okładce: © tatui suwat | shutterstock.com

ISBN 978-83-67875-48-6

OFICYNKA
WYDAWNICTWO

www.oficynka.pl
e-mail:oficynka@oficynka.pl

*Ani, Szymkowi*

*Zemsta to potrawa,*
*która smakuje najlepiej,*
*kiedy jest zimna.*

Mario Puzo,
*Ojciec chrzestny*

# Intro

Dzielnica budziła się do życia. Ludzie przemykali pojedynczo pomiędzy sklepami, robiąc poranne zakupy. Niektórzy – zwyczajowo – wybierali plac Nowowiejski, na którym więcej już było budek niż straganów, a samochody dostawcze objeżdżały go wokoło, szukając najlepszego miejsca do wyładunku dóbr przywiezionych z podkrakowskich wsi.

Sprzedawcy witali się hałaśliwie, znali się przecież od lat, złączeni wspólnym, handlowym losem i wspólnym miejscem pracy.

Kwiaciarze, warzywnicy, pan od jajek, panie z kiosku rybnego, bliźniacy z dwóch bliźniaczych budek spożywczych usytuowanych naprzeciw siebie, tak aby można było na chwilę wyskoczyć do toalety lub na plotki, pozostawiając interes pod czujnym okiem brata.

Krótkie dialogi dotyczące pogody, polityki, rozgrywek piłkarskich, okraszone wpisanym w konwencję szyderstwem, poparte wszechwiedzą internetu lub telewizora. Wielki świat był niedostępnym, nie do końca chcianym luksusem, oglądanym często na ekranie, ale bez intencji współuczestniczenia w nim, a jedynie zjadliwego komentarza określającego stosunek do obcego, w gruncie rzeczy, eleganckiego chłamu, blichtru kuszącego słabych i głupich.

Prawdziwe życie było tu i teraz. I tyle z niego pożytku, co wydrapiesz własnymi pazurami, co wywalczysz w nierównej wojnie w fiskusem. Trzeba zapierdalać, ile się da, ile sił w rękach, dopóki zdrowie jako takie, choć od noszenia worków z ziemniakami boli kręgosłup, choć dzień do dnia podobny, a w domu czeka nowa robota.

Niektórzy zostawali na placu do późnej nocy, zamykając uprzednio swoje budki, aby uchlać się porządnie z miejscowymi, co

to zawsze bez kasy, ale na smakach. No, taka integracja za własne, ciężko zarobione pieniądze.

Tym razem od rana mówiło się o planach zabudowy placu. Wszechwładza, wszędobylskość i przedsiębiorczość deweloperów były dla nich czymś niepojętym, zaś mechanizmy tworzące organizm urbanistyczny miasta i jego poszczególnych dzielnic – kompletnie niezrozumiałe.

Istotne było tylko to, żeby plac pozostał placem. Nie byli „stąd", ale zżyli się już z nim, przyzwyczaili, przyjęli rytuały codziennego uiszczania handlowych opłat.

Przecznicę dalej rozpoczęto budowę nowego apartamentowca. Gwar placu gasł w jazgocie maszyn budowlanych, nawoływań robotników i wielu industrialnych odgłosów towarzyszących wznoszeniu wypasionego ponad miarę budynku, który stanie na rogu Lea i alei Kijowskiej.

Było przed dziesiątą, kiedy brygadzista Andrzej Benet, zwany przez kolegów Gordonem, usłyszał od strony wykopu głośny okrzyk jednego z robotników: „Panie majster, chodź pan, tu coś jest!".

Niechętnie podniósł się z ławki ustawionej tyłem do słońca i ruszył w stronę ziemnego dołu, nad którym tłoczyło się kilkunastu budowlańców. W głowie szumiały mu jeszcze pieniste litry wypitego w znanej hipsterni pysznego, kraftowego piwa. W takich wypadkach najchętniej tworzył krótkie formy literackie. Gordon pisał wiersze o mocnym ładunku emocjonalnym i egzystencjalnym. Przez całe lata nie pokazywał ich nikomu, raz może jednej koleżance, która wydała mu się wtedy osobą wrażliwą, więc godną poznania krótkich, dosadnych w treści i buntowniczych w przesłaniu utworów, będących nieraz jak niemy *Krzyk* Muncha, kiedy indziej jak dynamiczny numer *White Riot* The Clash.

Życie było złe, więc i on był zły na życie. Wszystko albo nic i zero kompromisu, lecz wejście w tryby, aby móc po robocie spokojnie napić się piwa, posłuchać ulubionej muzy na dobrym, cierpliwie kompletowanym i zamawianym sprzęcie, niosło za sobą przymus koegzystencji.

Prozą życia pozostawała praca. Niby monotonna, ale czasem potrafiła zaskoczyć.

– Co tam macie? – uciszył dyskutantów i spojrzał w dół. Na dnie wykopu zauważył wyraźny zarys ludzkiej czaszki.

# 1

Kozetka była twarda i Kornel od razu zaczął się wiercić. I bez tego czuł pewien dyskomfort, choć niski, kojący ton głosu Ingrid był przyjemnym doznaniem słuchowym. Umiejętnie zadawane pytania otwierały go w nowy, nieznany sposób. Ostatecznie, przez ponad pięćdziesiąt lat nigdy nie zdecydował się na wizytę u psychoanalityka. Dlaczego tym razem? Nie potrafił znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Może dlatego, że czuł potrzebę zmian, a może dlatego, że te zmiany zachodziły bez jego udziału?

Nikt nie pytał, czy może odejść z Kornelowego życia, aby wybrać – jak Natalia – studia i pracę w Berlinie lub – jak kilku kolegów – świat, o którym nic nie wiemy i niczego się nie dowiemy, dopóki…

Wspomniał ponury żart, którego współautorką była jego własna córka. Dokładnie rok temu (zapamięta ten dzień do końca życia) ktoś (do dziś nie wie, kim był rozmówca) powiadomił go telefonicznie, że Natalia zniknęła. Niemieckie, wypowiadane szybko zdania; zawierające nieuchronną semantykę słowo *Entführung* (porwanie); ton głosu znamionujący strach i napięcie…

Rzucił wszystko i już sprawdzał najbliższe połączenia do Berlina, kiedy tknięta miłosierdziem (?), litością (?), obawą przed konsekwencjami (?) Natalia zadzwoniła i wyjaśniła ze śmiechem, kryjącym zapewne spore napięcie, że to był kawał, może głupi, ale tylko kawał, i że bardzo przeprasza, ale trzeci dzień imprezują i nagle taki pomysł…

W pewnym momencie przestał jej słuchać. Serce nadal waliło jak młotem, skronie pulsowały i Kornel pomyślał wtedy, że jest to najlepszy sposób, aby go zabić. W oczach stanęły łzy, a kciuk prawej dłoni bezwiednie przesunął się po ekranie, przerywając monolog jedynaczki.

Dzwoniła potem kilka razy, ale nie odbierał. Cierpiąc podwójnie, zostawił telefon w domu w dniu swoich urodzin (przypuszczał, że Natka będzie chciała przy okazji życzeń zakopać topór wojenny) i poszedł do znajomych, aby porządnie się upić i zapomnieć.

Mógł – jak uczyniłaby zapewne w podobnej sytuacji jego eksżona Renata – zaatakować gówniarę i zapytać, czy matce wycięłaby podobny numer. Odczytywał to jednak jako wyraz słabości, wolał więc uparcie milczeć i cierpieć. Do tego się przyzwyczaił i, mimo dyskomfortu, czuł się w tym stanie stabilnie i bezpiecznie.

Dwanaście nieodebranych połączeń było ostatnim widomym znakiem obecności córki w jego życiu. Potem nie odezwała się już, a sytuacja stała się patowa. Obie strony chowały w sobie uraz, ambicjonalną zadrę, ale czas działał na korzyść Natalii. Rączy czuł, że któregoś dnia wreszcie się złamie, by przerwać to absurdalne milczenie i usłyszeć jej głos.

W gabinecie unosił się przyjemny aromat, ale Rączy nie potrafił skojarzyć zapachu. Czyżby aromaterapia była elementem spotkań?

– Możemy zaczynać? – Ingrid zsunęła okulary na koniec nosa, co sprawiło, że wyglądała jeszcze bardziej seksownie.

Rączy potwierdził gotowość zdecydowanym ruchem głowy.

– Czy korzystał pan kiedyś z pomocy psychologa?

– Dotychczas nie było takiej potrzeby.

– Czy przyjmuje pan jakieś leki?

– Staram się ich unikać. Sporadycznie zażywam środki przeciwbólowe.

Wstała z krzesła. Teraz prezentowała się w całej krasie. Kornel zwrócił uwagę na wydatny, kształtny biust i miękki, koci sposób poruszania się. „Kwintesencja kobiecości" – przemknęło mu przez głowę, ale szybko przywołał się do porządku, gotowy na dalsze pytania.

– Jak wspomina pan czasy szkolne?

– To był ciekawy okres. Poznałem wielu ludzi, z którymi utrzymuję kontakt do dzisiaj. Wiele się wtedy nauczyłem. Niekoniecznie w murach szkoły – uśmiechnął się pod nosem. – Poza tym komuna, stan wojenny, a z drugiej strony koncerty, muzyka. To

było dla mnie ważne. No i sporo książek czytałem, także tych zakazanych.

– Czy miał pan dużo przyjaciół?

– Można by tak powiedzieć, ale nie każdego można nazwać przyjacielem. Ten, którego w pierwszej kolejności uważałem za przyjaciela, niestety już nie żyje.

– Jaki przedmiot najbardziej pana interesował?

– Polski, niemiecki, geografia i historia, ale tu był pewien problem. Na początku lat osiemdziesiątych poważnie nas okłamywano, więc szukaliśmy alternatywnych źródeł wiedzy. Sporo rzeczy wychodziło w podziemiu, ale trzeba było mieć dojście. Ja miałem.

– Czym się pan obecnie zajmuje?

– Jestem dziennikarzem, piszę też książki.

– Czy obecna praca spełnia pana oczekiwania?

– I tu dochodzimy do meritum. Otóż od pewnego czasu przechodzę chyba zawodowy kryzys. Osłabły mi cechy wolicjonalne. Między innymi dlatego tu teraz jestem.

– Czy ma pan jakieś marzenia?

– Chyba już nie. Chciałbym godnie umrzeć. Godnie i możliwie szybko. Szybko i bezboleśnie. No i niekoniecznie w tym roku – Rączy próbował wywnioskować, jak ta odpowiedź podziałała na Ingrid, ale jej twarz pozostawała nieprzenikniona.

– Co daje panu szczęście?

– Wie pani, to są ulotne chwile. Ostatnio jakoś ich mało w moim życiu. Rekompensuję sobie brak szczęścia satysfakcją zawodową. Cieszy mnie na przykład, jak zły człowiek dostaje to, na co zasłużył.

– A co pana smuci albo denerwuje?

– Czasami miewam *Weltschmerz*... Ogólnie to najbardziej wkurzają mnie głupota i niesprawiedliwość, zresztą często idące w parze. Ale tu chyba nie jestem zbyt oryginalny.

– Jaką rzecz z dzieciństwa pan najczęściej wspomina?

– Święta Bożego Narodzenia: śnieżna, mroźna zima, porządki w całym domu, zapach pasty do podłogi, ubieranie choinki, jedzenie lepsze niż na co dzień... No i piłka nożna: ta oglądana w telewizji i mecze na podwórku, na boisku szkolnym.

Ingrid stała teraz przed nim oparta o krawędź stolika, bawiąc się okularami.

– Jaka jest pierwsza zachcianka, która przychodzi panu teraz do głowy?

– Wolałbym o tym nie mówić dla dobra naszych przyszłych relacji – uśmiechnęli się niemal jednocześnie, co zdziwiło i ucieszyło Kornela.

– Jakie były pana relacje z ojcem? – Ingrid poruszyła się niespokojnie. Rączy zauważył dziwny błysk w jej niebieskich oczach.

– Trudno mi to jednoznacznie określić. Sytuacje z dzieciństwa pamiętam jak przez mgłę, potem były tylko sporadyczne wizyty, czasami wyjścia na mecze, nigdy wspólnych wakacji. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ojciec mnie uderzył. Zdecydowanie nie był człowiekiem agresywnym.

– Dziękuję. Na dzisiaj wystarczy. Panie Kornelu, rozumiem, że widzimy się za tydzień – zawiesiła głos.

Stuknęło odsuwane krzesło. Rączy potwierdził następną wizytę i uiścił należność.

Zapalił papierosa i ruszył przed siebie Młynówką Królewską, mijając niegdysiejszą stolarnię. Uśmiechnął się pod nosem – jako dziecko przychodził tu po trociny dla chomika. Po chwili był już przy Kijowskiej. Na rogu szpecił otoczenie postawiony między parkowymi drzewami czteropiętrowy blok. Rączy westchnął. Ekspansja deweloperów przybierała na sile z każdym rokiem, dzielnica zmieniała się, osiągając wielkomiejskie standardy, jednocześnie tracąc swój pierwotny charakter, a Kornel miał wrażenie, że poza nim i kilkoma jeszcze osobami, nie interesuje to nikogo.

Wspólny interes decydentów wygrywał z głupim, idealistycznym sentymentem. Tu były prawdziwe pieniądze, o których Rączy mógłby tylko pomarzyć.

Kątem oka zauważył dwóch chłopaków jadących ze sporą szybkością na elektrycznych hulajnogach. Pierwszy zatrąbił, a kiedy Kornel odsunął się na pobocze, robiąc miejsce jadącym, drugi z nich wysłał w jego stronę komunikat w formie wyciągniętego palca

środkowego prawej dłoni, po czym obaj przyspieszyli, zanosząc się głośnym śmiechem.

Lekka irytacja ustąpiła niemal natychmiast uczuciu odprężenia. Rączy przypomniał sobie zdjęcie, na którym wraz z kolegami z punkowego zespołu prezentują T-shirty domowej roboty, on sam w maksymalnie wystudiowanej pozie, mającej symbolizować pogardę dla systemu. Wyprostowany, środkowy palec był tego niezbędnym elementem. Koszulka z napisem „DISCHARGE" dopełniała całości. Do wykonania takiej potrzeba było jedynie kalki używanej wtedy do kopiowania dokumentów. Wycinało się z niej dowolny wzór, litery i z pomocą gorącego żelazka wprowadzało na koszulkę.

Innym sposobem upodobnienia się do punków z Zachodu, wobec niemożności zakupu oryginalnego designu tekstylnego, było farbowanie koszulki w gorącej wodzie. Uprzednio trzeba było związać ją mocno w kilku przypadkowych miejscach sznurkiem (ważna tu była asymetria). Efektem były koliste wzory, wchodzące w stylistykę awangardowego wyglądu.

Wiatr zawiał mocniej. Przesunął wyżej suwak kurtki i przeszedł na drugą stronę ulicy. Opustoszała jednostka wojskowa była w fazie likwidacji. Wiele lat temu przy ogrodzeniu odbywały się transakcje handlowe. Za alkohol można było kupić praktycznie całe umundurowanie: moro, spodnie, buty, plecaki, chlebaki, jamniki stanowiące wtedy top mody w liceach…

Wspomnienia z tamtych lat zawsze wprowadzały go w dobry humor, a płyta brytyjskiej formacji Discharge z 1982 *Hear Nothing See Nothing Say Nothing*, z okulistyczno-laryngologicznym elementem na okładce, tkwiła gdzieś na Kornelowej półce obok setek innych płyt.

Czuł jednak, że samotne ich słuchanie czy odtwarzanie w głowie sytuacji dawno minionych do niczego dobrego nie doprowadzi. Zbyt wielu rówieśników zakręciło się mocno wokół czasów młodości, a nie mogąc odnaleźć się w czasach współczesnych, wybrali bierną egzystencję. Ich pogodzone ze wszystkim, smutne twarze, wykrzywione w jednolitym grymasie nudy i cierpienia, pozbawione dawnej drapieżności, ciekawości, chęci odnalezienia jądra problemu… Ich codzienne rytuały, okoliczniki czasu i miejsca, w

obu przypadkach mocno ograniczone, sprowadzone do kilku ulic, do przyczółków po tysiąckroć sprawdzonych, pachnących swojskością, obsikanych moczem rutyny, bez żadnej niespodzianki, bez żadnej nadziei… Ich wypalone dusze…

Ci bardziej dynamiczni popadali w konflikt z prawem, znikali z dnia na dzień na pewien czas, aby w pierwotnej formie nie powrócić już nigdy. Ten ze zdjęcia, na którym w białym jak śnieg ubranku dzierży – z poważną miną – pierwszokomunijną świecę z napisem IHS, dostał właśnie kolejny wyrok. Jako recydywista nie będzie się już odwoływał, korzystał z prawa łaski ani czekał na amnestię. Ten uśmiechnięty, w sportowym stroju piłkarza, dawno nie widział wolności – kara skumulowana, podwyższona dodatkowo o parę miesięcy za opóźniony powrót z warunkowego. I wreszcie ten trzeci, który gdzieś się ukrywa, wykorzystując układy krowoderskiego „szurmo" lub (pod przybraną tożsamością) szlifując bruki Barcelony czy innej Sewilli.

W tym wszystkim on, jakże inny od tamtych, lecz równie nieszczęśliwy, choć myślą, że u niego wszystko OK, że kolejny sukces śledczy, kolejna publikacja prasowa zagłuszą ból codzienności.

Ale jakoś nie zagłuszały. Pewne rzeczy, kiedyś ważne, przestawały mieć jakiekolwiek znaczenie wobec uniwersalnych, kosmicznych spraw, które wcześniej czy później nami zawładną, spowodują gatunkową uniformizację, zapędzą do szeregu, gdzie czekać będziesz, aż pewnego dnia wywołają cię po imieniu i nazwisku, aby odbyć ostatnią, najistotniejszą w gruncie rzeczy rozmowę. Choć może wcale tak nie będzie… Może to wszystko zniknie, tak jak się pojawiło. Nagle i bezznaczeniowo. Czy Wolterowski zegar od dawna nie odmierza już godzin, czy tylko my nie słyszymy jego bicia, bo tam, gdzie jesteśmy, po prostu go nie słychać?

W kieszeni zawibrował telefon. Po chwili w słuchawce odezwał się dobrze znany, tubalny głos doktora Orędowskiego.

– Witam, panie redaktorze. Siedzi pan? Bo mam prawdziwą rewelację! – patolog był wyraźnie podekscytowany.

Zanim Kornel zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Orędowski ciągnął dalej:

– Na terenie budowy w parku świętego Wincentego wykopano ludzki szkielet. Dzwonili z policji. Zaraz tam jadę, a i pana zachęcam, jeśli oczywiście ma pan ochotę i czas.

Rączemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Przyspieszył kroku i po niespełna dziesięciu minutach był na Lea. Omijając głębokie kałuże obszedł dookoła kościół. Policyjna ekipa krzątała się za ogrodzeniem. Przypięta do niego niebiesko-biała taśma działała jak magnes. W ciągu kilku minut zgromadziło się tu kilkadziesiąt osób. Głównie studenci i uczniowie, ale też kilkoro emerytów z wnuczkami, których niespodziewane zdarzenie zaskoczyło podczas spaceru.

Przybycie Orędowskiego wzmogło jeszcze zainteresowanie gapiów. Rodowity krowodrzanin cieszył się opinią wybitnego fachowca. Choć od trzech lat był oficjalnie na emeryturze, wciąż współpracował z policją przy ciekawszych przypadkach kryminalnych.

Z miejsca, gdzie stał Rączy, niewiele było widać, a wejście na teren budowy było absolutnie niemożliwe.

Kilka osób, instruowanych przez patologa, krzątało się nad wykopanym w ziemi dołem. W pewnym momencie Orędowski podszedł do ogrodzenia i skinął na Kornela.

– Nie wpuszczą pana. Zresztą musimy ten szkielet zabrać do mnie, do zakładu. Jak będę coś wiedział, dam znać – wyszeptał konfidencjonalnie.

– Dzięki, panie doktorze – Rączy zrewanżował się nieznacznym uśmiechem. Przepychając się przez gęstniejący tłum, oddalił się w stronę Czarnowiejskiej. Krótki tekst zapowiadający przyszły hit informacyjny i dwa zdjęcia, które pstryknął w międzyczasie swoim kieszonkowym nikonem, powinny na razie wystarczyć. Znowu był pierwszy.

Jedenaście portali internetowych zareagowało niemal natychmiast. Umowa wewnętrzna gwarantowała niezłą sumę, do tego wszędzie pojawiło się jego nazwisko. Zamierzał zostawić komputer włączony, ale po chwili zmienił zdanie. Ilość pytań wysyłanych przez kolegów-

dziennikarzy była zbyt duża, aby każdemu indywidualnie odpowiedzieć.

Kornel rozparł się wygodnie w fotelu i cierpliwie czekał na telefon. W tle sączyła się taneczna *Batida Diferente*. Jazz Cannonballa Adderleya działał na wszystkie możliwe zmysły, nic dziwnego, że wirtuoz saksofonu po koncercie czy po sesji nagraniowej zawsze udawał się do restauracji na obfity posiłek.

Przypomniał sobie zjawiskową kolację sprzed tygodnia, przygotowaną przez Romualda Wilskiego, zwanego z włoska Aldo, kolegę fotografika, w którym obudziły się niemałe talenty kulinarne. Wspomnienie przepysznej wołowiny w kawie podanej w towarzystwie zapiekanych ziemniaków i sałatek natychmiast pobudziło apetyt, powstrzymany brutalną pustką panującą w lodówce. Westchnął, przegryzając ostatnim krakersem, cudem odnalezionym w kuchennej szafce.

Około ósmej wieczorem na ekranie smartfona ukazał się numer Orędowskiego.

– Oczywiście jest zdecydowanie za wcześnie, aby pokusić się o precyzyjną analizę, ale z całą pewnością mogę stwierdzić dwie rzeczy – relacjonował patolog. – Po pierwsze szkielet należy do dorosłego mężczyzny, po drugie przeleżał w ziemi wiele lat…To na razie tyle – nie czekając na odpowiedź Rączego, doktor rozłączył się.

Abelard Dudniewski, znany krakowski deweloper, dowiedział się o sensacyjnym wykopalisku, przebywając w Warszawie. Kilka nerwowych telefonów, dwa odwołane spotkania, polecenia wydawane w krótkim i zdecydowanym wojskowym trybie. Wszystko to sprawiło, że już trzy godziny po otrzymaniu informacji, ubrany w elegancki, granatowy garnitur od Armaniego, zasiadł w wygodnym fotelu business class w pendolino jadącym do Krakowa.

Wizyta w stolicy mająca na celu zaktywizowanie lobbingu kilku wpływowych osób okazała się totalną porażką. Wyglądało to tak, jakby ktoś uprzedził decydentów o przyjeździe i intencjach Dudniewskiego, wystawiając mu – w ich oczach – jak najgorszą opinię. Jednym słowem – klapa.

Do tego fatalna wręcz informacja o znalezieniu szkieletu na terenie budowy apartamentowca w Krakowie. Jakby mało było jeszcze kłopotów z tą bandą oszołomów, ślepo broniących wyimaginowanej przeszłości, żonglujących na przemian słowami „historia" i „tradycja", uświęcających Krowodrzę, którą traktowali – z niewiadomych względów – jak pępek świata.

Sytuacja finansowa firmy, którą kierował od dziesięciu lat, była nie do pozazdroszczenia. Co prawda, udało się – za sprawą uczynnych urzędników – pozyskać kilka terenów pod inwestycje, ale kasa świeciła pustką, a powtarzające się żądania podwyżki dla załogi spędzały sen z powiek. Zresztą ten sen nie przychodził... Za dużo nerwów – tłumaczył sobie, wychylając jednocześnie czwarty czy piąty kubek mocnej kawy.

Po raz kolejny zadzwonił do żony, ale usłyszał tylko o czasowej niedostępności abonenta. Zaklął pod nosem. Od jakiegoś czasu Laura zaczynała go coraz bardziej wkurzać.

Humoru nie poprawił mu wyświetlany na kilkunastu portalach news. Niestety wszędzie figurowało jego nazwisko. Kilkunastoletnie doświadczenie zawodowe podpowiadało, że niepożądana reklama medialna prognozuje kłopoty. Pełen najgorszych przeczuć przyłożył głowę do oparcia fotela.

Mógłby teraz się trochę przespać, ale wściekły kołowrót uniemożliwiał to skutecznie. Abelard wiedział, że po powrocie czeka go jeszcze jedna, trudna rozmowa. Im dłużej o tym myślał, tym większy czuł niepokój. Wydawało się to absurdalne, bo przecież to on, prezes dużej firmy, wystąpi z pozycji siły, a jednak ten bezsprzeczny niby fakt wcale nie dodał mu pewności siebie.

Wszystko to przez nerwy i ogólne przemęczenie – pocieszał się w duchu, ale miał przy tym świadomość, że oszukuje sam siebie. Dawno temu odstawił prozak, starał się też nie przesadzać z alkoholem, ale wydarzenia ostatnich tygodni sprawiły, że nie był już pewny samego siebie. Być może któregoś dnia rzuci ten cały biznes i popłynie bardzo daleko. Owa coraz bardziej realna dal przerażała go najbardziej.

– A słyszał pan, podobno w kościele trupa znaleźli – w drzwiach naprzeciwko mieszkania Kornela ukazała się siwa głowa sąsiadki, Marceliny Ustrojskiej.

– Nie w kościele, tylko na budowie, i nie trupa, tylko szkielet. – Rączy, nie czekając na reakcję kobiety, wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę obserwował przez wizjer, jak zaskoczona nową informacją Ustrojska mruczała jeszcze coś do siebie, stojąc jedną nogą na korytarzu, a drugą w mieszkaniu.

Telefon zawibrował. Kornel odczytał na ekranie znajomy numer kolegi, z którym pracował kiedyś w redakcji jednej z krakowskich gazet.

– Cześć, Tomek! Miło, że dzwonisz. Coś się stało?

– Nie… Dlaczego coś miało się stać? – głos Bernackiego wyrażał zdziwienie.

– No choćby dlatego, że nie dzwoniłeś przez ostatni rok. Przynajmniej rok. Jesteś w ogóle w Krakowie?

– Tak, właśnie niedawno wróciłem z Wawy. Dostałem przy Czarnowiejskiej mieszkanie po babci i chciałem zaprosić cię na parapetówkę.

– No to super! A co u ciebie w ogóle?

– Dużo by gadać. Impreza jutro wieczorem. Wiem, że to trochę głupio tak znienacka, no i termin krótki, ale… będzie kilka znajomych osób. Wpadniesz? Plissss… – głos był z gatunku prosząco-błagalnych.

– Mam trochę roboty – Kornel wertował swój notes – ale jak nic nagłego się nie wydarzy, przyjdę. W końcu to niedaleko.

– No – Bernacki odzyskał wigor – przecież od ciebie do mnie jeden rzut beretem.

Rączy zanotował numer kamienicy i mieszkania. Wymawiając się zmęczeniem i koniecznością nocnej pracy, zakończył rozmowę.

Dopiero teraz zauważył nieodebrane połączenie. Dzwoniła Ingrid. Zdziwił się, bo ani nie nagrała się na sekretarkę, ani nie przesłała esemesa.

– Pewnie nic pilnego – mruknął do siebie i z ulgą wszedł pod prysznic.

Czwartek zaczął się dla Kornela od kolejnego telefonu. Lokalny działacz, dzielnicowy patriota i szczery entuzjasta perkusyjnego fenomenu Johna „Bonzo" Bohnama, dolnośląskich jaskiń i krakowskich fortów Radek Bochenek komunikował, że ludzie zbierają pod kościołem podpisy w sprawie wstrzymania budowy, na której wykopano szkielet. Wiec protestacyjny zaplanowano na jedenastą i Radek upierał się, aby Rączy przyszedł i przyłączył się do akcji.

– Będę – odpowiedział krótko Kornel, przerywając chaotyczny słowotok Radosława.

Przełknął ostatnią łyżkę okraszonej kiełbasą jajecznicy, popił łykiem czarnej mocnej kawy i zamyślił się.

Walka z deweloperami była męcząca, do tego bardzo często skazana na niepowodzenie. Ani protestujący mieszkańcy, ani samorządy lokalne nie posiadały bowiem odpowiednich narzędzi, aby zatrzymać zabudowę, rozbudowę i nadbudowę w niemal każdym wolnym zakątku miasta. Krowodrza była szczególnie łakomym kąskiem, głównie ze względu na swoje położenie blisko centrum, a jednocześnie przez opinię dzielnicy stosunkowo spokojnej, zamieszkanej przez niegroźnych przecież emerytów oraz brać studencką, posiadającą niewiele lokali gastronomicznych. Właściwie było tu głośno tylko w dniach, kiedy Wisła rozgrywała swoje mecze na stadionie przy ulicy Reymonta, oraz podczas Juwenaliów, ograniczonych jednak do miasteczka akademickiego Akademii Górniczo-Hutniczej.

Rączy popełnił kilka artykułów prasowych dotyczących niechcianej zabudowy, włączał się też aktywnie w akcje protestacyjne, ale – wobec braku efektywności tych działań – jego zapał powoli wygasał.

Młodzież nie kwapiła się specjalnie demonstrować przeciw inwestorskim zakusom i niejasnej sytuacji z planami zagospodarowania przestrzennego, których zwyczajnie nie było albo… Teoriom spiskowym powtarzanym półgłosem daleko było do miana pewności.

Dlatego krowoderskie serce Kornela zabiło mocniej, gdy ujrzał sporą grupę demonstrantów zgromadzonych przed kościołem. O

dobrej organizacji świadczyły malowane zapewne nocą transparenty. Bez trudu rozpoznał rękę znajomego plastyka, Erwina Mityńskiego, który nigdy nie przegapił okazji, aby zaprezentować swoje niemałe możliwości. Tym razem rozpięty między dwoma drzewami transparent przedstawiał kilka szkieletów ludzkich na tle gigantycznego bloku mieszkalnego. Na trzecim planie czarne plamy znamionowały smog, który miał być dziełem przyszłych lokatorów, posiadaczy samochodów. Hasło wypisane czerwonym markerem na innym płótnie brzmiało: „ŻARŁOCZNI DEWELOPERZY – KROWODRZA DO NAS NALEŻY!".

Ponad stuosobowy tłum okupował wszystkie parkowe alejki, zważając, aby nie deptać trawników i kwiatowych klombów; ostatecznie przyszli tu w obronie terenu zielonego, na którym w miejsce wyburzonego szpitala powstawał apartamentowiec. Polityka włodarzy miasta stała w opozycji do zachowania koniecznych – z punktu widzenia mieszkańców – korytarzy powietrznych. Z drugiej strony od jakiegoś czasu mówiło się o rychłym wprowadzeniu zakazu palenia tytoniu nawet na własnym balkonie. „Obawiam się, że powstaje plan zatykania trąby" – przypomniał sobie proroczy tekst Lecha Janerki.

– Cześć, dobrze, że jesteś – usłyszał za sobą zdyszany głos Radka Bochenka. – Zaraz zaczynamy... Cholera, szkoda, że tu jest kościół, można by ostrzej pojechać. A tak nie bardzo wypada... Co myślisz, Kornel?

Rączy zgodził się, że sąsiedztwo Bożej świątyni nie jest najlepszym miejscem, aby w radykalny sposób lżyć inwestora, układ miejski i ogólny klimat budowlanych przekrętów.

– Zaraz będzie telewizja – poinformował Radek i zniknął w tłumie. Nie omieszkał wcześniej wydusić z Kornela obietnicy tekstu będącego relacją z protestu mieszkańców.

Niemal równocześnie pojawiły się ekipy telewizyjna i radiowa. Reporterzy uzbrojeni w profesjonalne mikrofony wypytywali ludzi, szukając wzrokiem głównych organizatorów demonstracji.

– Z jednej strony dymią nam od lat aleje Trzech Wieszczów, z drugiej i trzeciej wąskie gardła Czarnowiejskiej i Wrocławskiej generują nie tylko zanieczyszczenia, ale i korki – grzmiał z

zaimprowizowanej na ławce trybuny Bochenek. – Zatruwają nas od lat, blokując korytarze powietrzne, lekceważąc wszelkie normy ekologiczne! Jak długo mamy się zgadzać na samowolę miasta, które maszeruje ręka w rękę z deweloperami?!

Teraz do mikrofonu został dopuszczony siedzący na wózku inwalidzkim profesor Saturnin Niemojewski, emerytowany naukowiec, ekolog i autor kilkunastu książek z tej dziedziny. W krótkich słowach przypomniał wybitną postać zmarłego arcybiskupa, który w latach komuny uchronił park przed zabudową, umiejętnie argumentując swoje racje w wojewódzkim komitecie partii, i – w nawiązaniu do tego – wyraził zdziwienie, że teraz nie przeszkadza nikomu fakt, że budynek zasłoni kościelną wieżę. Patrzył przy tym wymownie na grupę kilku księży stojących nieopodal.

– Hucpa! – krzyknął młody, ogolony na łyso młodzieniec.

– Skandal! – zawtórował mu inny chłopak z okazałymi dredami na głowie.

Tłum zafalował, a po chwili rozległy się gwizdy. Tak powitano domniemanego sprawcę całego zamieszania, Abelarda Dudniewskiego. Minęło dobrych kilka minut, zanim pozwolono mu przemówić. Prezes firmy deweloperskiej DUD-BUD zdążył powiedzieć kilka zdań, po czym został skutecznie zakrzyczany. Ktoś rzucił petardę, a cuchnący dym sprawił, że manifestanci cofnęli się w stronę ulicy, zasłaniając oczy, nosy i usta.

– Zawsze znajdzie się jakiś debil – ocenił mężczyzna w średnim wieku stojący obok Rączego.

– To prowokacja – stwierdził inny, kolega tamtego.

Wybuch petardy niespodziewanie zakończył część oficjalną demonstracji. Tłum podzielił się teraz na grupy i grupki dyskusyjne, Dudniewski gdzieś zniknął, a operator telewizji pracowicie filmował ludzkie twarze.

Rączy, który w międzyczasie zrobił kilka zdjęć, bez pośpiechu opuścił zgromadzenie.

Tomek Bernacki zajmował ponad stumetrowe, czteropokojowe mieszkanie przy ulicy Czarnowiejskiej, na pierwszym piętrze

kamienicy zbudowanej w latach dwudziestych ubiegłego wieku.

Kornel znał jej kryminalne dzieje sprzed osiemdziesięciu lat, kiedy mieścił się tu regularny zamtuz, a z usług relatywnie tanich panienek korzystali głównie przedstawiciele świata przestępczego. We wrześniu trzydziestego siódmego patrol policji zjawił się tu celem aresztowania znanego oszusta. Rzeczonego nie zastał, ale mundurowi „na pusto" wracać nie chcieli. Zabrali więc ze sobą młodego faceta bez dokumentów, gdyż wydał im się podejrzany.

Gość, uprzednio skrupulatnie przeszukany, pozwolił się eskortować aż pod gmach komendy, ale w kulminacyjnym momencie wyjął broń, z której zastrzelił jednego z policjantów, a drugiego ranił. Rozpoczął się pościg zaalarmowanych wystrzałami stróżów prawa. Bandzior mknął skradzioną lawetą przez całą Krowodrzę, mając na karku dwa policyjne samochody, motocykl i wreszcie wojsko. Otoczony na Woli Justowskiej, oddał życie – nie bez walki.

Śledczy rozpoznali w nim sprawcę kilku napadów, poszukiwanego listem gończym za ucieczkę z rzeszowskiego więzienia dwa miesiące wcześniej. Nigdy nie dowiedziano się natomiast, kto i kiedy zaopatrzył go w dwa browningi i spory zapas amunicji.

Ech, lata dwudzieste, lata trzydzieste, dzielnica jak gangsterskie Chicago…

Kamienica nie zmieniła od tamtej pory swego wyglądu. Odrapana, z odpadającym tynkiem i wyblakłym graffiti, cofnięta wstydliwie od ulicy jak niechciane dziecko oczekujące bezskutecznie na adopcję.

Podobnie wyglądała klatka schodowa. Skrzypiące schody, pamiętające zdecydowanie lepsze czasy, oraz kompilacja zapachów, od których policyjny pies dostałby pomieszania zmysłów, prowadziły do zupełnie innego świata.

Kornel, nie bez lekkiej zazdrości, zwiedzał urządzone z gustem kolejne pomieszczenia, oprowadzany przez nieudolnie skrywającego dumę gospodarza.

– Otoczenie idealne do nakręcenia mrocznego thrillera, a tu proszę… – pochwalił Rączy, a Bernacki odpowiedział uprzejmym

skinieniem głowy.

– Zastanawiałem się, czy nie wynająć jednego pokoju studentom albo studentkom – mrugnął porozumiewawczo do Kornela. – Ostatecznie jednak na razie wolę być tu sam. Dogadałem się z właścicielem kamienicy co do czynszu i… nie jest tragicznie.

– A co z Marleną? – zapytał z głupia frant Rączy.

– O, to już przeszłość… – Bernacki uśmiechnął się smutno. – Nie ma co ukrywać, zostawiła mnie dla takiego cwaniaczka z Warszawy. Było, minęło, nie ma czego żałować…

Mina Tomka świadczyła jednak, że jest odwrotnie. Kornel postanowił zatem nie drążyć tematu. Tym bardziej że rozległ się dzwonek do drzwi i po chwili do mieszkania wmaszerował duet Prochowski – Zalesiak, czyli dwaj starzy kumple Rączego i Bernackiego. Marcin Prochowski dzierżył przed sobą litrową butelkę absolutu, Adam Zalesiak trzymał w dłoni nie mniejszą gabarytowo flachę ballantine'a.

Na stole czekały już zakąski w formie śledzi, drobiowej galarety, ogórków kiszonych i chleba ze smalcem. Gospodarz zadbał o jednolitość skojarzeń z okresem PRL-u.

Kiedyś stanowili klasyczny kwartet, ale upłynęło sporo czasu, zanim ustalili, kto na czym będzie grał. Ostatecznie Kornel zajął miejsce pierwszego skrzypka, specjalisty od improwizacji, Bernacki tuż za nim, odpowiedzialny za sekund, Prochowskiemu przypadła altówka, a Zalesiak mierzył się z wiolonczelą.

Wbrew oczekiwaniom cztery pary pracujących dla wspólnego celu dłoni nie wygenerowały niczego specjalnego, w każdym razie niczego, czym można by się było pochwalić grupowo i indywidualnie.

– Nie jesteśmy żadnym dream teamem. Mam wrażenie, że zamiast uzupełniać się, przeszkadzamy sobie nawzajem – stwierdził po roku Rączy i jako pierwszy wykonał exodus. Był to dobry moment, gdyż niedługo potem odniósł pierwszy poważny sukces śledczy, rozwiązując zagadkę morderstw na byłych ubekach.

Wiedział, że gdyby został, stałby w miejscu, być może nawet do tej pory.

Także pozostali, pozbawieni z dnia na dzień swego lidera, wyemancypowali się na tyle, że ich nazwiska zaczęły pojawiać się w prasie coraz częściej w kontekście ciekawych, a nawet odkrywczych reportaży, oryginalnie ujętych tematów, będących pokłosiem analitycznie przeprowadzonego researchu.

Nie zerwali ze sobą relacji, czasami nawet korzystali wzajemnie ze swoich porad czy kontaktów, ale nie stanowili już jednej drużyny. Każdy pracował na swoje konto.

Co ciekawe, na zewnątrz byli nadal postrzegani jako całość, co szczególnie denerwowało Kornela. Walcząc z wrodzoną konfuzją, starał się udowodnić, że to on i tylko on jest czegoś autorem, ale musiało upłynąć trochę czasu, zanim większość w to uwierzyła.

Upadek gazety, w której pracowała cała czwórka, raz na zawsze rozdzielił ich losy i skazał na samotne działania. Tamci, raczej bez powodzenia, próbowali gdzieś się zaczepić, Kornel wybrał drogę freelancera. Dla higieny psychicznej (i kasy) podejmował czasową współpracę z tą czy inną redakcją lub firmą wydawniczą. Wreszcie na dłużej zakotwiczył w sieci, w jednym z największych portali w kraju. Uczynił tak tylko dlatego, że tam nie wymagano od niego natrętnej cykliczności, nie rozliczano z czasu, a jedynie z efektów. Miał zatem możliwość prowadzić swoje śledztwa tak, jak chciał i kiedy chciał.

Na pozór komfortowa sytuacja nie wyzwoliła go od nieznośnej presji, gdyż spodziewano się po nim wyłącznie rewelacji, do tego najwcześniej opublikowanych. Satysfakcja walczyła więc z ciągłym stresem, co przekładało się na sinusoidę psychicznych doznań. Być może była to właściwa chwila i dobry pomysł, aby zwrócić się do specjalisty, a w tym wypadku specjalistki.

Teraz jednak postanowił nie myśleć o tym i bawić się na całego. Okazja na spotkanie się w pełnym gronie nie zdarzała się często.

Wraz z konsumowanym alkoholem, mnożyły się opowieści, kwitowane śmiechem całego kwartetu, choć czasem ktoś z nich był nie do końca pozytywnym bohaterem anegdoty. Czas zaleczył wszystkie rany i jedynie kilka tematów, umiejętnie nieporuszanych, skrzętnie omijanych, zawoalowanych w pozornej niepamięci,

mogłoby ich poróżnić. Nikt jednak nie przekroczył rubikonu, nie zepsuł zakrapianej wódką i zagryzanej śledziem zabawy. Całości dopełniała nastawiona głośno płyta *Rock'n' Roll* nieśmiertelnego Motörhead.

Mniej więcej po trzech godzinach cała czwórka była już trochę podpita. Każdy zdążył opowiedzieć coś o sobie. Prochowski założył z kolegą prywatną firmę produkującą filmy, ale ze zleceniami było ciężko, Zalesiak właśnie zakończył przygodę z miejscowym radiem i był na etapie szukania nowej roboty, a Bernacki zamierzał rozkręcić interes eventowy z przyjaciółmi z Niemiec – nie chciał jednak zbyt wiele o tym mówić, tłumacząc się tajemnicą handlową, obietnicą, jaką dał wspólnikom, wreszcie obawą przed zapeszeniem przyszłej inwestycji.

– Jest przejebane, panowie. Warszawa nas wykończy – perorował podpity Prochowski. – A regionalne ośrodki telewizyjne, które dostają ze stolicy jakieś ochłapy, prowadzą przedziwną politykę. Możesz im sprzedać film, ale za śmieszne pieniądze, za to gdy potrzebujesz ujęć archiwalnych, stawki za minutę wykorzystanego materiału są kosmiczne, przy czym ich autor nie dostaje z tego nic.

– *Come on baby, eat the rich, put the bite on the son of a bitch* – odpowiedział mu z zaświatów Lemmy Kilmister.

– Nic mnie tu nie trzyma – Bernacki teatralnym gestem złapał się za serce. – Poza miłością do ojczyzny oczywiście. Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz… – zaintonował, ale wobec braku zainteresowania kolegów dla kontynuacji pieśni umilkł i zakąsił marynowanym śledziem.

– Etyka dziennikarska to już anachronizm. Hieny rozszarpują zagryzioną przez lwy antylopę – podsumował Zalesiak i zaraz potem wychylił do dna sporą szklankę whisky.

– Lecz przyjdą czasy, że te kutasy będą przed nami na baczność stać! – gospodarz nie dawał za wygraną. Tym razem w powodzeniem.

– Ręka nie zadrży jak liść osiki, gdy będziem w głupie mordy prać! – wyryczał zgodnie cały kwartet.

Około północy Rączy, wypiwszy strzemiennego i pożegnawszy Tomka i Marcina, udał się w towarzystwie Zalesiaka w stronę domu. Na rogu alei Kijowskiej i Czarnowiejskiej Adam złapał taksówkę, a Kornel postanowił przejść się jeszcze przez park św. Wincentego a Paulo. W ten sposób nadrobił nieco drogi, ale chęć nocnego spaceru pustymi alejkami zwyciężyła. Lubił nocne spacery, czasem wywoływały w nim emocje, a wtedy niemal czuł smak i zapach wydzielającej się adrenaliny. Tym razem jednak parkowe alejki były ciche i puste, podobnie jak opuszczone przez miejscowych meneli ławki.

Nucąc pod nosem krowoderską piosenkę o czerwonym neonie na Biprostalu, zbliżył się do ogrodzonego siatką boiska, na którym jako nastolatek rozegrał setki piłkarskich meczów. Przystanął na chwilę. Jego uwagę przykuł podłużny, ciemny kształt w sąsiedztwie okazałego wiązu. Zataczając się, podszedł bliżej i nachylił się do przodu, co omal nie spowodowało upadku. Zaklął pod nosem, nachylił się raz jeszcze i spojrzał w rozwarte przerażeniem oczy leżącego człowieka.

Mężczyzna leżał na wznak, a z jego klatki piersiowej sterczała rękojeść sporej wielkości noża.

Kornel, opanowując emocje, cofnął się i zaczął szukać w kieszeni kurtki telefonu. W tym samym momencie czyjś mocny uchwyt sprowadził go do parteru, szczęknęły zakładane na wykręcone do tyłu dłonie kajdanki.

– Policja. Jesteś aresztowany – usłyszał nad samym uchem niski, męski głos.

Ciemna toń niewielkiej rzeki i jej zarośnięte chaszczami brzegi budziły lęk. Samotne patrolowanie tego miejsca, będącego nieformalną granicą między polską i niemiecką strefą dzielnicy, zdecydowanie nie należało do jego ulubionych zajęć. Nie narzekał jednak. Służba wojskowa w Krakowie była przecież czymś znacznie lepszym niż los tych, którzy już niedługo mieli wyruszyć na wschód, realizując plan Barbarossa.

Za dnia przydomowe pola i ogrody skąpane w czerwcowym słońcu wydawały mu się nawet przyjazne, swojskie. Przywoływały

świat, który musiał opuścić dwa lata temu, a który był mu tak bliski.

Malowane żółcią, pomarańczą i zielenią pola Dolnej Austrii, wniesienia z winnymi piwniczkami, wszechobecna cisza stanowiły to, co kochał najbardziej. Niewielkie domki ciągnące się wzdłuż drogi łączącej kolejne wioski były jego małą ojczyzną.

Ojciec, jak większość tutejszych gospodarzy, zajmował się uprawą winorośli, z której robiono przepyszny riesling. Jego smak poznał już jako dwunastolatek, kiedy z kolegami upili się jedną butelką wina, a wymierzane spracowaną ojcowską dłonią razy przywołały go do porządku. Od tej pory nigdy nie nadużył alkoholu. Dopiero tego wieczoru, kiedy siedząc w przydomowym ogródku z kartą powołania w kieszeni spodni, odważył się wypić więcej. Tym razem ojciec nie protestował, a nawet zdawał się zachęcać pierworodnego do wychylania kolejnych kielichów dobrze schłodzonego zielonego veltlinera.

Ostatecznie był dorosły, szedł na front i niewiadomą był dzień jego powrotu. Matka i młodsza siostra Hermine nie uroniły ani jednej łzy, jakby duma z syna i brata, który jedzie walczyć za ojczyznę, była silniejsza od żalu i niepewności.

Rano wraz z innymi chłopakami z okolicznych wsi wyruszyli pociągiem na północ. Od tej pory minęły prawie dwa lata, a Karl Schuster trafił ostatecznie do Krakowa. Piękny, choć smutny, zrobił na nim duże wrażenie. Wcześniej nie był nigdy w tak dużym mieście, nie licząc wycieczki do Wiednia, jeszcze przed Anschlussem.

Ze zdziwieniem dostrzegał podobieństwa, wyłapywał różnice i musiał przyznać, że usytuowany na wzgórzu Wawel Schloss podobał mu się bardziej niż monumentalny Hoffburg. Dzielnica, gdzie kwaterowali, zajmując prywatne mieszkania w kamienicach przy Schlesien Strasse, miała znacznie mniej z cesarsko-królewskiego stylu, a zabudowa była tu niejednorodna – modernistyczne wille niemal sąsiadowały z wiejskimi chałupami.

Im dalej na północ, tym bardziej dzielnica wytracała swój miejski charakter i on, wychowany na wsi, czułby się tu właściwie dobrze, gdyby nie milcząca wrogość w spojrzeniach tutejszych gospodarzy, ukryta pretensja w tonie głosu i dziwny szeleszczący język, którego nie rozumiał.

Szczególnie zapamiętał wieczór, gdy patrolując nadrzeczne okolice, natknął się na grupę chłopców. Nie mieli więcej jak jedenaście, dwanaście lat. Swoim pojawieniem się, z bronią, w mundurze, przerwał ich zabawę nad rzeką. Stanęli w podwiniętych nad kolana spodniach w płytkiej, przybrzeżnej wodzie i przyglądali mu się uważnie. Kiedy ich minął, usłyszał wypowiedziane szeptem przez jednego z nich słowa. Sekundę później przeleciał mu nad uchem rzucony nie dość precyzyjnie kamień. Odwrócił się, ale oni już uciekali, chowając się w wysokiej trawie.

Wtedy oddał swój pierwszy w tej wojnie strzał, mierząc gdzieś w kopułę nieba. Ot, aby ich przestraszyć. I od tej pory, kiedy po zmroku czuł się tu niepewnie, strzelał w górę, a huk odbijał się echem od dalekich budynków. Odliczał wtedy godziny i minuty dzielące go od końca służby, kiedy zmieni go kolega, kiedy będzie mógł położyć się na twardym łóżku i przespać się lub napisać list do domu. Na szczęście poczta polowa działała bez zarzutu. Gdzieś tam, czterysta kilometrów na południe, rozpoczynał się czas żniw. Oczyma wyobraźni przebiegał ten dystans w kilka sekund, a potem krążył od Poysdorf do Mistelbach i od Ameis przez Ernzerdorf do Staatz. Widział rosłą sylwetkę ojca, śledził jego regularne ruchy kosą, strudzoną twarz matki, jasnowłosą, bosonogą Hermine, która zawsze potrafiła jakoś wymigać się od najcięższej pracy.

Coś poruszyło się w zaroślach. Odruchowo zdjął karabin z ramienia i odbezpieczył go. Kilka metrów od niego przemknął tuż przy ziemi ciemniejszy kształt. Kuna? Było ich tu sporo, nocami urządzały sobie polowania. Nieraz widział w obejściach zagryzione kury, słyszał złorzeczące gospodynie.

Westchnął, zarzucając karabin z powrotem na ramię. Do świtu było jeszcze bardzo daleko.

Już od marca dowództwo obniżyło żołd dla szeregowców i kadry niższych podoficerów. Mówiło się, że ma to ścisły związek z planowanym atakiem na Rosję Sowiecką. Podobno zamysł powstał w umyśle Führera jeszcze pod koniec 1940. Początkowo wyznaczono datę 15 maja 1941, ale niepewna sytuacja na Bałkanach i w Grecji spowodowała przesunięcie realizacji o pięć tygodni. Niskie pobory

zmusiły żołnierzy najniższych rangą do szukania dodatkowego zarobku. Karl słyszał to i owo, ale po pierwsze nie miał pomysłu, a po drugie bał się wychylić. Każdego przyłapanego na lewych interesach z Polakami czekało – w najlepszym razie – odesłanie na front wschodni.

Kolegę, którego znał jeszcze ze szkoły (nazywał się Kurt Weissenhoffer) zdegradowano do stopnia szeregowego i oddano do dyspozycji sądu wojskowego. Ktoś doniósł, że napisał on na ścianie korytarza koszar buntownicze hasło „Ohne Geld – kein Held”[1].

Nie pomogły rzekome znajomości i rodzinne koneksje (Kurt miał ponoć stryja w randze nadporucznika, ale oberleutnant Fritz Hermann Weissenhoffer służył we Lwowie i informacja o kłopotach bratanka w ogóle do niego nie dotarła). W ciągu kilku dni zapadł wyrok skazujący żołnierza na rok bezwzględnego więzienia z możliwością zamiany kary na włączenie go do jednostki pancernej przygotowującej się do operacji Barbarossa.

Aby zmyć z siebie hańbę niegodną niemieckiego żołnierza, Kurt zniknął z Krakowa i Karl nigdy już o nim nie usłyszał.

---

1 *Ohne Geld – kein Held* (niem.) – bez pieniędzy nie ma bohatera.

# 2

Doktor Orędowski nie ukrywał głębokiego wzburzenia. Prawdopodobnie tylko kindersztuba wstrzymywała go od rezygnacji ze – zbędnych w tej sytuacji – eufemizmów.

– To jakiś ponury żart – wycedził przez zęby, poprawiając jednocześnie okulary. – Sugeruje pan, że Kornel Rączy jest mordercą?

– Nic takiego nie powiedziałem – szef komendy policji przy Królewskiej Łukasz Krępowicz próbował się bronić, a jednocześnie zachować pewność siebie. Przed miesiącem awansował do stopnia podkomisarza, zasilając szeregi korpusu oficerskiego, co uważał za osobisty, wielki sukces.

– To co Rączy robi w pańskim areszcie?! – stary patolog podniósł głos, co z pewnością było dowodem najwyższego pobudzenia.

– Nie muszę się panu tłumaczyć, doktorze – Krępowicz próbował zachować spokój. – Ale, po starej znajomości, wyjaśnię, że pan Kornel Rączy został ujęty przez policyjny patrol na miejscu zbrodni. W tej sytuacji funkcjonariusze byli wręcz zobowiązani zatrzymać go w charakterze…

– Podejrzanego? – syknął Orędowski. – Czy pan postradał zmysły?

– Jesteśmy zobligowani przestrzegać określonych procedur. Ostatecznie chodzi o morderstwo. Do tego zatrzymany był pod wpływem alkoholu, a pewne przesłanki… – podkomisarz chrząknął znacząco.

– Niech pan teraz uważnie mnie posłucha – wysiłek patologa, aby zahamować kolejny wybuch gniewu był aż nadto widoczny. – Po pierwsze, zatrzymanie Rączego wobec jego ogólnej postawy i niekwestionowanych zasług, dzięki którym jest pan teraz tu, gdzie jest, uważam za kardynalny błąd, jak również absurd z punktu

widzenia logicznego. Po drugie, jestem skłonny poręczyć za Kornela Rączego, co, mam taką nadzieję, spowoduje natychmiastowe jego zwolnienie. Po trzecie, zastanowię się nad formą przeprosin, do której pana absolutnie i nieodwołalnie zobowiązuję. Po czwarte wreszcie, warto byłoby być może przyjrzeć się bliżej niektórym sprawom, a może niektórym ludziom... Mówi się na mieście to i owo.

Kłopotliwą, pełną napięcia ciszę, która zapanowała po krótkiej, acz treściwej tyradzie Orędowskiego, przerwało po chwili nerwowe chrząknięcie Krępowicza. Podkomisarz krowoderskiej policji sięgnął do szuflady. Wyjął z niej kartkę papieru i długopis i bez słowa podał je doktorowi.

– Z dzisiejszą datą? – zapytał z niewinnym uśmiechem patolog.

Po wyjściu Orędowskiego podkomisarz ciężko opadł na fotel. Na czole policjanta kroplił się pot. Ręce lekko drżały, co spowodowało jeszcze większe zdenerwowanie Krępowicza. Myśli wirowały mu w głowie i najchętniej wypiłby natychmiast setkę lub dwie jakiegokolwiek wysokoprocentowego alkoholu, ale zdawał sobie sprawę, że to nie pomoże.

Ile wiedział Orędowski? A skoro coś wiedział lub o czymś słyszał, to zapewne (o, tak!) podzielił się tym z Rączym. Gdyby tak się stało, obaj mieliby go praktycznie w garści. Stałby się ich bezwolnym narzędziem, a kierowanie komendą zmieniłoby się w fikcję. Łyk zmrożonej niegazowanej wody mineralnej podziałał na zmysły jak zimny prysznic. Musi ostatecznie rozmówić się bratem. W przeciwnym razie sytuacja może szybko wymknąć się spod kontroli. Wybrał numer telefonu, ale abonent nie raczył się zgłosić. Oczywiście, kiedy jest potrzebny, nigdy go nie ma. W tym momencie podkomisarz żałował podjętej na początku roku decyzji, miał też niejasne wrażenie, że to nie koniec i że jeszcze nieraz odbije mu się czkawką.

Pół godziny później Rączy opuszczał areszt w towarzystwie doktora.

– Oczywiście, panie Kornelu, zwolnienie z aresztu nie oznacza zakończenia pańskiego udziału w tej niefartownej historii.

– To jasne, panie doktorze. Raz jeszcze dziękuję za poręczenie – Rączy mocno ścisnął ramię Orędowskiego.

– Będą potrzebne zeznania pańskich kolegów, z którymi spędził pan wczorajszy wieczór – patolog uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że nie nastręczy to problemów.

– Myślę, że nie. Zaraz zadzwonię do Bernackiego, to on nas gościł u siebie. – Bolesny grymas na twarzy dziennikarza świadczył o tym, że właśnie zaczynała się najgorsza faza kaca.

– Jakby coś, ja też jestem pod telefonem. – Patolog podał Kornelowi dłoń i oddalił się w stronę zaparkowanego naprzeciw komendy samochodu.

Rączy powlókł się w stronę placu Axentowicza. Potrzebował odpoczynku na ławce i dużej dawki zimnego płynu.

Bernacki i Prochowski, mimo pewnego zaskoczenia zaistniałą sytuacją, zadeklarowali zgłoszenie się na policję celem złożenia zeznań. Zalesiak nie odbierał telefonu. Pomiędzy kolejnymi próbami połączenia się z byłym radiowcem na ekranie telefonu Kornela wyświetlił się numer Ingrid.

– Bardzo przepraszam, że oddzwaniam dopiero teraz, ale… – Rączy zawahał się przez chwilę. – …byłem bardzo zajęty – wybrnął z niezręcznej sytuacji.

– A, tak. Faktycznie dzwoniłam do pana wczoraj – głos w słuchawce zabrzmiał zimnym tonem. – Chciałam tylko poinformować pana, że z pewnych względów jestem zmuszona odwołać nasze spotkanie i właściwie wszystkie kolejne.

– Dlaczego? – zdziwił się Kornel.

– Nie muszę się przecież panu tłumaczyć, ale w tym wypadku… Chodzi o mój przewód doktorski. Po zastanowieniu podjęłam decyzję, że ogrom pracy, jaki na mnie spada, nie pozwoli na razie na kontynuowanie zajęć terapeutycznych – w tym momencie Rączy usłyszał w tle inny, przytłumiony głos. Przez chwilę miał wrażenie, jakby Ingrid, zakrywając dłonią słuchawkę, dyskutowała z kimś. Potem wszystko umilkło. Połączenie zostało zakończone.

– Ani „dziękuję”, ani „przepraszam”, ani „do widzenia”. Cóż, przynajmniej miałem dobre chęci – mruknął pod nosem, westchnął

i pociągnął spory łyk zakupionego w Żabce cytrynowego schweppsa.

Adam Zalesiak obudził się koło południa. Promienie słońca nieśmiało przebijały się przez na wpół rozsunięte rolety. Zmrużył atakowane światłem oczy. Odwrócił się do ściany i przez kilka minut próbował zasnąć. Sen jednak nie chciał ponownie nadejść, a do tego narastał ból głowy spowodowany kacem. Nie znosił tego stanu i wielokrotnie przyrzekał sobie nie pić wódki w dużych ilościach, ale zawsze znalazła się jakaś okazja, taka jak choćby wczoraj. Nie mógł sobie przecież odmówić wizyty u Bernackiego i, w perspektywie, spotkania się tam z człowiekiem, którego tak nienawidził.

Tamto zdarzenie sprzed lat – przytłoczone ogromem wstydu, ale wciąż żywe, otwarte jak krwawiąca rana, jak wieczny stygmat – raz na zawsze zdefiniowało negatywną relację ukrytą pod płaszczem głupich konwenansów. Narastające uczucie beznadziejności i kryzys wieku średniego potęgowały ten stan i były dziennikarz radiowy miał nieraz wrażenie, że wariuje, że oto nadszedł kres jego marnej egzystencji, a wszystkiemu winny jest ten demon w ludzkiej skórze.

Ileż to razy imaginował sobie sytuację, kiedy to on triumfuje, patrząc z pogardą na klęczącą przed nim, zgiętą w pozycji pokutno-modlitewnej postać? Póki co jednak skrzecząca rzeczywistość budziła go z pijackiego snu, przywołując nową falę negatywnych, tak długo tłumionych emocji. I choć ta rzeczywistość wydawała mu się niezwykle obca i wraża, włączył telefon, wychodząc jej naprzeciw.

Rączy padł ciężko na jedyny w mieszkaniu fotel, który niepokojąco zaskrzypiał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Natalii, ale szybko odrzucił tę myśl. Jeśli miała wtedy odwagę, aby uknuć telefoniczną intrygę, która – był o tym przekonany – skróciła jego życie o kilka dni z powodu stresu, powinna znaleźć ją w sobie i teraz.

Powolnym ruchem sięgnął po pilota od sfatygowanego już, ale wciąż grającego odtwarzacza CD. Po chwili pokój wypełnił charakterystyczny głos Nicka Cave'a. Składanka utworów, w których Australijczyk partnerował różnym, acz nieprzypadkowym

wokalistkom i wokalistom, zawierała jeden szczególny kawałek, autorstwa Boba Dylana.

Ale tę wersję lubił najbardziej. Cave zaprosił do niej nie tylko stałą współpracowniczkę Kylie Minogue i kolegę z zespołu Micka Harveya, ale też Shane'a MacGowana i Blixę Bargelda…

Przymknął oczy, wsłuchując się w proste słowa piosenki mającej nieść pocieszenie strapionym, a może też pożywkę cynikom.

*When you're sad and when you're lonely*
*And you haven't got a friend*
*Just remember that death is not the end*
*And all that you held sacred*
*Falls down and does not mend*
*Just remember that death is not the end*
*Not the end, not the end*
*Just remember that death is not the end*

Z letargu wyrwały go wibracje smartfona, a na ekranie wyświetlił się numer Natalii. Przez kilka sekund patrzył w migoczący prostokąt i zastanawiał się nad możliwością rodzinnej telepatii.

– Cześć, tato – głos córki zabrzmiał wesoło i Kornel od razu poczuł się lepiej. – Krótkie pytanie: wiesz może, czy aby uzyskać apostazję, muszę stawić się osobiście w parafii, czy można to załatwić online?

Laura Chociej-Dudniewska, kobieta w średnim wieku, zachowała wiele zewnętrznych cech świadczących o tym, że rozstanie z młodością odbywało się w bólach i nigdy nie zostało przez nią w pełni zaakceptowane. Rosła, szczupła blondynka w prowokująco krótkiej, śnieżnobiałej sukience i szpilkach w tym samym kolorze zdecydowanym krokiem wmaszerowała do pokoju przesłuchań krowoderskiej komendy policji.

Z wysokości przynajmniej stu osiemdziesięciu centymetrów spojrzała na siedzącego już na swoim krześle Krępowicza. Spojrzenie miało w sobie coś władczego, ale też uwodzicielskiego, a jego właścicielka znała swoją wartość, zdawała sobie sprawę z

nietuzinkowej urody, jak również była świadoma, jak może to działać (i działa) na większość spotkanych mężczyzn.

Podkomisarz należał do nich z całą pewnością. Wstał, niemal przewracając stołek, chrząknął i przedstawił się, wymieniając kolejno: pełnioną funkcję, stopień służbowy, imię i nazwisko.

– Dudniewska – usłyszał w odpowiedzi i zanim zdążył podsunąć kobiecie drugie krzesło, ta z wdziękiem usiadła naprzeciw policjanta, zakładając prowokująco nogę na nogę. – Wracam właśnie z tego nieprzyjemnego miejsca, gdzie musiałam potwierdzić tożsamość mojego męża. Proszę pytać, o co pan chce, nie zamierzam niczego ukrywać – wypaliła jednym tchem, kładąc na stole wypielęgnowane dłonie, na palcach których lśniło kilka złotych pierścionków różnej grubości i kształtu.

Krępowicz pomyślał, że określenie „wdowa" nijak nie pasuje do pewnej siebie kobiety. Wcześniej wizualizował sobie zapłakaną, odzianą na czarno małżonkę dewelopera, składającą zeznania w przerwach między głośnym szlochem, głębokimi westchnieniami i ocieraniem łez. Nic z tych rzeczy. Na krześle siedziała spokojna, pełna wewnętrznej równowagi i swoistego taktu dama. Postanowił rozpocząć standardowo.

– Kiedy ostatnio widziała pani męża żywego?

– Z całą pewnością przedwczoraj, przed jego wyjazdem do Warszawy. Pojechał tam we środę rano w interesach. Minęliśmy się w drzwiach, bo akurat wracałam z całonocnego wernisażu u znajomego fotografika – odpowiedziała wyczerpująco, a krwistoczerwone paznokcie zabębniły lekko o blat stołu, jakby Dudniewska chciała przyspieszyć następne pytanie.

– Czy mąż zachowywał się nietypowo, dziwnie, w sposób, który mógłby panią zaniepokoić? – Krępowicz starał się dobierać odpowiednie słowa, jakby dopasowując je do klasy przesłuchiwanej.

– Nic takiego nie zauważyłam, ale jak już powiedziałam, minęliśmy się dosłownie w drzwiach. Oczywiście zdaję sobie sprawę z trudnej sytuacji firmy męża, jak również mam niejaką orientację w jego działaniach zmierzających do zażegnania kryzysu, w jakim znalazł się DUD-BUD. Po to właśnie Abelard pojechał do Warszawy.

Miał spotkać się tam z kimś, kto miał pomysł, jak zaradzić temu regresowi.

– Przepraszam z góry za to, o co teraz zapytam, ale to, co pani powie, jest bardzo istotne. Dlatego proszę się dobrze zastanowić. Czy pani zdaniem mąż miał wrogów? Kogoś, kto życzył mu źle, a może groził?

– Proszę pana, jeśli ktoś zajmuje tak wysoką pozycję w biznesie i obraca naprawdę dużymi pieniędzmi, zawsze będzie miał wrogów. Ludzie potrafią być bezwzględni, zresztą pan pewnie spotyka się z tym na co dzień. Po pierwsze konkurencja w branży dewelopmentu, po drugie nie zawsze chętni do pomocy urzędnicy, po trzecie załoga, począwszy od głównego księgowego, a na robotnikach budowlanych kończąc. Nie znajdzie pan w tej grupie ani jednego zadowolonego, choć przecież Abelard, dopóki mógł, starał się płacić wynagrodzenia w terminie. Do tego jeszcze ci wariaci od wykopanych z ziemi kości. Podobno wczoraj była nawet demonstracja przed kościołem. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale czytałam w sieci, że Abelarda tam wygwizdano, znieważono – kobieta zmrużyła zjawiskowo niebieskie oczy.

– Wspomniała pani, że pan Abelard Dudniewski wypłacał swoim pracownikom pieniądze „dopóki mógł". To znaczy konkretnie do kiedy?

– Kryzys zaczął się w marcu, ale z tego, co wiem, na koniec miesiąca wszystko było jeszcze uregulowane. Firma sięgnęła po rezerwy, aby tylko nie zalegać z niczym załodze. To nasza podstawowa zasada. Kwiecień był znacznie gorszy, a maj…

– Czyli zaległości wobec zatrudnionych przez państwa firmę to wynagrodzenia za dwa miesiące – podsumował Krępowicz, a Dudniewska skinęła potakująco głową.

– Czy ktoś z załogi protestował, domagał się wypłaty zaległości?

– Naturalnie. Nawet przed terminem płatności, jak tylko rozniosła się wiadomość o finansowym kryzysie w DUD-BUD-zie. Trzeba jednak przyznać, że większość podeszła do sprawy ze zrozumieniem, a po spotkaniu, na które Abelard zaprosił przedstawicieli załogi i obiecał uregulować zaległości w ciągu

miesiąca, zobowiązali się oni nie przerywać pracy, aby dokończyć budowę.

– I naprawdę nikogo pani nie podejrzewa?

Laura przecząco pokręciła głową.

– Wybaczy pani, ale muszę o to zapytać. Jak układało się państwa małżeństwo? – Policjant obserwował uważnie kobietę. Przy ostatnim pytaniu nie drgnęła jej nawet powieka, Krępowicz miał nawet wrażenie, jakby była na nie przygotowana.

– Spodziewałam się tego pytania – potwierdziła. – To złożony problem. Jeśli chodzi panu o to, czy stanowiliśmy kochający się związek, muszę, zgodnie z prawdą, odpowiedzieć: od dawna nie. Ale, choć może zabrzmi to dziwnie, lubiliśmy się i szanowaliśmy wzajemnie. Może to pana zdziwi, ale ten układ nam pasował.

– Czy wobec tego któreś z państwa pozostaje w innym, nieformalnym związku? – Podkomisarz poruszył się nerwowo na krześle. Nie oczekiwał tak szczerych i wyczerpujących odpowiedzi.

– Z mojej strony nic takiego nie miało miejsca. Poświęciłam się wychowaniu i wykształceniu syna. Adrian to bardzo wrażliwy chłopiec. Studiuje informatykę w Londynie. Dopiero dzisiaj dowiedział się o śmierci ojca i bardzo się boję, jak to przyjął, ma taką kruchą, introwertyczną osobowość… Napisał mi tylko, że postara się przyjechać na pogrzeb. Właśnie, muszę załatwić jeszcze wszystkie formalności, kiedy tylko zwrócicie nam ciało Abelarda.

Racjonalizm i chłodne myślenie Laury wciąż robiły wrażenie na Krępowiczu. Pomyślał, że nie chciałby nigdy znaleźć się w odwrotnej sytuacji, gdy to ona zadawałaby mu pytania.

– A pan Abelard?

– Pyta pan o romanse męża? No, z pewnością nie żył w celibacie – uśmiechnęła się gorzko. – W końcu był mężczyzną w sile wieku, o określonych potrzebach. Jednak z tego, co wiem, nigdy nie zaangażował się w stały związek, był raczej typem łowcy, którego interesowały jednonocne przygody.

– Może więc któraś z tych, jak to pani ujęła, „jednonocnych” kochanek poczuła się zbyt przedmiotowo? – zasugerował Krępowicz.

– Nie sądzę. Mąż był w tym względzie bardzo ostrożny, poza tym chyba dobrze im płacił. – Laura spojrzała na zegarek. – Czy to

wszystko? Przepraszam, ale trochę się spieszę. Większość rodziny nic jeszcze nie wie…

– Tak, dziękuję. Oczywiście, może pani iść. Jeśli będziemy chcieli jeszcze o coś zapytać, skontaktujemy się z panią.

Podkomisarz siedział jeszcze przez chwilę w pokoju przesłuchań. Wreszcie wstał i z głębokim westchnieniem udał się do swojego gabinetu. Miał niejasne przeczucie, że kobieta nie powiedziała wszystkiego. A może on zapomniał o coś zapytać?

Patrzyła bezradnie na to, co zostało z jej starannie utrzymywanego przez lata porządku. Porządku, który był niejako odwzorowaniem racjonalnego myślenia (sama określała je jako wypadkową między doktryną czasoprzestrzennej rzeczywistości Spinozy a Leibnizem z jego słynnym pytaniem: „dlaczego istnieje raczej coś niż nic?"); porządku, który konstytuował ją jako istotę; porządku kompatybilnego z wybranym stylem życia; porządku, który był nią (w pewnym sensie), tak jak ona była określonym porządkiem myśli, słów i działań.

Mieszkanie wyglądało, jakby znalazło się w oku cyklonu albo przeszło gruntowną rewizję wyjątkowo sumiennych funkcjonariuszy służb wewnętrznych. Przewrócony stół, połamane krzesło, rozbita szyba w drzwiach do pokoju, walające się po podłodze (jej!) ubrania, zniszczone pamiątki, które przywoziła z kolejnych podróży: złamana na pół czarna, drewniana, afrykańska figurka żyrafy, wdeptana w podłogę kopenhaska syrenka, zmiażdżona ciężkim butem mosiężna sowa – wyobrażenie Ateny. I wszędzie ślady krwi (jego krwi). No i pełno potłuczonego szkła…

Z trudem opanowała płacz, choć ręce trzęsły się wbrew jej woli. W milczeniu kontemplowała obraz pobojowiska. Wiedziała, że nigdzie nie zadzwoni, nie podzieli się z nikim swoją rozpaczą; że mimo wszystko musi go przecież chronić, szczególnie teraz, kiedy w każdej chwili mogą po niego przyjść, wystarczy jeden donos… Przecież wielu ludzi krzywo patrzy na takich jak on. Bo tacy jak on zawsze będą podejrzani.

A teraz zniknął i nie wiadomo dokąd poszedł w tym stanie skrajnej autodestrukcji. Mógł przecież nawet… Ingrid wolała nie

myśleć o najgorszym z możliwych scenariuszy.

To było bardzo dziwne, ale jedyną osobą, której podświadomie ufała, był człowiek poznany niedawno, więc jeszcze w ogóle niepoznany. Zaciekawił ją szczerością wypowiedzi, opanowaniem. Tak jakby bawił się konwencją rozmowy będącej przecież formą terapii. To wszystko wykraczało poza ramy zawodowych relacji, siało zwątpienie w jej wypracowany przez lata profesjonalizm, ale nie czuła dyskomfortu. Kilka godzin wcześniej odwołała dalsze spotkania, ale teraz… Przez chwilę walczyła sama ze sobą. Usiadła na jedynym ocalałym kuchennym stołku i automatycznie czy też podświadomie wybrała numer Kornela.

Jeszcze na ulicy Rączy odczytał wiadomość od Natalii, że z tą apostazją to jednak nie, bo w sumie niby dlaczego ma rezygnować, być może pochopnie, z wiary ojców, niech on (znaczy Klaus, jej nowy narzeczony) raczej zastanowi się, czy warto podejmować takie decyzje, kiedy właściwie nie wie się, do jakiej wspólnoty religijnej chciałoby się należeć, więc niech lepiej pomyśli, a sprawę zostawiamy otwartą.

Uśmiechnął się pod nosem. Niby nie prosiła o radę, ale widocznie coś do niej dotarło, bo – abstrahując od religii – sugerował jej zastanowienie się i rozwagę, a nade wszystko asertywność względem kąpanych w gorącej wodzie partnerów.

Zanim dotarł do mieszkania, w kieszeni spodni ponownie zawibrował telefon.

– Stary, jakie jaja! – Tomek Bernacki nie ukrywał podniecenia. – Właśnie wracamy z Marcinem z przesłuchania. O jakie rzeczy nas pytali, to szok!

– Jesteście we trójkę? – Rączy jednocześnie mocował się z kluczem w zamku.

– No właśnie nie! Adam był wzywany pierwszy. Miał na nas czekać, ale gdzieś zniknął i nie odbiera telefonów. W każdym razie idziemy z Marcinem na piwo do tej knajpy przy Czarnowiejskiej, no wiesz, tam gdzie nie ma terminalu, ale są fajne obrazy… Wpadnij koniecznie, my posiedzimy pewnie ze dwie, trzy godzinki.

Kornel potwierdził przybycie, rozebrał się i z ulgą wszedł pod prysznic. Zbawienna ablucja i monotonny szum wody zlały się z potokiem myśli.

Starał się sobie przypomnieć wszystkie zdarzenia z udziałem Zalesiaka. Wcześniej w swych rozmyślaniach nie poświęcał czasu koledze, w którym wyczuwał ukrytą niechęć, będącą być może wynikiem zawiści albo kompleksu. W przeszłości Rączy pomógł mu kilka razy w sprawach zawodowych, ale nie przypominał sobie, aby Adam kiedykolwiek powiedział słowo „dziękuję" albo próbował w jakiś sposób się zrewanżować. Czyżby miało to nastąpić właśnie teraz i to w tak irracjonalnie opacznej formie?

To mogła być jedyna, niepowtarzalna okazja pognębienia Rączego. Facet mający życiowego farta i sporo znajomości przez lata wydawał się nie od ugryzienia. Wreszcie teraz los uśmiechnął się szeroko do Adama Zalesiaka. Bezrobotny aktualnie eksradiowiec odwzajemnił ten uśmiech, odsłaniając zęby jadowe, którymi nie wahał się ukąsić w stosownej chwili. Być może znajdzie w tym ukojenie, a głębokie odczucie krzywdy i niesprawiedliwości zniknie jak złoty sen.

Powód wezwania na policję w charakterze świadka ucieszył go i podniecił. Był chyba jedynym człowiekiem, który z takim entuzjazmem pojechał na przesłuchanie do krowoderskiej komendy.

Szybko ocenił sytuację: Tomek i Marcin powiedzą tylko o tym, co działo się podczas spotkania, on miał tę przewagę, że był z Kornelem także później. Wyraźnie (na ile pozwalał na to stan częściowego upojenia alkoholowego) widział, jak Rączy oddala się w stronę parku św. Wincentego a Paulo. Potem przyjechała zamówiona taksówka, którą Zalesiak pojechał do domu.

Tak właśnie zeznał podczas przesłuchania i nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie fakt pominięcia pewnego drobnego szczegółu. Otóż kilkaset metrów dalej taksówka gwałtownie zahamowała, a Zalesiak o mało nie zwymiotował na tył fotela kierowcy. Ten zaklął głośno i puścił wiązankę w stronę postaci znikającej wśród akademików. Widocznie znienacka wbiegła na jezdnię, prosto pod koła samochodu, i tylko refleks szofera uratował go od kalectwa lub nawet śmierci.

Cóż, pijany nie wszystko musi pamiętać – pomyślał z satysfakcją. Miał zresztą wrażenie, że policjant w stopniu podkomisarza brał pod uwagę poimprezowe okoliczności i w związku z tym nie mogło być mowy o precyzji czy spójności zeznań. Nawet gdyby policja odszukała wiozącego go wtedy taksówkarza, a ten przypomniał sobie zdarzenie, on był kryty.

Za to siedząc naprzeciw Łukasza Krępowicza (tak chyba przedstawił się przesłuchujący), rozwodził się na temat negatywnego stosunku Rączego do nowej zabudowy Krowodrzy, deweloperów, a w szczególności Dudniewskiego. W ten sposób – umiejętnie, jak mu się zdawało – skierował podejrzenie na Kornela.

Miał przecież pewne doświadczenie kryminalistyczne, a jako niedoszły dziennikarz śledczy znał z grubsza procedury postępowania policji. Brak alibi i innych podejrzanych nie stanowiły – jako takie – dowodu, ale były poważną przesłanką w sprawie o morderstwo.

Rączy nie spodobał mu się od samego początku. Osiem lat temu, kiedy poznali się na panelu dyskusyjnym poświęconym rodzajom przestępczości w Krakowie, w bezpośrednim starciu słownym Kornel obnażył wszystkie niedoskonałości Zalesiakowego myślenia, zmiażdżył go zimną logiką, wzorową dedukcją oraz olbrzymią (jak mu się wydawało) wiedzą teoretyczną, owocującą wielością i rozmaitością kryminalnych casusów.

Poznana kilka dni wcześniej Sylwia, z którą Zalesiak przyjechał na nieszczęsny panel i przed którą zamierzał zabłysnąć, wyszła potem z Rączym. Od wspólnych znajomych dowiedział się, że tę parę połączył ognisty, acz niezbyt długi, bo trwający trzy tygodnie, romans.

Na domiar złego obecni na spotkaniu organizatorzy międzynarodowego „Criminal Tour" zaprosili nań oczywiście Kornela. Miesiąc później odwiedził – wraz z trzema innymi wybranymi dziennikarzami – nową i starą siedzibę Scotland Yardu oraz Dom Sherlocka Holmesa przy Baker Street w Londynie. W drodze powrotnej zafundowano mu jeszcze przystanek w Berlinie i umożliwiono spotkanie połączone z możliwością przeprowadzenia wywiadu na wyłączność z gwiazdą skandynawskiego kryminału.

Niezbyt wylewny zazwyczaj Norweg, kiedy w rozmowie dowiedział się o muzycznej przeszłości Kornela, zaproponował mu niespodziewanie wspólny występ ze swoim zespołem Di Derre w jednym z klubów na Kreuzbergu. I tak sieć obiegły zdjęcia, na którym Rączy w koszulce z napisem „Respect! I'm Harry Hole" stoi – dzierżąc dumnie gitarę basową – na rockowej scenie w towarzystwie autora *Czerwonego gardła*, *Trzeciego klucza* i *Pentagramu*.

Po powrocie do Krakowa Kornel był dosłownie rozchwytywany przez media. Stacja radiowa, w której pracował Zalesiak, nie mogła być gorsza. Konstanty Filip Hölle zlecił mu, co było czymś naturalnym, zaproszenie Rączego do godzinnego programu i rzetelne przepytanie go na okoliczność odbytej podróży.

Tego było już za wiele! Ku szczeremu zdziwieniu szefa rozgłośni, Zalesiak kategorycznie odmówił przeprowadzenia rozmowy i wybiegł z budynku radia. Nie pojawiał się tam przez kolejne trzy dni, odreagowując upokorzenie w barach Kazimierza. Nie odbierał żadnych telefonów, aż zauważony w jednej z knajp przez kolegę, został poinformowany, że jego praca w radiu jest już przeszłością.

Co prawda, po pewnym czasie udało się odkręcić sprawę i Zalesiak mógł wrócić, ale po kolejnej zmianie kierownictwa stacji pozbyto się go bez ceregieli i zbędnej w tym przypadku argumentacji. Wszystko to zawdzięczał Rączemu. Wierzył w to i teraz cieszył się swoją zemstą.

– Nie sądzę, żeby Adam chciał mi zaszkodzić – ton głosu Kornela nie wyrażał jednak zdecydowanej pewności. – Mieliśmy przed laty lekkie spięcie, może nawet miał do mnie jakieś pretensje, ale przecież ze trzy razy byłem u Höllego, żeby cofnął swoją decyzję o zwolnieniu z pracy Zalesiaka. Nie... To jakiś absurd. Myślę, że on teraz ma po prostu nie najlepszy okres w życiu. Na imprezie też odzywał się z nas najmniej.

– Bo nie miał się czym pochwalić – odparł Prochowski. – Zresztą wiesz, jak to jest w tym zawodzie: raz na wozie, raz pod wozem. Jeśli ktoś chce pracować w takim charakterze, musi się liczyć z konsekwencjami. Dlatego jakiś czas temu postanowiliśmy z kumplem wziąć sprawy w swoje ręce. Może nie ma kokosów, ale

przynajmniej nikt mnie z roboty nie wyrzuci. Raz jest festiwal filmowy, a innym razem trzeba biegać z operatorem po weselach i chrzcinach.

– Muszę zmykać, choć dzisiaj piąteczek – Rączy uśmiechnął się smutno. – Jego ekscelencja podkomisarz Krępowicz zobligował mnie telefonicznie, abym jutro o dziewiątej zgłosił się na przesłuchanie. Widocznie chce mnie mieć na deser. Potem mam wizytę u doktora Orędowskiego. Jestem mu to winny za jego interwencję. Inaczej nie siedziałbym tu teraz z wami, tylko gnił w tym śmierdzącym areszcie.

– Wobec tego, strzemiennego! – zaordynował Bernacki i ruszył w stronę baru.

Zanim właściciel lokalu napełnił szkło wysokoprocentowym, przeźroczystym trunkiem, Tomek wysłuchał recytacji fragmentu Szekspira, którym w przypływie dobrego humoru szef knajpy raczył ulubionych klientów.

Już z daleka zauważyli łopoczącą na wietrze czerwoną pelerynę. Chuda, zgarbiona postać mężczyzny siedząca na rowerze z tej odległości zdawała się unosić w powietrzu. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na to dziwne zjawisko.

Kiedy był kilka metrów od nich, podniósł w górę prawą rękę i pozdrowił ich jak zawsze:

– *Salvete, pueri!*

– *Salve, Cesar!* – odpowiedzieli chórem.

To należało do ich rytuału i choć uważali Cezara za trochę stukniętego, nigdy nie zapomnieli, aby przywitać się, jak należy, po łacinie. Starsi krowodrzanie mówili, że zwariował po śmierci żony, inni, że kobieta, nie wytrzymując jego narastającego szaleństwa, opuściła go i związała się z przystojnym porucznikiem artylerii, który nie wrócił do domu po kampanii wrześniowej. Dość, że Cezar jeździł po okolicy starym rowerem, zawsze w tej samej, krwistoczerwonej pelerynie, gdzieniegdzie już dziurawej, ale wciąż efektownej, stanowiącej jakby teatralny rekwizyt, element rozpoznawalny.

*Gdzie się podział Orzeł Biały i te dawne czasy*

*Kiedy za złotówkę kupił meter kiełbasy*
*Dzisiaj kupują najbogatsze damy*
*Tylko na gramy*

– zaśpiewał jeden ze swoich niezliczonych kupletów, a chłopcy uśmiechnęli się pod nosem i pomachali odjeżdżającemu w stronę Bronowic rowerzyście. Słyszeli jeszcze jego cichnący w letnim powietrzu zachrypły głos:

*Hej tam pod Krakowem*
*Tam gdzie Wisła płynie*
*Rozwalił się Hitler świnia*
*Na polskiej krainie*

Siedzieli potem długo nad Młynówką. Rudowłosy Antek od Koników, bracia Wojtek i Stefek od Uznańskich, mały Janek Giemza, jego kuzyn Bronek Mysiak i ten nowy. Przyjęli go do swojej bandy, ale przecież nie od razu. Najpierw musiał się wkupić. Bronek miał ochotę na kozik z rzeźbionym, drewnianym trzonkiem, którym bawił się chłopak z czarną, gęstą czupryną ubrany w zieloną koszulę i czarne, krótkie spodnie na szelkach.

Zobaczyli go wtedy nad rzeką i po krótkiej naradzie podeszli razem, starając się zachować wolny, godny i nonszalancki krok. Stanęli w trawie, w pewnej odległości i Antek – jako najstarszy – zawołał:

– E, ty!

Chłopiec odwrócił się, a wtedy oni całą bandą podbiegli i otoczyli go kołem.

– Coś ty za jeden? – głos Antka, właśnie przechodzącego mutację, zabrzmiał trochę grubo, a trochę piskliwie.

– Florek. A wy?

– Czego tu szukasz? – Janek Giemza, niższy od niego o głowę, zbliżył się do intruza i starając się przybrać groźną minę, zacisnął pięści.

– Niczego. – Florek powiódł wzrokiem po całej piątce i choć bardzo tego chcieli, nie ujrzeli w jego oczach strachu. – Mam prawo tu być, tak samo jak wy – dodał butnie.

– To naaasza baaaza i… – zapowietrzył się Wojtek od Uznańskich, usilnie walcząc z jąkaniem, które było jego wstydliwą przypadłością od wczesnego dzieciństwa.

– A może chcesz w łeb? – Bronek przeszedł do konkretów, stając naprzeciw Florka. – Umiesz się bić?

– Z pięcioma naraz? – w głosie nowego wyczuli dziwny, niepokojący spokój.

Chłopak uśmiechnął się kpiąco i spojrzał prowokująco na Bronka.

– Nie… U nas zawsze honornie. Jeden na jednego – Bronek zrobił planową przerwę i podwinął zbyt długie rękawy brudnej, zdecydowanie za dużej koszuli. – Stawaj!

Florek bez słowa schował kozik do kieszeni spodni i stanął naprzeciw. Chłopcy odsunęli się o krok do tyłu, dając pole rywalom.

Pierwszy cios Bronka przeciął powietrze dzięki szybkiemu unikowi Florka. Podobnie drugi, a przy trzecim starszy z Giemzów omal nie stracił równowagi.

– No, dawaj! – wymruczał w kierunku przeciwnika, ale ten ani myślał atakować. Okrążając Bronka, poruszał się na ugiętych nogach, czujny i szybki, gotowy do kolejnych uników.

Nie mogąc trafić obcego, Bronek rozpędził się i z całym impetem wylądował na trawie. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Wstał z kolan i spróbował wyprowadzić jeszcze jeden cios. Tym razem pięść prześlizgnęła się po ramieniu Florka, który wykonał błyskawiczny obrót w miejscu i lewą ręką trafił Bronka prosto w nos. Efekt był tak nieoczekiwany, że właściciel zbyt dużej koszuli złapał się machinalnie za twarz i wtedy otrzymał dwa szybkie uderzenia w żołądek. Zgiął się wpół i nie mogąc dalej walczyć, usiadł bezradnie na trawie. Z nosa płynęła krew, a w oczach pojawiły się łzy bezsilności.

– Wystarczy ci? – Florek podniósł z ziemi kozik, który podczas walki wypadł mu z kieszeni, i obciągnął koszulę.

Chłopcy popatrzyli po sobie w milczeniu, potem ich wzrok przeniósł się na Antka, ale ten spuścił tylko głowę, dając tym samym znak, że następnej walki nie będzie. Podszedł do Florka i wyciągnął rękę w jego stronę. Ścisnęli sobie dłonie.

– Antek Konik – przedstawił się. – Gdzieś się tak bić nauczył?

– Trenowałem boks w Wiśle – odparł skromnie Florek. – To znaczy przed wojną trenowałem przez dwa lata.

Potem siedzieli na trawie nad Młynówką i długo rozmawiali. Bronek na początku trochę się boczył, ale potem chętnie słuchał o nowym, angielskim sporcie, o treningach, zawodach, trenerze, który sam był kiedyś świetnym bokserem. Okazało się, że Florek Bugaj od niedawna mieszka nieopodal w kamienicy, a jego ojciec jest architektem i szefem firmy zatrudniającej murarzy, tynkarzy i innych fachowców.

Antek wpadł do domu w momencie, kiedy matka postawiła na stole dymiącą misę z ziemniakami.

– Umyj się przy studni, boś brudny. Wyglądasz jak nieboskie stworzenie – wydała zwyczajową komendę i zajęła się okraszaniem kartofli skwierczącymi jeszcze skwarkami. – Ojca gdzieś nie widziałeś?

Jakby na zawołanie, od strony zabudowań Uznańskich dał się słyszeć głośny, nieco chrapliwy śpiew:

*Krowodrza, Krowodrza, murarska ojczyzna,*
*Matczyna kolebka, ojcowska siwizna.*

Staszka wyszła na podwórko, a po chwili zza stodoły wyłoniła się postać Mariana Konika. Małżonek szedł chwiejnym krokiem, rycząc na całe gardło:

*Krowodrza, Krowodrza, krowoderskie zuchy,*
*czują się jak pany, choć w kieszeniach puchy.*

Na potwierdzenie ostatnich słów Marian zaprezentował puste kieszenie płóciennych portek, wyciągając z obu podszewkę.

– Gdzieżeś się tak schlał?! – Staszka, nie czekając na odpowiedź, kontynuowała mowę powitalną. – Pan Bóg mnie pokarał takim chłopem! Całymi dniami czas mitręży, ale jedno co potrafi, to schlać się jak świnia! Czekaj, jak spotkam Felę, powiem jej, żeby za próg cię nie wpuszczała! Stary Uznański pewnie cię tym swoim bimbrem

poczęstował… Zobaczysz, że jak się szkopy dowiedzą, że pędzi w piwnicy, to obu was zamkną!

*Krowodrza, Krowodrza, murarska rodzina,*
*jeden za drugiego pójdzie i w kryminał*

– wybełkotał Marian, a zobaczywszy Antka, przywołał go gestem ręki. Kiedy chłopiec podszedł, objął go serdecznie.

– Synu, pamiętaj… – pragnąc za wszelką cenę utrzymać równowagę, uczepił się pierworodnego i całym ciężarem, wraz z nim, zwalił się na ziemię. – Nigdy nie pracuj dla Niemca… – dokończył, leżąc na środku podwórka.

Chwilę później już spał.

# 3

Doktor Orędowski pochylił się nad starannie poukładanymi na laboratoryjnym stole kośćmi. Szkielet nie był kompletny, ale z dostępnego materiału można było sporo wyczytać.

– No i co pan tam widzi, kolego? – zwrócił się do młodego, świeżo upieczonego sądowego antropologa, Grzegorza Kovaca.

– Jest to niewątpliwie szkielet mężczyzny – zaczął niepewnie Kovac. – Świadczy o tym przede wszystkim wąska miednica i wąskie talerze biodrowe ustawione pionowo. Poza tym kość krzyżowa nie jest wygięta.

Przyzwalający, lekki uśmiech Orędowskiego zachęcił go do kontynuacji wywodu.

– Płci męskiej dowodzi również szeroka czaszka z nadoczodołowym zgrubieniem kostnym i pochyloną w tył łuską kości czołowej.

– Pięknie. Widzę, że na studiach nie tracił pan czasu – przerwał mu patolog. – A co można powiedzieć o wieku szkieletu?

– Całkowite połączenie przymostkowej nasady obojczyka z trzonem kości sugeruje dorosłego mężczyznę, może trzydziestoletniego…

– Zwrócił kolega uwagę na wysokość końca jamy szpikowej? Jak widzimy, jest usytuowana na wysokości szyjki chirurgicznej, a nie dochodzi aż do szyjki anatomicznej. Stąd wniosek, że…

– …mamy tu do czynienia ze szkieletem osoby nieco młodszej – Kovac lekko poczerwieniał na twarzy. Swoisty egzamin zafundowany mu przez doktora musiał go stresować.

– Brawo! Teraz sprawdzę, jak długo nasz delikwent przeleżał w krowoderskiej ziemi, a to może trochę potrwać. Pan ma już fajrant, kolego – Orędowski mrugnął wesoło w stronę antropologa. – Aaa…

miałem jeszcze kolegę zapytać o nazwisko. Czy dobrze koncypuję, że płynie w panu szlachetna krew potomków walecznego Attyli?

– Nie wiem, czy szlachetna, panie doktorze – odparł skromnie Kovac. – Tata jest Węgrem, mama Polką, a poznali się podczas studiów, bo mama jest z wykształcenia hungarystką.

– Rozumiem. Nie mam więcej pytań. Jak wy to mówicie: *Lengyel, magyar, két jó barát, együtt harcol, s issza borát*. Żywię głęboką nadzieję, że będzie nam się dobrze razem pracowało. Widzę w panu spory potencjał, kolego – powiedziawszy to, Orędowski przestał zwracać uwagę na Kovaca.

Przesłuchanie Rączego odbyło się w zawiesistej atmosferze wzajemnej niechęci. Kornel kilkakrotnie powtórzył swoją wersję zdarzeń nocy z piątku na sobotę, dowiedział się też, iż tylko swojemu spokojnemu zachowaniu zawdzięcza, że policjanci z patrolu, którzy dokonali aresztowania na miejscu zbrodni, nie złożyli na niego skargi. Użył bowiem słów uznanych za obraźliwe. Jednak okoliczności zatrzymania były na tyle poważne, że – po konsultacji z dyżurnym komendy – zdecydowano się zamknąć go w areszcie, mimo stanu wskazującego na nadużycie alkoholu, co kwalifikowało się do odwiezienia do izby wytrzeźwień.

Podkomisarz Krępowicz z surową miną pouczył go o zakazie opuszczania miasta i obowiązku pozostania do dyspozycji policji aż do odwołania. Wspomniał też, mrużąc oczy, że – gdyby to od niego zależało – Rączy siedziałby przez cały czas w areszcie jako jedyny podejrzany w sprawie zabójstwa Dudniewskiego. Na pytanie Kornela, czy ustalono już orientacyjną godzinę zgonu dewelopera, co być może wykluczyłoby ostatecznie jego domniemany udział w zbrodni, komendant odparł, że jest to wyłącznie sprawa policji, a on – jako zwykły obywatel – zostanie poinformowany w stosownym czasie przez rzecznika prasowego.

– Mam nadzieję, że pana brat… to znaczy rzecznik prasowy… – Kornel uśmiechnął się, doprowadzając Krępowicza do skutecznie stłumionej pasji – nie zapomni o mediach. To jednak czwarta władza.

Podkomisarz nie raczył odnieść się do jawnej złośliwości Rączego.

Kilka minut później, po wyjściu z komendy, Kornel kroczył ulicą Królewską. Orędowski zaprosił go dopiero na wieczór, postanowił więc wykorzystać czas, aby jeszcze raz zadzwonić do Ingrid.

Odebrała dopiero trzeci telefon. Wyczuł w jej głosie zakłopotanie i zupełnie niepodobną do tonu wcześniejszych rozmów przyzwalającą miękkość.

– Dzwoniłam, bo… – Rączy przysiągłby, że Ingrid przełknęła łzę.

– Będę za pół godziny – zdecydował za nich oboje i wobec braku sprzeciwu, zakończył rozmowę.

Dochodziła dwunasta w południe, kiedy pokonując wysokie stopnie schodów starej, pamiętającej sanację kamienicy, wdrapał się na trzecie piętro. Lekka zadyszka świadczyła o ruchowych zaniedbaniach ostatnich miesięcy.

Otworzyła drzwi w błękitnym dresie i przydeptanych pantoflach, bez makijażu. Nie przypominała rezolutnej pani psycholog, opanowanej, lecz czujnej, trafnie punktującej i wyciągającej mądre wnioski, a przede wszystkim panującej nad pacjentem pod każdym względem.

Kornel miał wrażenie, że najchętniej padłaby mu z ulgą w ramiona i przytuliła się, szukając schronienia u człowieka, który kilka dni temu leżał na jej kozetce jak bezradny debiutant.

Ingrid bez słowa zrobiła krok w tył, zapraszając go do wejścia. Tym razem poprowadziła go w lewo, nie do zaanektowanego na gabinet pokoju, a do salonu, w którym oprócz dwóch skórzanych foteli ustawionych na skraju ciemnozielonego dywanu stała ława i pozornie niepasujący do wystroju, obity pasiastą tkaniną szezlong. Całości wystroju dopełniał kaflowy piec elektryczny w kolorze écru, okrągły stolik przy oknie i wielka, trzydrzwiowa gdańska szafa.

Jedynym elementem, który burzył stonowany porządek, był leżący w kącie połamany taboret. Rączy zawiesił na nim wzrok, a potem przeniósł go na gospodynię.

– Nie zdążyłam wszystkiego posprzątać – wyjaśniła tonem usprawiedliwienia. – Do kuchni lepiej nie wchodzić – jej błękitne

oczy zaszkliły się, a dolna warga zadrżała. Chwilę później po policzku potoczyły się łzy.

– Co właściwie się stało? – Kornel machinalnie ujął Ingrid za rękę. – Opowiedz mi wszystko po kolei – celowo zrezygnował z formy grzecznościowej.

Delikatnie uwolniła dłoń, poszukała chusteczki, wytarła oczy i nos. W dalszym ciągu wyglądała jak osoba skrzywdzona, gotowa wybuchnąć nowym płaczem. Opanowała się jednak, usiadła na fotelu, jednocześnie wskazując Rączemu miejsce naprzeciw.

– Przede wszystkim jest mi głupio, że pana… że ciebie fatyguję. Przecież prawie się nie znamy – zaczęła, a jej blada twarz zaczęła na powrót nabierać kolorów.

– Nie wiem, co się stało, ale chętnie pomogę, tylko powiedz mi, o co chodzi – zdziwił się, że ton wypowiedzianego zdania był tak łagodny, jak gdyby zwracał się do kogoś, kogo długo zna, kogo los nie jest mu obojętny, kto być może…

– Przeczytałam o tobie w sieci jeszcze przed naszym pierwszym spotkaniem. Wtedy twoja profesja wydała mi się bez znaczenia, ale teraz wiem, że mógłbyś mi pomóc, tym bardziej że to wszystko łączy się chyba ze sprawą, którą zapewne się interesujesz. Mam na myśli to morderstwo w parku, z pewnością słyszałeś… Podawali dzisiaj w radiu, że znaleziono zwłoki dewelopera, tego Dudniewskiego.

Ciekawe, jak wiadomość przedostała się do radia – przemknęło przez głowę Kornela. A swoją drogą, Ingrid kryła w sobie niejedną tajemnicę. Ta kobieta fascynowała go coraz bardziej.

– Tak, słyszałem o tym – odparł lakonicznie, postanawiając nie wtajemniczać jej w szczegóły swojego udziału w sprawie. – Ale powiedz mi, co tu się wydarzyło – zerknął mimochodem na taboret noszący ślady umyślnej destrukcji.

– To zrobił mój brat – po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. – Patryk jest gejem. Powiedział mi to kilka lat temu, ale ja wiedziałam to od zawsze. Już w liceum interesowałam się psychologią, dużo czytałam, a obserwując brata, nabierałam coraz większej pewności co do jego preferencji. Rok temu Patryk poznał Damiana Wnęka. Obaj studiowali stosunki międzynarodowe. Od początku coś między nimi zaiskrzyło, bo zanim brat przedstawił mi swojego partnera,

dużo o nim opowiadał. Sposób, w jaki opisywał „kolegę” (tak się o nim wyrażał), nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Cokolwiek sądzić o takim uczuciu, z pewnością była to wielka miłość. Wszędzie chodzili razem, choć nie afiszowali się jako para. Nie powiem, że byłam szczęśliwa, ale przyjęłam do wiadomości, że Patryk układa sobie życie po swojemu, i zaakceptowałam to. Oczywiście kryłam go przed rodzicami. Mimo to mama domyśliła się wszystkiego. Ojciec chyba jest nieświadomy do dzisiaj. Kiedy okazało się, że jego jedyny syn nie chce kontynuować inżynierskiej drogi ojca i zamiast politechniki wybrał studia humanistyczne, przestał praktycznie się nim interesować.

– Ojciec jest inżynierem budowlanym? – zapytał Kornel.

– Tak. Podobnie jak dziadek. Dlatego wybór Patryka musiał być, w pewnym sensie, dla niego ciosem. Gdyby dowiedział się jeszcze, że… – ukryła twarz w dłoniach. – Na początku maja między Patrykiem i Damianem coś zaczęło się psuć. Brat chodził podminowany, byle drobiazg wyprowadzał go z równowagi, zaczął pić… Chciałam z nim poważnie porozmawiać, ale zbywał mnie byle czym. Zresztą rzadko bywał w domu. Właściwie nie wiedziałam, z kim się zadaje, w jakim środowisku się obraca. W ostatnią środę przyszedł do mnie niezapowiedziany w środku nocy z wielkim plecakiem. Był pijany, ale udało mi się z niego wyciągnąć, że z Damianem to koniec i że chwilowo wprowadzi się do mnie. Nawet się ucieszyłam. Mogłam go teraz mieć pod kontrolą, przynajmniej do czasu, kiedy nie poprawi się jego stan psychiczny. Nie bez znaczenia jest też mój zawód i umiejętności. Jednym słowem, przyjęłam Patryka pod swój dach i zamierzałam mu pomóc. Dałam mu klucze i to okazało się wielkim błędem. Wczoraj przed południem, kiedy byłam na uczelni, gdzie mam zajęcia ze studentami, zdemolował mi mieszkanie, zabrał wszystkie swoje rzeczy i zniknął.

– To bardzo przykre i niepokojące – przerwał Rączy. – Ale co dziwne zachowanie twojego brata ma wspólnego ze śmiercią Dudniewskiego?

– Otóż wydaje mi się, że ma – Ingrid odzyskała już formę, była znów panią psycholog, co wywołało lekki uśmiech Kornela. – Patryk powiedział mi, że Damian zostawił go dla „jakiegoś Abelarda”. Kpił

nawet, że teraz ekspartner będzie jego nową Heloizą. I że nasz ojciec zna tego człowieka, a nawet z nim współpracuje. Kiedy to opowiadał, nie wszystko od razu zrozumiałam, ale teraz układa mi się to w logiczny ciąg. Imię Abelard jest w Polsce, w Krakowie bardzo rzadkie, a tata faktycznie często wspominał o Dudniewskim.

– Powiedziałaś wcześniej, że między Patrykiem a waszym ojcem nie było raczej dobrych relacji. Skąd wobec tego Damian znał Dudniewskiego? – mimo zdziwienia Kornel starał się rozumować racjonalnie.

– Podobno spotkali się na jakimś raucie. Dudniewski łączył działalność deweloperską z kulturalną i edukacyjną. Był mecenasem wielu projektów. Z tego, co mówił Patryk, pracowali razem z Damianem nad zdobyciem międzynarodowego grantu na warsztaty dziennikarskie czy coś podobnego. Dudniewski był szefem komisji przyznającej dotację. Dla autorów najlepszych projektów zorganizowano przyjęcie, podczas którego Damian poznał się z… Abelardem – ostatnie słowo Ingrid wypowiedziała dziwnie wyniosłym tonem, wydymając pogardliwie usta.

– Z tego, co wiem, choć zaznaczam, że nigdy nie poznałem Dudniewskiego osobiście, miał on normalną rodzinę: żonę, syna. Niedawno czytałem w sieci rozmowę, w której opowiadał, jak ważne jest dla niego życie rodzinne, jak małżonka wspomaga go w realizacji planów. Zdaje się, że było to przy okazji „Gali biznesu”.

– No właśnie. Pytałam o to Patryka, ale on stanowczo twierdził, że rodzina to tylko przykrywka i że prawdziwa twarz Abelarda jest zupełnie inna. Jednym słowem był przekonany o istnieniu romansu Dudniewskiego z Damianem.

– Rozumiem, że twoja obawa bierze się z przypuszczenia, że Patryk w ataku zazdrości zabił Dudniewskiego… – Rączy zagrał w otwarte karty.

Przytaknęła w milczeniu ruchem głowy.

– Patryk nigdy nie zachowywał się agresywnie. Przeciwnie, jest człowiekiem bardzo spokojnym, stonowanym. Właściwie dopiero od miesiąca odkrywam inne oblicze swego młodszego brata – patrzyła teraz przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Nie miewał nigdy napadów szału?

– Nigdy. W tamtym związku to Damian posiadał cechy *yang*: był kreatywny, lubił decydować, miał zazwyczaj ostatnie zdanie. Nawet wizualnie to się zgadzało.

Podeszła do stolika i przyniosła dużą, wykonaną w czarno-białej artystycznej manierze fotografię. Na zdjęciu Kornel zobaczył dwóch młodych mężczyzn w braterskim uścisku. Obaj uśmiechnięci, opaleni. Od razu rzucała się w oczy spora różnica wzrostu i budowy. Jasnowłosy, brodaty i barczysty Damian przypominał trochę wikinga; niższy o ponad głowę, szczupły szatyn musiał być Patrykiem. Fotografię zrobiono prawdopodobnie w galerii handlowej, w tle widoczne były usytuowane szeregowo sklepy opatrzone logami znanych firm odzieżowych.

– Kto jest autorem tego zdjęcia?

– A, to akurat wiem – chyba po raz pierwszy tego dnia Ingrid uśmiechnęła się. – Nazywa się Adam Zalesiak.

Laura Dudniewska odłożyła telefon na sofę. Próby namówienia syna do przyjazdu do Krakowa na pogrzeb ojca spełzły na niczym. Adrian wymówił się ciężką sesją egzaminacyjną i ogólnym brakiem czasu. Żadne argumenty, te o charakterze rodzinno-sentymentalnym i te finansowo-pragmatyczne, nie trafiły mu do przekonania.

Została więc sama z całą masą formalności związanych z pochówkiem męża, co zresztą wydawało się jedynie preludium do prawdziwych kłopotów wynikających z fatalnej kondycji firmy. Laura miała na jej temat tylko częściową orientację i nie bardzo wiedziała, co ma zrobić. Miała świadomość, że zaraz po pogrzebie zaczną się kolejne monity ze strony załogi. Czekały ją też – żmudne zapewne i wymagające wiedzy i czasu – rozmowy w sprawie wznowienia budowy apartamentowca w miejscu, gdzie odkopano ludzki szkielet.

Że też nie miał gdzie umrzeć – przemknęło jej przez myśl. To jakby zemsta zza grobu, nieoczekiwana, pozaziemska odsiecz dla krowoderskich obrońców parku.

Postanowiła naradzić się z księgowym (i jednocześnie radcą prawnym), Zbigniewem Krajskim, który pełniąc tę funkcję od kilkunastu lat, obsługiwał z powodzeniem kilka innych, mniejszych

firm, dzięki czemu, a także dzięki wydatnej pomocy Dudniewskiego, dorobił się dwóch przestronnych i nowoczesnych willi pod Krakowem, ponad stumetrowego mieszkania w apartamentowcu na terenie Podgórza i siedmiocyfrowej sumy na koncie w jednym z banków. Oficjalnie.

Laura przypuszczała, że przynajmniej drugie tyle Krajski zagarnął, wykorzystując liczne luki prawne, a dzięki znajomości tematu aktywnie uczestniczył w przejmowaniu krakowskich kamienic, których właścicielami stawali się – dziwnym trafem – zaufani znajomi księgowego. Trzy lata wstecz prokuratura przedstawiła mu nawet w tej sprawie zarzuty, ale po kilku miesiącach śledztwo zostało umorzone.

Oczekiwała więc od Krajskiego konkretnej pomocy. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ten człowiek niczego nie robi bezinteresownie, a jego bezwzględna przewaga w kwestiach ekonomiczno-prawnych mogła w przyszłości okazać się zgubna – i dla firmy, i dla niej samej. Wiedziona potrzebą chwili, wybrała w telefonie numer księgowego.

Ten nie wydawał się zdziwiony. Złożył kondolencje, obiecał spotkanie i zadeklarował wszelką pomoc w tej trudnej, acz nie beznadziejnej – jak się wyraził – sytuacji.

W rzeczywistości Zbigniew Krajski nie był tego dnia w tak dobrym humorze. Powody były dwa. Po pierwsze, zaraz po radiowym komunikacie o śmierci Dudniewskiego odebrał inny telefon. Rozmowa była dość krótka, ale jej treść sprawiła, że księgowy firmy DUD-BUD dosłownie i w przenośni oblał się zimnym potem, co absolutnie nie stało się za sprawą wysokiej temperatury otoczenia.

Po drugie, mężczyzna, który siedział teraz w jego ulubionym fotelu, trzymając bezczelnie nogi w – musiał to przyznać – świeżo wyczyszczonych, błyszczących czarnych półbutach na jego ulubionej ławie, nie przyniósł mu dobrych wiadomości, co więcej, przedmiot z oksydowaną lufą wymierzony prosto w gospodarza powodował poważny dyskomfort.

Mężczyzna mówił mało, ale każde słowo (Krajski miał tego świadomość) było istotne i raczej nie podlegało negocjacjom. Co

więcej, miał niejasne przeczucie, że oto kończy się pewna epoka i nic już nie będzie takie jak dawniej. Chwilowo jednak myśli zaprzątała mu tylko ta jedna sprawa, której załatwienia domagał się siedzący przed nim facet.

Wpuszczenie gościa do mieszkania okazało się wielkim błędem. Został spacyfikowany w błyskawiczny, w pełni profesjonalny sposób i aktualnie jego położenie było po prostu złe.

Nieoczekiwanie mężczyzna podniósł się z fotela, wygładził spodnie i z drwiącym uśmiechem spojrzał w twarz Krajskiego.

– Masz dwa dni. Dwa dni i ani minuty dłużej – wycedził przez zęby. – Nie próbuj uciekać, bo i tak znajdę cię wszędzie. Pamiętaj o tym, a być może wywiniesz się jakoś z tej sytuacji – to mówiąc, opuścił salon.

Po chwili księgowy usłyszał odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Pobiegł do przedpokoju, przekręcił wszystkie cztery zamki, wrócił do salonu i ciężko opadł na fotel. W powietrzu czuł dziwny zapach, ale był to zapach tamtego. Facet zalatywał dobrą, markową perfumą i w ogóle sprawiałby wrażenie zadowolonego z siebie eleganta, gdyby nie zimne, stalowe w kolorze oczy, które podczas nieoczekiwanej wizyty spoglądały na niego beznamiętnie.

W powietrzu czuć było jednak coś zupełnie innego. Tak pachniał strach.

Domofon milczał. Rączy usiadł na ławce przed klatką bloku przy Rolniczej, zapalił papierosa i cierpliwie czekał. Po dziesięciu minutach drzwi otworzyły się, czego następstwem była scena szamotania się przy wejściu kobiety pchającej przed sobą wózek z dzieckiem. Samozamykające się drzwi skutecznie ograniczały możliwość manewru młodej matki. Kornel natychmiast pospieszył jej z pomocą – przytrzymał drzwi i nie czekając na „dziękuję”, wślizgnął się do klatki. Mieszkanie wynajmowane przez Damiana i Patryka znajdowało się na pierwszym piętrze, na wprost schodów.

Starając się zachować ciszę, podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Z wewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Uwagę Rączego zwróciła natomiast okrągła wlepka umieszczona tuż przy dzwonku. Przedstawiała ona, stylizowaną na drogowy znak zakazu, czarną

postać mężczyzny jadącego na rowerze – białe tło, czerwone obramowanie i również czerwona, biegnąca ukośnie linia przekreślająca sylwetkę rowerzysty.

Kornel nacisnął dzwonek. Rozległ się głośny gong, po czym na powrót zapadła cisza. Powtórzył operację, z tym samym efektem. Ostrożnie nacisnął klamkę. O dziwo, drzwi ustąpiły. Rączy rozejrzał się wokoło i powoli wszedł do środka. Omiótł wzrokiem kuchenną wnękę i pokój. Zatrzymał się przed drzwiami do łazienki i energicznym ruchem otworzył je. To, co zobaczył chwilę później, sprawiło, że odruchowo cofnął się do przedpokoju. W wannie leżał kompletnie nagi młody mężczyzna. Woda była czerwona od krwi.

Kornel zbliżył się i zauważył kilka krwawych ran w okolicach brzucha i torsu. Opanowując drżenie rąk, założył obcisłe, gumowe rękawiczki, które zazwyczaj nosił przy sobie, i sprawdził puls. Z całą pewnością facet nie żył. Jego gardło było poderżnięte, a na twarzy denata wyraźne były ślady pobicia. Przyjrzał się jej. Mimo pierwszych zmian pośmiertnych nie ulegało wątpliwości, że w wannie spoczywają zwłoki Damiana Wnęka.

Na początku kwietnia, po porannym apelu, Karl został wezwany do dowódcy kompanii. Zdziwiło go, że hauptmann Georg von Knabe postanowił przyjąć go punktualnie o dziewiątej rano w prywatnym mieszkaniu przy Danziger Strasse.

Sędziwy – jak mu się wtedy zdawało – oficer powitał go w salonie, zaproponował kawę, a sam usiadłszy w głębokim fotelu, sączył wolno koniak z kieliszka.

– Mam taką przypadłość, która każe mi studiować karty powołania i inne dokumenty moich podkomendnych. Lubię wiedzieć, kim dowodzę – zaczął i zwrócił wzrok na siedzącego sztywno na krześle żołnierza, gotowego w każdej chwili przyjąć postawę zasadniczą. – I tak trafiłem na twoje nazwisko. Co prawda, jest ono dość popularne, ale już miejsce urodzenia zwróciło moją uwagę. Krótko mówiąc, po sprawdzeniu tego i owego, okazało się, że służyłem z twoim ojcem Wolfgangiem podczas Wielkiej Wojny w Polsce.

Zerknął znad okularów, jakie wrażenie ta informacja zrobiła na Karlu, ale ten, mimo że chwytał i rozumiał każde słowo, nie dawał nic po sobie poznać.

– Pozwoliłem sobie w zeszłym tygodniu, wykorzystując trzy dni urlopu, pojechać do Mistelbach i spotkać się z twoją rodziną – kontynuował po chwili oficer. – Od razu zaznaczę, że wszyscy są w dobrym zdrowiu, nie musisz się o nich martwić. Wolfgang poczęstował mnie tym waszym słynnym veltlinerem. Przyznam, że bardzo zacny trunek. Zresztą przywiozłem sobie do Krakowa kilka butelek. Ale przecież nie wezwałem cię po to, aby opowiadać ci o winie…

Roześmiał się, ukazując rząd lekko zżółkniętych, lecz prostych zębów. Zapalił papierosa.

– Mam dla ciebie pewną propozycję, której oczywiście nie musisz przyjąć – uśmiechnął się, wydmuchując dym. – Myślę jednak, że odrzucając ją, byłbyś kompletnym idiotą, a twój ojciec przedstawił cię jako mądrego, zaradnego i co najważniejsze, godnego zaufania chłopca. Zatem do rzeczy.

Od tej pory życie Karla uległo diametralnej zmianie. Począwszy od tego, że został przeniesiony do innego, znacznie wygodniejszego mieszkania przy Holzweberstrasse, które dzielił z żołnierzem Wehrmachtu o imieniu Helmut, pochodzącym z Nadrenii-Westfalii. Oficjalnie obaj nadal pełnili służbę polegającą głównie na patrolowaniu okolic Krakauer Park, przed wejściem do którego umieszczono tabliczkę z napisem „ZUTRITT NUR FÜR DEUTSCHE”, oraz rzeki, której nazwy Karl nie mógł nigdy zapamiętać.

Jednak prawdziwym wyzwaniem była misja zlecona im przez von Knabego. W tym celu zostali zaopatrzeni w pewną ilość pieniędzy (złotych i dolarów), a także w antyniemieckie gazetki i ulotki oraz dodatkową broń.

Hauptmann Georg von Knabe był szefem komisji budowlano-przetargowej decydującej o tym, która firma będzie stawiać kolejne budynki rozrastającej się Deutschviertel, zasiedlanej przez urzędników i oficerów Trzeciej Rzeszy.

Przetargi łączyły się oczywiście z łapówkami, które von Knabe brał bez mrugnięcia okiem, po czym wybierał firmę mającą – jego zdaniem – najlepiej się sprawdzić w kolejnym zadaniu budowlanym. Strumień pieniędzy (nie licząc niemałego przecież żołdu i dwóch dodatków funkcyjnych) płynął więc do kieszeni kapitana.

Jednak po kilku miesiącach pojawił się pewien problem. Szefowie trzech firm budowlanych wystosowali oficjalny protest, w którym domagali się sprawiedliwych werdyktów przetargowych. Rzeczowe argumenty, wśród których nie zabrakło precyzyjnych wyliczeń zawartych w ofertach i równie dokładnych zestawień jednoznacznie świadczących o faworyzowaniu konkurencji przez organ zatwierdzający projekt i zezwalający na rozpoczęcie prac budowlanych, zaniepokoiły Knabego.

Do tego stopnia, że uknuł iście szatański plan. W ciągu kilkunastu dni aresztowano dwóch niezadowolonych szefów, a trzeciego zastrzelono przy rzekomej próbie ucieczki. Oficjalnym powodem aresztowania było znalezienie podczas rutynowej rewizji w ich domach dużej ilości pieniędzy, kilku sztuk broni i nielegalnej prasy. Wszystko to znalazło się tam za sprawą Karla Schustera i Helmuta Doppelfingera, który przed wojną był niezwykle sprawnym złodziejem-włamywaczem w Düsseldorfie.

# 4

Ma pan zdumiewającą zdolność znajdowania się na miejscu, gdzie popełniono zbrodnie. – Orędowski z zapamiętaniem czyścił zaparowane okulary. – Gdybym pana nie znał, pomyślałbym, że... Zresztą po co gdybać, przecież znamy się nie od dziś i nie od wczoraj, panie Kornelu – spojrzał pogodnie na Rączego.

– Powinienem od razu zgłosić morderstwo na policji, to obywatelski obowiązek. Ale w tej sytuacji trochę spanikowałem. Wątpię, żeby Krępowicz uwierzył w kolejny przypadek. – Kornel upił trochę przygotowanej przez doktora lemoniady z cytryną i miodem.

Od kwadransa siedział w fotelu w przytulnym domowym gabinecie patologa. Przez ten czas zdążył mu opowiedzieć o Ingrid, jej bracie i jego – obecnie martwym – przyjacielu oraz o odkryciu zwłok, opisał dość precyzyjnie ich wygląd, nie zapomniał nawet wspomnieć o wlepce przy drzwiach wejściowych.

– Chyba ma pan rację – Orędowski zamyślił się. – Komendant pana nie lubi, zresztą mnie też – zachichotał cichutko.

– Pana? O ile wiem, wciąż zainteresowani są pana pomocą – zdziwił się Rączy.

– Niby tak – zgodził się patolog. – Ale za dużo wiem, za dużo widziałem i słyszałem, a przede wszystkim za dużo ludzi znam. Szczególnie takich ludzi, którzy mogliby z łatwością przekreślić całą tę, pożal się Boże, karierę Krępowicza. On o tym wie i dlatego nie darzy mnie szczególną sympatią, choć boi się otwartego konfliktu. Zdaje sobie sprawę, że ma sporo do stracenia, podczas gdy ja oficjalnie jestem emerytem i praktycznie nic nie mógłby mi zrobić. Ale, ale... Co pan zamierza zrobić ze sprawą tego biednego nieboszczyka pływającego w wannie?

– Zostawiłem otwarte na oścież drzwi od mieszkania, licząc na to, że ktoś z sąsiadów zainteresuje się nimi i odkryje zwłoki. – Konrad łypnął niepewnie na Orędowskiego. – Teraz zna pan jeszcze jedną tajemnicę, panie doktorze.

– Zastanawiam się, co zrobiłbym w pana sytuacji – twarz patologa przyjęła jowialny wyraz. – Chyba postąpiłbym podobnie… Pomyślmy. Wcześniej czy później ktoś odkryje zwłoki i z dużą dozą prawdopodobieństwa zawiadomi organy ścigania. Sęk w tym, czy na pewno nikt pana nie widział… – doktor zawiesił głos.

– Poza młodą kobietą, której pomogłem wyprowadzić z klatki wózek z dzieckiem, nikt – Rączy obserwował bacznie reakcję gospodarza.

Ten skrzywił się i z dezaprobatą pokręcił głową.

– Niedobrze. Zapamiętała pana, to więcej niż pewne – wydął policzki, by po chwili wypuścić z nich powietrze. – Będą ją przesłuchiwać, ona poda pana rysopis, Krępowicz szybko skojarzy, o kogo chodzi, i wtedy nawet ja nie będę mógł pomóc. Chyba że… – doktor uśmiechnął się chytrze znad okularów. – Jaki tam jest adres?

Kornel podał Orędowskiego numer bloku przy alei Kijowskiej, a wtedy patolog poderwał się nagle z fotela i krzyknął:

– Jedziemy! Niech pan dzwoni po taksówkę!

– Nie dam się w nic wrobić, nie wiem, kto zajebał tego pedała, i chuj mu na grób, ale to nie ja! – Pawik zatrząsł się cały ze złości, a jego twarz w jednej chwili nabrała koloru purpury. – Czepiacie się, kurwa, bo nie boję się mówić głośno, o tym, o czym wszyscy wiedzą. Auuu! Puść mnie, psie! – zawył z bólu.

Policjant z olimpijskim spokojem, pomagając sobie kolanem, zapiął kajdanki na plecach aresztowanego i zmusił go do wstania, a następnie do marszu w niewygodnej, wychylonej po przodu pozycji.

– Zamknij ryj, Pawik! – wycedził. – Będziesz się tłumaczył na komendzie. I tak mamy na ciebie tyle, że sam się zdziwisz.

Dotarli do radiowozu. Pawik nadludzkim wysiłkiem spróbował się wyrwać, skutkiem czego uderzył z impetem głową o okienną ramę samochodu. Z łuku brwiowego obficie pociekła krew.

– Biją mnie! Mordercy! – ryknął raz jeszcze i obezwładniony przez drugiego funkcjonariusza zniknął we wnętrzu pojazdu.

Tłum zafalował, ktoś gwizdnął na palcach.

Taksówkarz, manewrując umiejętnie między gapiami, zaparkował tuż przy krawężniku.

– Dalej nie jadę, tu kroi się jakaś zadyma. Nie chcę, żeby mi auto przeszklili – wyjaśnił krótko swój punkt widzenia.

– I nie trzeba – odparował Orędowski, sapiąc, jakby przez ostatnie kilka minut nie siedział obok kierowcy w przestronnym mercedesie CLA, a właśnie przebiegł dwukilometrowy dystans dzielący go od ulicy Chopina do bloku przy Rolniczej. – Wysiadamy, panie Kornelu – poinformował, odwracając głowę w stronę tylnego fotela i jednocześnie uiszczając należność.

Rączy z daleka zauważył charakterystyczną, wyprostowaną sylwetkę Krępowicza. Odruchowo cofnął się, lecz doktor, napierając na niego od tyłu całym swoim ciężarem, pchnął go w stronę komendanta.

– Co, strach pana obleciał? – burknął mu nad uchem patolog. – I to przed kim? – zabawny grymas twarzy znamionował kompletny brak respektu dla podkomisarza.

Krępowicz zrobił zdziwioną minę, jednak szybko się opanował.

– A ten tu po co? – ignorując Kornela, zwrócił się do patologa.

– Pan Rączy wykonuje swoje obowiązki zawodowe, a nawet więcej – Orędowski sapnął ponownie i przysiadł na ławeczce obok trzepaka. – Gorąco dzisiaj. I dosłownie, i w przenośni – otarł chusteczką pot z czoła. Po chwili na jego twarzy igrał już cyniczny uśmiech. – Widzieliśmy, że ujął pan już sprawcę. Co za tempo, panie komendancie, pogratulować – pokręcił głową ni to z uznaniem, ni to z dezaprobatą.

– Jak pan widzi, działamy szybko – rzucił przez ramię Krępowicz. – Nie wiem tylko, czy ktoś to potrafi docenić.

Doktor zsunął się z ławeczki, podszedł bliżej do policjanta i szepnął mu coś na ucho. Ten spojrzał na niego z wyrazem zaskoczenia na twarzy, ale zaproszony wymownym gestem Orędowskiego oddalił się wraz z nim za róg budynku.

Uwagę Kornela zwrócił natomiast młody, wygolony na łyso człowiek, który z daleka obserwował działania policji częściowo ukryty za rozłożystym jesionem. W oczekiwaniu na Orędowskiego Rączy wycofał się aż na alejkę, po czym nie spuszczając faceta z oczu, zaszedł go od tyłu. Wykonał jeszcze jeden oskrzydlający manewr, odcinając mu ewentualną drogę ucieczki, zrobił kilka zdecydowanych kroków i stojąc w odległości może pięciu metrów za mężczyzną, odezwał się znienacka:

– Ładnie to tak podglądać, Kola?

Łysy drgnął nerwowo i wolno, wolniutko zaczął odwracać się w stronę Kornela. Rączemu nie umknął jednak charakterystyczny gest sięgnięcia do kieszeni i kiedy Kola rzucił się na niego z nożem, wykonał sprytny unik. Łysol, pozbawiony punktu oparcia, runął na trawę. Kornel mocnym kopnięciem wytrącił mu z ręki sporej wielkości butterflya, a chwilę później siedział na przeciwniku okrakiem, trzymając prawą dłoń na wysokości gałek ocznych leżącego, lewą zaś chwyciwszy go za kark.

– Rusz się, a nie zobaczysz już nic – zapowiedział i niby przypadkiem zacisnął palce jednocześnie na obu powiekach Koli. Cichy jęk oznaczał, że wstępne porozumienie zostało osiągnięte.

Kornel zdawał sobie sprawę, jak idiotycznie musi wyglądać sytuacja, w której jeden dorosły mężczyzna (z nadwagą) siedzi na plecach drugiego dorosłego mężczyzny (bez nadwagi). Co prawda trzymał go w szachu, ale wykonanie telefonu było niemożliwe.

– A teraz, Kola, zrobisz coś, czego nigdy w życiu nie robiłeś. Będziesz, jak najgłośniej umiesz, krzyczał tylko jedno słowo: po-li-cja!

W odpowiedzi łysol szarpnął się, ale ponowny zabieg z palcami i powiekami ostudził jego zapał.

– Nie mamy czasu, żeby tak sobie tu tkwić, więc do dzieła: po-li-cja! – zaintonował Kornel. – Śmiało, Kola, głośniej, nie mamy całego dnia.

Upłynęło trochę czasu, nim wołanie usłyszeli ludzie zgromadzeni w sąsiedztwie wieżowca, kolejnych kilka minut zajęło policjantom dotarcie na miejsce.

Za dwójką mundurowych szedł szybkim krokiem Krępowicz, a z tyłu słychać już było sapanie Orędowskiego. Marsowe miny stróżów prawa komicznie korespondowały z szerokim uśmiechem patologa.

– Widzi pan, komendancie? To właśnie cały Kornel Rączy… – z braku ławki doktor oparł się o drzewo. – Macie drugiego łysego do kompletu. Pewnie szukalibyście go przez następne… – machnął ręką na znak, że temat niewart jest kontynuacji.

W oczach Krępowicza, gdy patrzył na otrzepującego trawę i liście z kolan Rączego, głęboka niechęć walczyła z nieumiejętnie ukrywanym szacunkiem.

Kola, w odróżnieniu od Pawika, zachowywał się spokojnie. Skuty kajdankami i doprowadzony do radiowozu posłał jeszcze Kornelowi spojrzenie pełne nienawiści i zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

– Myślę, że w tych okolicznościach pan redaktor Rączy powinien być obecny przy przesłuchaniu obu zatrzymanych. Ostatecznie wydatnie przyczynił się do ujęcia jednego z nich. To, zdaje się, nazywamy zatrzymaniem obywatelskim. – Orędowski zmrużył oczy i czekał na odpowiedź Krępowicza.

– Nie widzę takiej potrzeby, doskonale damy sobie radę bez niego – odparł zdecydowanie komendant. – Może pan, oczywiście, zgłosić napad z użyciem niebezpiecznego narzędzia – dodał, zwracając się bezpośrednio do Kornela.

– Im większymi jesteśmy głupcami, tym usilniej staramy się uchodzić za mądrych – westchnął patolog.

– Czy pan coś sugeruje, panie doktorze? – w głosie Krępowicza zadźwięczała nuta urażonej dumy.

– Ja? A skądże znowu… Co najwyżej pewien zacny Niderlandczyk, niejaki Jacob Cats – zachichotał Orędowski i mrugnął porozumiewawczo do Kornela.

Po chwili dwa policyjne radiowozy odjechały na sygnale w kierunku Królewskiej. Ludzie zaczęli się rozchodzić, nie przestając komentować niecodziennego zdarzenia.

– Widzi pan, nie wszystko można załatwić od ręki – doktor zamyślił się. – Ale bądźmy w kontakcie. Mogę panu obiecać, że ten bezczelny młokos niedługo pożałuje swojej buty.

Krępowicz usiadł w pokoju przesłuchań naprzeciw Pawika. Czuł zawodowe podniecenie i, jak mu się wydawało, posiadał sporą przewagę psychologiczną nad zatrzymanym.

– Masz grubą kartotekę, Bogdan. Dilerka, wymuszenia, pobicia... Bez trudu wsadzimy cię do pudła na kilkanaście lat. A jeszcze to morderstwo... – zawiesił głos, sprawdzając, jakie wrażenie na Pawiku wywarł opracowany pieczołowicie wstęp.

– Jakie, kurwa, morderstwo?! Ile razy mam wam powtarzać, że nie mam z tym nic wspólnego? – Bogdan Pawiński aż zatrząsł się ze złości i gdyby nie był skuty kajdankami, z pewnością rzuciłby się na policjanta. – Mam zresztą alibi!

– Grzeczniej, Pawik! – natychmiastowa reakcja Krępowicza ostudziła zapał jego rozmówcy. – Jakie alibi?

– No, z chłopakami byłem na dzielni cały czas. Stara mnie z domu pogoniła, to poszedłem do kolegi i tam siedzieliśmy przez trzy dni. Tylko do sklepu wychodziliśmy po... zakupy – uśmiechnął się pod nosem.

– Oczywiście sprawdzimy to, przesłuchamy kogo trzeba. U którego to kolegi byłeś? Nazwisko, adres! – podkomisarz wprowadzał w tok przesłuchania dynamiczne zmiany, modelując ton głosu od szeptu do krzyku. Kilka filmów kryminalnych obejrzanych w telewizji pomogło mu w obranej taktyce.

– U Hormona. On mieszka na Racławickiej, w takiej starej kamienicy. Nie pamiętam numeru, ale trafię – Pawik stopniowo odzyskiwał pewność siebie.

– Gdzie trafisz, to jeszcze zobaczymy. Ciekawe też, co powie twój przyjaciel Kola – Krępowicz starał się panować nad sytuacją, utrzymując przewagę psychologiczną. Stara, powtarzana i przekazywana z pokolenia na pokolenie policyjna zasada mówiła, że im mniej pewny i zorientowany w sytuacji jest przesłuchiwany, tym lepiej dla śledztwa. Łatwiej wtedy o błędy i wynikające z nich wnioski.

– Koli ze mną nie było, to przecież brat mojej starej. Trzyma jej stronę – odparł smutnie Pawik i spuścił głowę. Widocznie wspomniany konflikt z małżonką wciąż wzbudzał w nim emocje.

Krępowicz celowo nie poruszył wątku, który mógłby być motywem zbrodni. Patrząc z pewną ciekawością na czarny T-shirt Pawika z nadrukiem szczególnej kombinacji celtyckiego krzyża, znamionującego supremację białych, z mieczykiem Chrobrego, symbolizującym Szczerbiec, miecz koronacyjny królów polskich, obmyślał sprytny plan.

Doktor Orędowski był w szoku. Od niemal czterdziestu lat, kiedy zaczynał pracę jako patolog, choć ta profesja nie była jeszcze wtedy jasno określona, nie popełnił tak prostego błędu. Młody Kovac, człowiek świeżo po studiach i bez niezbędnego doświadczenia zawodowego, będącego gwarantem nieomylności, wypunktował go bezbłędnie. Relacja mistrz – uczeń przestała istnieć i w jednym momencie Orędowski poczuł się stary i niepotrzebny.

Przed laty, w epoce późnego Gierka, kiedy pod koniec studiów medycznych wybrał specjalizację, nie obnosił się z tym początkowo. Było bowiem jasne, że przyszła praca będzie wiązała się ze współpracą ze znienawidzonym resortem. Świeża jeszcze sprawa morderstwa Stanisława Pyjasa, studenta-opozycjonisty, którego zwłoki znaleziono w bramie przy Szewskiej, wzmogła społeczną nieufność do wiadomych organów, a Orędowski uczestniczył nawet w antykomunistycznych demonstracjach.

Jako wybijający się student znalazł się jednocześnie w orbicie zainteresowań oficerów śledczych, a proponowane warunki pracy i jej charakter skusiły początkującego patologa.

Najtrudniejsza była rozmowa z ojcem, pamiętającym nie tylko akademickie manifestacje w 1968 roku, ale też mroczne czasy stalinowskie. Jeden z niewielu na swoim wydziale bezpartyjnych naukowców z tytułem profesora, trwał niezłomnie przy swoich przekonaniach.

Kiedy Jędrzej Orędowski usłyszał wreszcie z ust syna wiadomość, że oto pierworodny wstępuje w szeregi Milicji Obywatelskiej, powiedział tylko trzy słowa, które potem w pełni się potwierdziły. *Accipis, ut taceas* – płacą ci, byś milczał.

Jakakolwiek argumentacja była w tym wypadku niemożliwa, gdyż ojciec zwyczajnie przestał się odzywać, a fakt wyprowadzki adepta

patologii i medycyny sądowej z rodzinnego domu potraktował – przynajmniej tak wskazywało jego pełne pogardy i dezaprobaty zachowanie – zupełnie obojętnie.

Cierpieli obaj, bo rozstaje dróg zostały daleko za nimi, a życie przyspieszyło i z każdym dniem obaj mężczyźni byli bardziej utwierdzeni w swoich racjach. Okazja do zmiany patowej w gruncie rzeczy sytuacji nadarzyła się, kiedy młody Orędowski dowiedział się, że w łonie służb MO grupa odważnych zakłada związek zawodowy. Miało to oczywiście ścisłe powiązanie z powstaniem „Solidarności" i faktem, że w jej szeregach znalazło się kilka milionów ludzi.

Ostatecznie spisek wykryto, a świeżo upieczony patolog trafił do aresztu. Jedynie nieposzlakowana opinia i umiejętności zawodowe spowodowały, że poza wpisem do akt i udzieleniem oficjalnej nagany uniknął poważniejszej kary, a o sprawie stopniowo zapomniano.

Jednak fama poszła w świat, a dokładniej w Kraków i profesor Jędrzej Orędowski znów miał powody do zadowolenia. Ojciec i syn pojednali się. Od tej pory młody lekarz miał w rodzicu najwierniejszego kibica, z którym rozmawiał o najtrudniejszych przypadkach, z jakimi spotykał się w pracy. Przenikliwość ścisłego umysłu (Orędowski senior był architektem) często pomagała mu w nakreśleniu teorii pomocnej w prowadzonym śledztwie, a legenda o nieomylności patologa krążyła po mieście.

Aż do dzisiaj. Grzegorz Kovac – ponad wszelką wątpliwość – udowodnił kardynalny błąd merytoryczny wynikający z niedopatrzenia. Orędowski próbował znaleźć jego prawdziwą genezę, ale poza ujętym ogólnie tak zwanym zmęczeniem materiału nic nie przychodziło mu do głowy.

Powodem tej myślowej rewolucji było odkrycie, że szczątki znalezione podczas prac budowlanych pochodzą nie z jednego, a dwóch szkieletów. Po dokładnych oględzinach, którym poświęcił się Kovac, okazało się, że fragmenty żeber i palców różnią się od siebie na tyle, aby postawić tę łatwo udowadnialną hipotezę.

– Gratuluję, kolego – Orędowski zdobył się, nie bez trudu, na słowa, które były jednocześnie dowodem pewnej klasy i nabytej w młodości kindersztuby, ale też zawodowej porażki i początku końca

pięknej kariery, a przede wszystkim śmierci legendy osoby nieomylnej.

– Dziękuję – Kovac ścisnął dłoń mistrza, nie kryjąc satysfakcji. – Wiele rzeczy nauczyłem się, studiując podręczniki pana autorstwa, na przykład…

– Dobrze, dobrze – przerwał mu Orędowski i poklepał poufale po plecach. – Nie próbuj mnie pocieszać. Powiedz lepiej, czy wiadomo coś w sprawie znacznie świeższych zwłok. Z tego nas, to znaczy teraz głównie ciebie, będą rozliczać.

– Jeśli chodzi o Dudniewskiego, to z całą pewnością mamy do czynienia z działaniem osób trzecich – młody patolog błyskawicznie odniósł się do tematu. – Cios został zadany fachowo, być może z zaskoczenia, o czym świadczy układ rąk denata. Mocne pchnięcie nożem przebiło lewą komorę serca, powodując niemal natychmiastową śmierć. Sprawca był człowiekiem nieco wyższym od ofiary, co wnioskujemy, analizując kąt zadania ciosu. Dysponował dużą siłą i, jeśli można tak powiedzieć, znał się na swojej robocie. Czas zgonu: około dziesiątej, jedenastej w nocy. Dowiadujemy się o tym, analizując niektóre cechy stężenia pośmiertnego.

– Wystarczy – Orędowski uśmiechnął się smutno. – Widzę, że pozostawię stanowisko w dobrych rękach. Jestem pod dużym wrażeniem, kolego – podkreślił ostatnie słowo, a na twarzy pół-Węgra pojawił się lekki rumieniec.

Przez chwilę stali w kłopotliwym milczeniu.

– Jeśli pan doktor pozwoli, moglibyśmy razem obejrzeć te drugie zwłoki – zaproponował nieśmiało Kovac.

– Mów mi Iwo, choć od dawna nikt tak się do mnie nie zwraca – Orędowski ponownie wyciągnął rękę w kierunku asystenta. – Iwo… Oj, miał fantazję ten mój stary…

– Tak, śledziłem Pawika na polecenie mojej siory, znaczy jego żony Baśki. Od trzech dni nie pojawił się w domu, nie odbierał telefonów… Martwiliśmy się zwyczajnie. – Kola pierwszy raz popatrzył w oczy Krępowicza. – Zresztą pan wie, ja nigdy…

– Z tym „nigdy”, Kola, to bym nie przesadzał – podkomisarz chrząknął znacząco. – Muszę przyznać, że oddałeś nam kiedyś

przysługę, ale to wszystko za mało. Poza tym znaleźliśmy przy tobie trawę i amfę i to w sporej ilości. Znów bawisz się w dilerkę? A jaka była umowa?

– Panie komisarzu, nie mogę tak z dnia na dzień zerwać się, to byłoby dla nich podejrzane. Lepiej niech myślą, że wszystko po dawnemu – okrągłe oczy Koli wyrażały jednocześnie skruchę i nadzieję.

– Wrócimy jeszcze do tego, ale teraz mamy ważniejsze rzeczy. Skup się. – Krępowicz szukał czegoś w notesie, ale najwyraźniej nie znalazł i ten fakt lekko go podrażnił. – Przyznaj się, chciałeś Pawikowi obić ryja za siostrę.

Milczenie oznaczało, że trafił w punkt.

– Pawik, jak sobie wypije albo przyćpa, bywa przykry. Baśka nieraz mi się skarżyła, że ją bije. Ostatnio też wystartował do niej z pięściami, siora wstydzi się wyjść na ulicę, takie ma limo pod okiem – Kola zaprezentował owo limo, kreśląc okrąg na swojej twarzy. – No to nie wytrzymałem i chciałem mu przylać. Należy mu się, nie?

– Siostrze powiedz, że od tego są odpowiednie służby, czyli my. Założymy jej niebieską kartę, sąd zasądzi zakaz zbliżania się do niej Pawika… Zresztą pewnie i tak obaj pójdziecie siedzieć – komendant westchnął z udawanym współczuciem.

– Za co? Przecież my nic, to znaczy ja nic… – w oczach Koli w końcu pojawił się strach.

– Jak to, kurwa, za co?! – Krępowicz energicznie wstał z krzesła i pochylił się tuż nad przesłuchiwanym. – Morderstwo to mało? Przecież ja wiem, że nienawidzicie homosiów. Tak ich nazywacie, prawda? Damian drażnił was, bo był inny, to najpierw nakleiliście mu przy drzwiach „zakaz pedałowania”, a potem… Który z was to zrobił? Gadaj!

– Żaden, to znaczy na pewno nie ja… – poprawił się szybko Kola. – Prawda, wlepka była nasza, ale poza tym nic mu nie zrobiliśmy. Najwyżej przed blokiem, jak szedł, ktoś coś powiedział, tak bardziej dla śmiechu – bezskutecznie szukał akceptacji w chmurnym spojrzeniu ciemnych oczu podkomisarza.

– No, jeśli nie wy, to może masz pomysł, kto mógł to zrobić? – policjant uśmiechnął się cynicznie.

– Nie… Raczej nie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś do niego przychodził. Rzecz jasna oprócz tego drugiego. On czasem z nim mieszkał. Na imię ma chyba Patryk.

Wyswobodziła się z jego objęć i usiadła na łóżku. On leżał, nadal leniwie przesuwając dłonią po jej plecach. Poddała się pieszczocie, ale po chwili zerwała się, jakby pod wpływem nagłego impulsu.

Krajski otworzył oczy. Ze zdziwieniem patrzył na stojącą przed nim nagą kobietę, która komicznie wzięła się pod boki, chcąc zapewne coś mu zasygnalizować.

– Co się stało? – zapytał cicho.

– To ja powinnam zapytać, co się stało – Laura, złośliwie naśladując ton jego głosu, szukała zagubionego szlafroka. – Widzę przecież, że jesteś kłębkiem nerwów. Zawsze byłeś taki, ale po śmierci Abelarda to znacznie się nasiliło.

Znalazła wreszcie żółty szlafrok, otuliła się nim i przysiadła na skraju łóżka.

– Myślę, że w tej sytuacji możesz być ze mną szczery. – Odchyliła głowę w tył. Wydawała się teraz znacznie młodsza niż w rzeczywistości. – Teraz, kiedy nie ma już żadnych przeszkód, kiedy los tak chciał…

– Ten „los” może niekoniecznie okazać się szczęśliwy – mruknął Krajski. – I wcale nie jesteśmy jedynymi beneficjantami nowego rozdania. Sępów jest znacznie więcej.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – naiwny niepokój w jej głosie wzmógł w nim falę gniewu.

– Czy ty naprawdę nic nie kumasz? – popatrzył w jej oczy i widocznie nie dostrzegł w nich wystarczającej dozy zrozumienia, bo po chwili z rezygnacją spuścił wzrok. – Mnie też wydawało się, że takie rozwiązanie byłoby najlepsze, ale paru rzeczy nie wziąłem pod uwagę. I teraz jestem w dupie. W koszmarnie czarnej dupie.

– Co ty mówisz? – nagłym ruchem chwyciła go za ramię. – Dlaczego… w dupie?

– Bo wydawało mi się, że ogarniam sytuację, a okazało się, że to była tylko iluzja, na którą on pozwolił. Właśnie po to, żeby uśpić moją czujność i oczywiście przejąć pełną kontrolę.

– On? – oczy Laury wyrażały głęboki smutek.

– On. Najgorszy ze wszystkich ludzi, jakich w życiu poznałem.

Ostatnie zdanie zawisło między nimi w powietrzu. Patrzyli na siebie w milczeniu, szukając możliwości rozwiązania problemu, ale im dłużej to trwało, tym mniej mieli nadziei.

Kornel był trochę zmęczony. Wolnym krokiem, paląc papierosa, zmierzał do domu, gdzie od lat nikt na niego nie czekał. Niemalowane od dawna ściany kawalerki, niegdyś białe, dziś szarożółte, co było efektem wnikania w nie nikotynowego dymu, mogłyby posłużyć jako antyreklama mieszkaniowego komfortu i dbałości o warunki bytowe. Zaraz za drzwiami straszył stos naczyń, niemal wychodzących samodzielnie ze zlewu. Zagracony pokój był pełen piętrzących się wszędzie książek i płyt.

Rączy, nie będąc entuzjastą e-booków i Spotify, gromadził to wszystko w jakimś, do końca niesprecyzowanym celu, utwierdzając się w nim jednak każdego dnia. Te książki i płyty były jakby liczną grupą przyjaciół, z którymi zawsze warto się spotkać, a przy tym nie trzeba się specjalnie umawiać. Wystarczy sięgnąć ręką.

Wziął chłodny prysznic i paradując w samym zawiązanym na biodrach kąpielowym ręczniku, podszedł do regału z płytami. Wybrał *Nocturn* Siouxsie and The Banshees. Chwilę później pokój wypełnił fragment introdukcji Igora Stravinsky'ego z *Święta wiosny*, skomponowanej ponad sto lat temu, a jednak kompatybilnej z muzyką brytyjskiego kwartetu. Owacja publiczności, sygnalizująca pojawienie się na scenie artystów, i magnetyczny bas Stevena Severina… Nie czekając na wejście wokalu, Kornel wziął z półki rozpoczętą książkę i rzucił się na łóżko. Zbiór pięciu opowiadań japońskiego noblisty Kazuo Ishiro nosił tytuł *Nokturny*.

Wieczorne niebo nad Krowodrzą zachmurzyło się niespodziewanie i zaczął padać intensywny deszcz. Rączy dokończył ostatnie opowiadanie, odłożył książkę i po chwili zapadł w drzemkę, z której wyrwał go nieprzyjemny o każdej porze dnia i nocy dźwięk domofonu.

– Dobry wieczór, panie Kornelu. Bardzo przepraszam, że tak… ale proszę mnie wpuścić… Błagam! Nazywam się Patryk

Zawistowski.

Helmut Doppelfinger nie ufał nikomu. Dziewiętnastoletnie życie nauczyło go, że nie warto liczyć na ludzi, nawet jeśli wydają się przyjaźni. Wychowany w dzielnicy Rath w Düsseldorfie, widział niejedno. Opuszczony przez ojca, osierocony przez matkę, jako najstarszy z czwórki rodzeństwa w młodym wieku nauczył się kraść. Zanim jednak został jednym z najbardziej skutecznych i cenionych w nadreńskiej Herrendiebverein włamywaczy, musiało upłynąć trochę czasu. Naturalne zdolności odziedziczone po ojcu, który odsiadywał kolejny, długi wyrok w więzieniu, pierwszy raz dały o sobie znać w dość nieoczekiwanym, acz pożądanym momencie.

Mijał szósty rok od czasu, kiedy za ojcem zamknęła się więzienna brama, i nic nie wskazywało, aby w najbliższych siedmiu latach sytuacja mogła ulec zmianie.

Nie chcąc słuchać płaczu małej Heidi i niewiele starszego Michaela, pozostawił je pod opieką Ilsy, która miała już szesnaście lat i wydawała się nad wyraz dorosła. Cała czwórka nie jadła nic od dwóch dni i Helmut, zamykając drzwi wyjściowe, zdał sobie sprawę, że teraz od niego wszystko zależy: byt albo niebyt, honor albo upodlenie, życie lub śmierć.

Najpierw skierował się w stronę Sandbergu, gdzie w niewielkim lasku często spotykał się z kolegami. Była niedziela i żaden z chłopaków nie pojawił się w zwykle gwarnym miejscu. Niektórzy zapewne siadali właśnie z rodzicami do świątecznego obiadu, inni wybierali się na futbolowy mecz Fortuny.

Wcześniej bywał na kilku meczach z ojcem. Już jako mały chłopak dziwił się, że ten zamiast emocjonować się tym, co dzieje się na boisku, ciągnął go za rękę, krążąc po całym stadionie, jakby nie mógł znaleźć sobie odpowiedniego miejsca.

Dopiero po pewnym czasie odkrył ojcowski system, polegający na umiejętnym wyciąganiu portfeli z kieszeni spodni i marynarek zaaferowanych grą kibiców. Sztuka polegała na tym, że Helmut, zachęcony przez rodzica lekkim pchnięciem, wpadał na któregoś z nich, a ojciec, niby to rugając syna za nieuwagę i przepraszając

faceta, wykorzystywał sytuację i bezbłędnie trafiał do celu. Oczywiście cała akcja poprzedzona była wnikliwą obserwacją wybranej osoby. Aż dziw, ilu fanów drużyny z Düsseldorfu przez głupie zachowanie (bo przecież sprawdzanie obecności portfela co kilka minut mądre nie jest, szczególnie w przestrzeni publicznej) bezbłędnie wskazywało miejsce, z którego fanty wędrowały do rąk starego Doppelfingera.

I tak Franz nigdy nie wracał do domu „na pusto", czego efektem było to, iż na stole pojawiały się lepsze potrawy, a nawet słodycze dla dzieci kupowane w narożnej Baumgartner Konditorei. Stary siadał w kącie pokoju, sączył weizena i uśmiechał się do matki, która w milczeniu kroiła chleb i wędliny. Między palcami błyskawicznie to pojawiała się, to znikała srebrna moneta, amulet i przedmiot do codziennego ćwiczenia sprawności palców, z którym ojciec nigdy się nie rozstawał.

Tamten dzień, który miał być wielkim świętem, radością dla rzeszy kibiców z Düsseldorfu, zamienił się w koszmar. Ranny pociąg do Kolonii, gdzie miał odbyć się finał piłkarskich mistrzostw Niemiec pomiędzy Fortuną a Schalke 04 Gelsenkirchen, odjeżdżał o dziesiątej zero siedem. Na dworcu kłębił się tłum mężczyzn w różnym wieku, a wśród nich oni. Ojciec, mimo upału, założył ciemne ubranie, najlepszą, jasnobłękitną koszulę i krawat. Helmut miał na sobie białą koszulkę z wyszytym przez mamę czerwoną nitką emblematem klubowym F95. Wyglądali godnie, a zazdrosne spojrzenia rówieśników, którzy – co najwyżej – mieli ze sobą niewielkie proporczyki, utwierdziły go w przekonaniu o szczególności dnia 11 czerwca 1933 roku.

Potem już był tylko wstyd. Wstyd i strach.

Tajna policja z Kolonii od kilku lat walczyła z plagą drobnych złodziei-kieszonkowców, którzy – wobec wzrostu popularności futbolu i, co za tym idzie, zwiększającej się wciąż frekwencji na meczach – mieli tu swoje eldorado. Jedną z metod była właśnie ta z użyciem dziecka jako parawanu. Franz Doppelfinger został ujęty na stadionie w Kolonii dokładnie w momencie, kiedy wkładał rękę do kieszeni marynarki tajnego agenta udającego euforię po trzecim golu Fortuny.

Kiedy piłkarze z Düsseldorfu, znoszeni z boiska na rękach przez kibiców, rozpoczynali świętowanie zwycięstwa 3-0 nad Schalke i pierwszego w swojej historii mistrzostwa Niemiec, ojciec Helmuta siedział już skuty kajdankami w policyjnym samochodzie.

Franz dostał siedem lat bez prawa odwołania się od decyzji sądu. Obowiązki związane z wychowaniem czworga dzieci spadły w całości na Ulrike, a dwunastoletni Helmut miał uczyć się przyszłego fachu ślusarza w zakładzie u swojego stryja Günthera. Szybko okazało się, że chłopak ma smykałkę do zawodu. Szczególnie dobrze szło mu dorabianie kluczy. Trzy lata później, po zakończeniu terminu, był już nie tylko wykwalifikowanym ślusarzem, ale też początkującym włamywaczem, doskonalącym się wieczorami, głównie w willowych dzielnicach miasta.

Zjawiał się, otwierał drzwi, brał łup i znikał niezauważalnie. Mir Helmuta rósł, a doświadczeni doliniarze wymawiali jego imię z szacunkiem, a nawet pewną zazdrością, bo przecież nie miał jeszcze siedemnastu lat, a o jego zuchwałych kradzieżach w domach bogatych mieszczan rozpisywała się prasa, choć sprawcę znali tylko nieliczni.

Śmierć matki w kwietniu 1939 roku zbiegła się z propozycją nie do odrzucenia ze strony stryja Günthera, który domyślił się, kim jest sprytny włamywacz. Od tej pory miał pracować dla niego i oddawać mu sporą część zysków. Helmut – jako jedyny pełnoletni – czuł się też w obowiązku utrzymywać młodsze rodzeństwo i na tym tle doszło do konfliktu ze stryjem.

Kiedy bratanek odmówił dalszej współpracy, Günther Doppelfinger spełnił swą, wielokrotnie wypowiadaną, groźbę i złożył anonimowy donos na policję.

Po kilku dniach Helmuta aresztowano w wyniku zasadzki przygotowanej w okolicach willi jednego z miejskich rajców, będącej kolejnym celem nieuchwytnego dotąd włamywacza, który wykorzystywał fakt popularności piłki nożnej i często okradał mieszkania i domy samotnych mężczyzn przebywających w tym czasie na stadionie.

Mimo bicia na przesłuchaniach nie przyznał się do wcześniejszych włamań i w konsekwencji otrzymał wyrok dwóch lat bezwzględnego więzienia. Odsiedział jednak tylko trzy miesiące, gdyż w sukurs przyszła mu rozpoczynająca się wojna i polityka Führera, zakładająca liczne zwolnienia z zakładów karnych i wcielanie do wojska.

Na dokumencie potwierdzającym czasowe zawieszenie odbywanej kary i przeznaczenie do służby w oddziałach Wehrmachtu widniał podpis: „Hauptmann Georg von Knabe”.

# 5

Kornel przeglądał swój słynny notes, w którym znajdowało się kilkaset nazwisk i numerów telefonów, czasami adresy. Spis obejmował kilkadziesiąt stron. Niektóre nazwiska opatrzone były gwiazdkami, kropkami, wykrzyknikami, wężykami. Kod zrozumiały tylko dla niego i tylko jemu przydatny, nieistniejący w zapisie elektronicznym, a jedynie w notesie i ukrytej w domu kopii, absolutnie zabezpieczony przed hakerami i innymi amatorami wykradania danych.

Na liście widniało kilkanaście nazwisk bądź ksywek ludzi, którzy będąc po ciemnej stronie mocy, mogli być przydatni w aspekcie informacji, a kluczem do niej były owe gwiazdki, kropki i wężyki, szczególnie zaś wykrzykniki znamionujące szansę spłacenia przez delikwenta honorowego długu zaciągniętego na poczet drobnych zatargów z prawem. Długu, który w każdej chwili można wyegzekwować. Część z nazwisk została skreślona. Działo się tak w przypadku zgonu osoby, która już – biorąc pod uwagę przydatność zawodową – nie stanowiła żadnej wartości.

Gdyby Krępowicz posiadał choć ćwierć tej listy, wyniki wykrywalności przestępstw i wykroczeń policji wzrosłyby znacznie. Ale nie posiadał i nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie wzbogacił się o szereg zbieranych przez lata kontaktów. Zresztą gdyby nawet, nie wiedziałby, jak je ze sobą połączyć i praktycznie wykorzystać.

Nazwisk rozpoczynających się na literę K było sporo. Więcej niż na W i P, nieco mniej niż na S. Rączy zatrzymał się przy Melchiorze Korytkiewiczu, ksywka Koryto, człowieku, który w przeszłości parał się rozmaitymi niezgodnymi z prawem działaniami, z tak zwaną mokrą robotą włącznie. Kilkukrotnie przepłacił to czasowym

pobytem w miejscu odosobnienia, jednak mocne przestępcze geny, a może tradycje rodzinne skłaniały go do kolejnych, nie do końca przemyślanych kroków, a to z kolei generowało efekt bumerangu. Koryto wracał do więzienia, odsiadywał następny wyrok i nie mądrzał ani trochę.

Ponoć jego ojciec, Kacper Korytkiewicz, syn Baltazara, nadał pierworodnemu imię Melchior, najbardziej w tej sytuacji logiczne, bo w tej historii królów było trzech, co wiadomo powszechnie, choćby tylko z zapisków kredą na zewnętrznej stronie drzwi.

Poza tym, że w dowodach osobistych trzech Korytkiewiczów widniały trzy imiona mędrców przybyłych ze Wschodu, nic ich nie łączyło z tamtymi, a wręcz odwrotnie. Trudno ich bowiem było nazwać mędrcami, co udowodniali na różnych etapach swej przestępczej drogi, gęsto przeplatanej dłuższymi lub krótszymi epizodami z gatunku penitencjarnych. Niczego nikomu nie składali w darze, a raczej odbierali czy też odzyskiwali (najczęściej w czyimś imieniu).

I właśnie obecne na liście personalia najmłodszego z klanu Korytkiewiczów zainteresowały Kornela. Od dwóch lat nie słyszał o nim nic, z wyjątkiem lakonicznej informacji, że „podobno jest znowu na świeżym powietrzu". Jeśli była to prawdziwa wiadomość, to Koryto musiał tym razem przemyśleć swoje postępowanie i nie wdawać się z głupie akcje. Rączy wątpił, czy cisza wokół osoby krowoderskiego zakapiora jest wynikiem dogłębnej konkluzji życiowej, owocującej nie tylko zmianą wartościowania świata, ale też wyborem uczciwej drogi. Przypuszczał, że po wyjściu z więzienia Koryto (być może pod wpływem kolegów spod celi) postanowił cenić się wyżej, wspiąć się na wyższy level i stamtąd rozsądnie selekcjonować propozycje pracy dorywczej, starając się jednocześnie równoważyć element ryzyka z wizją przyszłych zysków.

Być może ostatnie wydarzenia były taką wyczekiwaną długo okazją. Przyczajony tygrys wyszedł z zarośli, aby śmiertelnie ukąsić? A jeśli tak, to czy dwukrotnie z tym samym skutkiem?

Z najmłodszym z rodu Korytkiewiczów, Melchiorem, Kornel spotkał się *face to face* tylko raz. Zdarzenie miało szybki, burzliwy przebieg i z

pewnością obaj jego uczestnicy zapamiętali je na długo, być może na zawsze.

Kilka lat wstecz, wracając nad ranem do domu, Rączy zwrócił uwagę na awanturującą się na ulicy w okolicach parku Krakowskiego parę. Teodora, jak się później okazało, próbowała uderzać mężczyznę torebką, a że szło jej to dość niezbornie i za każdym razem ciężki przedmiot na pasku kreślił w powietrzu nieregularne łuki, wyglądało to na pierwszy rzut oka dość komicznie.

Facet, wyższy od niej o głowę, początkowo osłaniał się i robił uniki, aby w pewnym momencie przystąpić do ataku. Uderzył otwartą dłonią, lecz na tyle mocno, że kobieta fiknęła kozła i zatrzymała się dopiero na stojącej obok ławce.

Upadek spowodował uraz głowy i natychmiastową utratę przytomności. Koryto, o czym miał przekonać się Rączy, trącił nogą leżącą i przystąpił do przeszukiwania kieszeni jej płaszcza. Kornel zaszedł mężczyznę od tyłu, ale ten był czujny. Wolno podniósł się i osłaniając plecami swój łup stanął naprzeciw Rączego.

– Zgubiłeś tu coś? – nosowy baryton zabrzmiał złowrogo spod krzaczastych brwi. Blisko osadzone względem siebie oczy patrzyły groźnie.

– Ja nie, ale widzę, że ty czegoś szukasz – zripostował Kornel, chcąc zyskać na czasie, a kątem oka zauważył lekki ruch ręki leżącej na chodniku kobiety.

– Spierdalaj stąd, to nie twoja sprawa – Koryto zrobił krok do przodu, ale Rączy stał w miejscu, uważnie go obserwując.

– Wydaje mi się, że w tej sytuacji musimy wezwać policję – zdecydował Rączy i sięgnął do kieszeni kurtki.

– Nigdzie nie dzwoń – ostrzegł lojalnie Korytkiewicz, próbując jednocześnie złapać Kornela za rękę. Przecenił jednak swoje możliwości. Rączy pociągnął go mocno w swoją stronę, robiąc unik, i po chwili napastnik leżał rozciągnięty na wznak z głową na wysokości krawężnika.

Wtedy nastąpił nieoczekiwany zwrot akcji. Ciężki przedmiot na solidnym, skórzanym pasku zatoczył łuk i uderzył mężczyznę w potylicę. Koryto zaklął i znieruchomiał.

Kornel odwrócił się błyskawicznie z stronę kobiety. Napotkał jej piwne, śmiejące się oczy. W tej chwili nie przypominała ofiary. Z wyrazem triumfu na twarzy zarzuciła torbę na ramię.

– Czy mój wybawca zechce odprowadzić mnie do domu? – ujęła Rączego pod ramię.

– A co z nim? – zapytał bardziej pro forma niż empatycznie.

– Nie pierwszy raz dostał w łeb – odparła beztrosko kobieta. – Ocknie się, to wstanie… A w ogóle, gdzie moje maniery? – kokieteryjnie przewróciła oczami. – Bardzo, bardzo ci dziękuję. Ten facet to kawał skurwysyna, zresztą sam widziałeś… Teodora! – znienacka wyciągnęła rękę w stronę Rączego.

– Kornel – odwzajemnił uścisk dłoni. – To znaczy, że pani… że ty go znasz?

– Oj, znasz, nie znasz… – uśmiech na twarzy Teodory ustąpił wyrazowi zniecierpliwienia. – Zapraszam na pyszną kawę. Chyba nam się należy. Tym bardziej że właśnie wstaje świt – zakończyła poetycko.

Rączy sprawdził jeszcze na wszelki wypadek puls Koryta i posłusznie ruszył za nią.

Zamknął notes, ubrał się i wyszedł z domu, kierując się w stronę ulicy Józefitów.

Jedna z niewielu bram nieposiadająca domofonu prowadziła w głąb kamienicy i dalej na podwórko. Nie był tam od kilku lat, ale dobrze ją zapamiętał. Ostatecznie poranna kawa przeciągnęła się i trwała dobrych kilka godzin, a Rączy zyskał cenne źródło informacji. Teodora znała dosłownie wszystkich. No, może wszystkich tych, którzy byli choć trochę na bakier z prawem. Nie określiła, jakie interesy łączą ją z Korytem, jednak sugerowała, aby nie wracać do sprawy, która z czasem sama się rozwiąże.

Kornel liczył się z tym, że upokorzony bandzior (profesjonalnie zrobiony research rozjaśnił mroki niewiedzy o klanie Korytkiewiczów, o których wcześniej co nieco już słyszał) będzie go szukał żądny rewanżu – w formie honorowej „solówki” bądź typowo gangsterskiego „dojechania na chacie”.

Jednak w ciągu tego czasu nic podobnego nie nastąpiło. Powód był prozaiczny i bardzo prosty. Kilka dni po zdarzeniu Koryto znów trafił za kratki.

Paradoks sprawił, że teraz poszukującym był Rączy.

Wybrał wejście po lewej stronie i wspiął się po schodach na pierwsze piętro. Zapukał do drzwi i choć odpowiedziała mu cisza, to intuicja podpowiadała, że właścicielka jest w domu. Faktycznie, po kilku sekundach dobiegł go odgłos kroków, a potem szmer odsuwanej klapki wizjera.

– Kto tam? – usłyszał głos właścicielki mieszkania.

– Nie poznajesz? Kornel – starał się to powiedzieć na tyle głośno, aby usłyszała, lecz na tyle cicho, aby nie informować o swojej wizycie całej kamienicy. I tak miał wrażenie, że odsunięto inne klapki domowych judaszy i jest obserwowany przynajmniej przez sąsiadów z pierwszego piętra.

Drzwi uchyliły się wolno, a w ograniczonej grubym łańcuchem przestrzeni ukazała się rozczochrana głowa Teodory Kętrzyńskiej-Staubmann. Drugi człon nazwiska był efektem płomiennego romansu matki z pewnym Niemcem z Drezna uczestniczącym, podobnie jak ona, w V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie w sierpniu 1955 roku.

Teodora – jako owoc spędzonej w akademiku na Marymoncie nocy – przyszła na świat w kwietniu ‘56 w Krakowie, gdzie na skutek relegowania jej z uczelni przeprowadziła się w międzyczasie ciężarna Klara Kętrzyńska. Rosła więc wraz z falą chwilowej odwilży, wychowywana przez matkę i sporadycznie odwiedzana przez ojca. Nalegał on początkowo na wspólny wyjazd i zamieszkanie w Dreźnie, ale wobec zdecydowanej odmowy powoli ustępował pola kolejnym partnerom Klary, będącym jej rotacyjnymi wujkami. Wszystko urwało się z chwilą tragicznej śmierci matki Teodory, która w stanie skrajnego upojenia alkoholowego utopiła się w zalewie w Kryspinowie. Odtąd musiała sobie radzić sama i mimo braku oficjalnego zajęcia robiła to nie najgorzej.

Zdziwionym wzrokiem patrzyła przez chwilę na niego, a w jej oczach dostrzegł krótki błysk zainteresowania, który szybko zgasł.

– Czego chcesz? – powitanie nie zabrzmiało zbyt przyjaźnie, ale Rączy był w pełni świadomy specyficznego sposobu bycia Tedzi (tak ją nazywali na dzielnicy), mającej w gruncie rzeczy złote serce.

Dotknął jednego z ogniw dzielącego ich łańcucha.

– Możesz coś z tym zrobić? – uśmiechnął się.

Posłusznie zwolniła łańcuch i odsunęła się od drzwi. Kornel wszedł do środka. Teodora w jaskrawozielonym szlafroku i podobnych pantoflach na lekkim obcasie nie przypominała królowej imprez, wielbicielki tańca na barze i bohaterki niezliczonych, powtarzanych z ust do ust anegdot.

– Wejdź, siadaj – powiedziała niepewnie, wskazując mu rzeźbione krzesło, a kiedy zajął miejsce przy przykrytym haftowanym obrusem stole, stała jeszcze niezdecydowana.

Wreszcie usiadła naprzeciw. Jej oczy odzyskały lekko kpiący wyraz.

– Co cię tu przyniosło? – spytała nieco złośliwie, ale nie bez dozy autentycznej ciekawości. – Ostatnim razem byłeś u mnie ze trzy, cztery lata temu, po tym jak… – zawahała się, a twarz lekko jej stężała na wspomnienie tamtych wydarzeń.

– Można powiedzieć, że właśnie retrospekcja – odparł, moszcząc się wygodniej na krześle. – Zapytam wprost: gdzie mogę znaleźć Melchiora Korytkiewicza?

Tedzia w jednej chwili spurpurowiała, nerwowo przełknęła ślinę, a jej oczy zwęziły się do szparek.

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć?! – wysyczała, patrząc mu prosto w oczy z nieukrywaną nienawiścią. – Nie sypiam z nim, nie śledzę go, jestem szczęśliwa, że zniknął z pola mojego widzenia.

Bystry wzrok Kornela zarejestrował drżenie rąk Teodory. „Retrospekcja” była widocznie dla niej nawet teraz bolesna.

– Przepraszam cię, jeśli uderzyłem w czułą strunę. Minęło trochę czasu – próbował nieudolnie przywrócić ich relację sprzed chwili.

– Uderzyłeś… – jęknęła, tłumiąc łzy. – Wtedy myślałam, że to koniec.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło – Rączy ponowił próbę pojednania. – Szukam go, bo mam prawo przypuszczać, że Koryto znowu coś grubego nawywijał.

Kętrzyńska podniosła znad stołu zwieszoną smętnie głowę. Jej twarz wyrażała teraz opanowanie i dziwną determinację. Kornel pomyślał, że jest naprawdę dobrą aktorką.

– Uratowałeś mnie wtedy, więc powinnam spłacić dług – to zdanie wypowiedziała wolno i dosadnie. – Wiedziałam, że przyjdzie taki dzień i proszę...

– Przyszedłem tylko dlatego, że sprawa jest poważna. Sądzę ponadto, że domyślasz się, czego dotyczy – spojrzał na Tedzię, która najpierw jakby machinalnie wykonała przeczący ruch głową, ale zaraz potem powrócił kpiący, nieco kokieteryjny uśmieszek.

– A ja myślałam, że dla moich pięknych nóg – odchyliła szlafrok, prezentując je w sposób, jakiego nie powstydziłaby się zawodowa modelka mająca na co dzień kontakt z kamerą i aparatem fotograficznym. – Jeszcze jestem do rzeczy, nie? – spojrzała pytająco na Rączego, który nie wiedząc, co powiedzieć, pokiwał tylko skwapliwie głową.

– Zawsze byłaś i zawsze będziesz królową na dzielni – odparł po chwili i to zręcznie przemycone półkłamstwo wyraźnie zrobiło jej przyjemność.

– Napijesz się ze mną wódki? – nieoczekiwana propozycja zaskoczyła ponownie Kornela. Musiał przyznać, że Teodora miała realną władzę nad rządem, nie tylko krowoderskich, dusz. Była kimś w rodzaju spowiednika, łączyła w sobie funkcję informacyjnej skrzynki kontaktowej i birbanckiej, szalonej, nigdy niekończącej się zabawy.

– Dlatego, mając poważny problem, przyszedłem do ciebie – dokończył.

Tymczasem na stole stanęła lekko napoczęta butelka wyborowej, obok dwa kieliszki i talerzyk z kiszonymi ogórkami. Szansa zdobycia informacji zwyciężyła immanentne poczucie winy, obecne, gdy alkohol spożywa się w godzinach pracy, podczas wykonywania czynności zawodowych. Zresztą nie pierwszy raz Kornel uzyskiwał w ten sposób tak zwaną wiedzę operacyjną, niedostępną dla mundurowych. W tym tkwiła jego przewaga.

Był wieczór, kiedy wyszedł od Teodory. Wypili naprawdę sporo. Wyborową zastąpił absolut, potem absolut wymieniła domowa nalewka na pokrzywach – specjalność domu.

Lekko chwiejąc się na nogach, z poczuciem spełnionej misji, Rączy udał się na spoczynek, choć Tedzia z pięć albo i siedem razy proponowała mu nocleg. Kornel uznał jednak, że wdzięczność ma swoje granice, a domyślając się, na czym polega niecny plan Teodory, wybrał domowe pielesze.

Mimo uciążliwego stanu występującego zazwyczaj po przepiciu już o siódmej rano Rączy wziął chłodny prysznic, wypił mocną kawę i na piechotę, aby rozgrzać organizm, udał się na ulicę Cieszyńską, gdzie niegdyś mieścił się zakład produkujący części do telefonów i teleksów. Obecnie fabryka znajdowała się w fazie likwidacji. Nieliczne pomieszczenia odnajmowały małe firmy, a krowoderskie kapele rockowe anektowały je na salki prób, ale klimat rychłej katastrofy, czyli wyburzenia zespołu budynków, był tu dominujący jak na Titanicu.

Pan Włodek, człowiek z wyglądu niepozorny, obdarzony przez naturę niskim wzrostem i krępą budową ciała, a także łysiną i czarnym wąsem, sprawował tu funkcję nocnego dozorcy. W praktyce nie opuszczał miejsca pracy, gdyż jego skomplikowana sytuacja mieszkaniowa zmusiła go do wyprowadzki z domu, w którym nikt z rodziny nie mógł już z nim wytrzymać. Jakiś czas włóczył się po mieście. Zachodząc do lokali, gdzie podawano alkohol, zajmował miejsce przy barze i raczył klientów i barmana wyssanymi z palca opowieściami o rzekomej karierze pilota przerwanej przez ciężki wypadek. Wymieniał bez mrugnięcia okiem nazwy samolotów, którymi latał po całym świecie, zmieniając pracodawcę z Lufthansy na Swiss Air, gdyż – jak wiadomo – był najlepszy i każdy szanujący się właściciel linii lotniczej chciał go mieć w swojej załodze.

Niepoślednie umiejętności nabyte jeszcze w wojsku (ten wątek był mocno zawoalowany tajemnicą) pozwalały mu przyjmować rolę testera najnowszych modeli, będących jeszcze w fazie eksperymentu, a wnioski i sugestie korekt technicznych pana Włodka opracowywali potem najwybitniejsi konstruktorzy.

Większość wypadków lotniczych była spowodowana właśnie tym, że ktoś zlekceważył doświadczenie i wiedzę wytrawnego pilota.

Stali klienci barów tolerowali go, choć oczywiście, zdawali sobie sprawę z totalnej konfabulacji rozmówcy. Sporadycznie odwiedzający lokale z rzadka i na krótką metę dawali się zwieść rozbudowywanym opowieściom dzielnicowego bajkopisarza. Domniemany oblatywacz-światowiec, kiedy zapędził się za daleko, używał obcojęzycznych zwrotów, niestety popełniał przy tym sporo błędów lingwistycznych i średnio ogarnięty słuchacz wybuchał śmiechem.

Na razie pan Włodek tkwił w odrapanej budce ciecia na terenie praktycznie nieistniejącego zakładu produkcyjnego i ten fakt był dla niego dość wygodny, gdyż praktycznie przez nikogo niekontrolowany mógł spożywać w godzinach pracy napoje wyskokowe. Nie ryzykował przy tym wiele, gdyż jedynym zagrożeniem byli złomiarze, którzy namierzyli już teren byłej fabryki. Początkowe spory przekształciły się szybko w swoistą symbiozę, w ramach której cieć otrzymywał płynny ekwiwalent, a poszukiwacze metali, niekoniecznie szlachetnych, mogli bezkarnie buszować po terenie opuszczonej wytwórni. Pan Włodek dbał przy tym, aby za dużo naraz nie wynieśli, bo wtedy zachwiałaby się równowaga wzajemnej zależności, *ergo* zmalał dopływ darmowej wódki.

Kiedy Kornel pojawił się na terenie zakładu, cieć wytoczył się z budki i starając się nadać swojej osobie przynależną pełnionej funkcji ważność, zażądał od intruza dokumentów.

Stał, chwiejąc się na nogach, w cerberowskiej, komicznej pozie naprzeciw Rączego, który początkowo nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Postanowił zlekceważyć dozorcę i już próbował się oddalić w stronę pierwszego z budynków, kiedy pan Włodek postanowił zainterweniować.

Uczepiwszy się klapy Kornelowej marynarki, bełkotał coś o prawie, o policji i innych przeszkodach, wobec których ktoś taki jak Rączy jest bezradny, więc albo pokaże natychmiast dowód osobisty (lub paszport), albo fora ze dwora (tu cieć użył nieco innego, dobitniejszego określenia). To trochę zdenerwowało Kornela.

– Pan się uspokoi, panie Włodku – zaczął grzecznie, acz fakt coraz bardziej uciążliwego szarpania za ubranie i wulgarny język być może wymagały radykalniejszych środków perswazji. – Jest pan pijany, a o ile się nie mylę, aktualnie przebywa pan w pracy, a zatem…

– Kto jest pijany? – zaperzył się dozorca, ale po krótkim zastanowieniu postanowił przyjąć inną linię obrony. – A co cię to obchodzi?! Jestem najebany i co mi zrobisz? Nie ty mnie zatrudniałeś, nie ty mnie będziesz zwalniał – wybełkotał z nienawiścią w przekrwionych oczach.

– To prawda – Rączy starał się panować nad sobą, co przychodziło mu nie bez trudu. – Mogę jednak zaraz zadzwonić do pana Muszyńskiego, który przyjął pana do pracy i zapytać, czy jako administrator terenu toleruje nietrzeźwość człowieka pilnującego mienia zakładu.

Mówiąc to, jednym sprawnym ruchem uwolnił się od uczepionego teraz u rękawa marynarki ciecia, skutkiem czego znalazł się on w pozycji horyzontalnej.

– Nie interesuje mnie jednak to, jak pan spędza czas w pracy. Nie doniosę o pańskich wyczynach, ale pod jednym warunkiem – kontynuował, obserwując, jak pan Włodek niezbornie próbuje wstać z ziemi.

Kiedy stróż wreszcie osiągnął swój cel, wyglądał na przytomniejszego. Chytre, małe oczka lustrowały teraz twarz Rączego.

– Gdzie jest Koryto? – Kornel wytrzymał spojrzenie ciecia i przybrał wyczekującą pozę.

– Kto niby? – dozorca próbował się jeszcze droczyć, ale groźna mina i zimny jak stal wzrok rozmówcy spowodowały, że natychmiast zaprzestał swoich gierek i bez słowa wskazał najdalszy z budynków.

– Jest u siebie? – doprecyzował Kornel, a odpowiedziała mu twierdząco kiwająca się łysa głowa pana Włodka. – Pan zostaje i siedzi cicho, ja idę – ustalił szybko zasady gry.

Wszedł na pierwsze piętro po kamiennych, częściowo zasypanych gruzem schodach. W budynku unosił się jeszcze zapach nieznanych

chemikaliów zmieszany z odorem pleniącego się na ścianach grzyba.

Z żadnego okna nie widać było portierni, wobec tego dyskusja z panem Włodkiem mogła być dla ukrywającego się bandyty co najwyżej słyszalna. Dla ściganego – powód wystarczający do wszczęcia działań obronnych.

Mimo że Kornel starał się zachować ostrożność, nie mógł przewidzieć wszystkiego. Zrzucona ze schodów cegła spadła kilka centymetrów od niego. Uskoczył pod ścianę i, nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie tamto dawne zdarzenie i ciężką, twardą zawartość torebki Teodory. Ciekawe, kto jej doradził, aby nosiła ją jako element samoobrony.

Kto cegłą wojuje, od cegły ginie – przemknęła mu przez myśl parafraza biblijnej przypowieści. Tam odcięte ucho Malchosa szczęśliwie trafiło na swoje miejsce, tu nie mógł raczej liczyć na cud.

Przesuwając się wolno wzdłuż ścian, szedł w górę ku niebezpieczeństwu, które czaiło się gdzieś tam, być może żądne rewanżu, krwi Kornelowej, a nawet jego śmierci.

Dotarł na drugie piętro. Ujrzał dwa korytarze zbudowane względem siebie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Ten krótszy, teraz oświetlony, miał jedną, prowadzącą w lewo, odnogę. Zalegający w mroku dłuższy korytarz wiódł prosto, ale brak światła uniemożliwiał dalszą penetrację.

Włączył latarkę i omiótł jej światłem wnętrze. Na pozór nic nie wskazywało na czyjąkolwiek tu obecność. Wszedł więc w krótszy, jasny korytarz, nie spuszczając wzroku z odnogi.

Lekkie szurnięcie gdzieś z tyłu zaniepokoiło Rączego. Odwrócił się i wtedy zobaczył go. Rosła sylwetka Koryta wyłoniła się nagle zza załomu muru. Widocznie korytarze były połączone, o czym Kornel nie mógł wcześniej wiedzieć.

Stanęli naprzeciw siebie. W zamkniętym pomieszczeniu Melchior Korytkiewicz wydawał się jeszcze większy. Dzierżył w prawicy sporej wielkości łom i zbliżał się do Rączego w milczeniu, z nienawiścią w oczach.

Kornel umknął w odnogę korytarza, która jednak okazała się ślepa. Przejście musiało znajdować się gdzie indziej, a Koryto miał

mnóstwo czasu, aby zorientować się w topografii wnętrza budynku.

Przyparty do ściany stanął w postawie obronnej na ugiętych lekko nogach. Wiedział, że będzie ciężko, że za kilka sekund może pożegnać się z życiem lub...

– Koryto! – rozległ się nagle pijacki krzyk, którego autorem był pan Włodek.

Bandzior odwrócił głowę i to wystarczyło, aby Rączy skoczył przed siebie, przewracając go i przez chwilę przygniatając swoim ciężarem. Łom wypadł z ręki napastnika, co wykorzystał Kornel. Chwycił ciężki przedmiot oburącz i mocno uderzył przeciwnika w kolano. Ryk bólu zmieszał się z głosem pana Włodka, który zdołał wgramolić się drugie piętro.

Rączy uderzył jeszcze raz, trafiając w zaciśnięte na kolanie palce Koryta. Tym razem odzewem był przeciągły jęk.

– Panie Włodku, kuj go pan – rzucił Kornel w stronę ciecia i wysupłał z kieszeni policyjne kajdanki (prezent jeszcze od Dziedzica).

– Jak to „kuj”? – zdezorientowany dozorca bawił się przez chwilę metalowym bransoletami.

– Nie rozumie pan po polsku? – Kornel spojrzał na niego wymownie i pan Włodek posłusznie, lecz nie bez trudu, skuł zmasakrowane ręce Korytkiewicza. Towarzyszyły temu bluzgi, groźby i jęki bandziora.

Posadzili Melchiora i oparłszy się o ścianę, stali nad nim, lekko sapiąc.

– Teraz może pan pójść do siebie. Mam tu z tym dżentelmenem do pogadania. – Kornel usiadł na pogiętej rurze naprzeciw skutego mężczyzny i poczekał, aż cieć oddali się na bezpieczną odległość. – I co, Koryto? Wygląda, że masz do mnie pecha – zwrócił się do bandziora, lustrując jego kolano i ręce. – No ale cóż... Jestem zdania, że tak właśnie traktuje się morderców.

Milczący dotąd Korytkiewicz podniósł głowę.

– Jakich morderców? O czym ty do mnie pierdolisz? – jego oczy wyrażały skrajną nienawiść do rozmówcy, ale też (chyba szczere) zdziwienie.

– Takich jak ty, Koryto. Bezwzględnych, ale też bezmyślnych morderców. Innymi słowy, wrzodów na dupie społeczeństwa, których potem musimy utrzymywać, gdy siedzą w pierdlu – cedził Rączy. Zwracał przy tym uwagę na reakcję Melchiora.

– Nikogo nie zabiłem i nie dam się w nic wrobić – wyrecytował jednym tchem formułę tyleż banalną, co popularną podczas przesłuchań.

– Myślę, że udowodnienie ci winy nie będzie dla policji wielkim kłopotem – ciągnął beznamiętnie Kornel. – Nawet jeśli zadbałeś o to, żeby nie zostawić śladów linii papilarnych, to z pewnością na miejscu przestępstwa zgubiłeś na przykład włos… Wiesz, że może on być dowodem w sprawie?

Nie bez satysfakcji zauważył, że Korytkiewicz nerwowo przełknął ślinę. Nie był tylko pewny, czy właśnie trafił w sedno, czy też stres bandziora wynikał z faktu, że może być posądzony o czyn, którego nie popełnił, ale wobec zabarwionego kryminalnie życiorysu jest wręcz idealnym kandydatem do powrotu za kraty.

– Zasięgnąłem tu i tam informacji. Dowiedziałem się, że po wyjściu z mamra działasz na własną rękę. Skończyły się czasy, kiedy chwaliłeś się znajomościami z chłopcami z miasta. Wydymali cię i wyrzucili na śmietnik. Takie są realia, Koryto – kontynuował, uderzając w czułe struny niedoszłego gangstera. – Postanowiłeś więc udowodnić, że nadajesz się do brudnej roboty, zapunktować i wrócić do gry. Przyjąłeś zlecenie, potem drugie, wykonałeś je jak należy. Niewykluczone, że stoi za tym ta sama osoba. I tu dochodzimy do meritum naszej dzisiejszej pogawędki, przypominającej na razie monolog, ale liczę, że to się zmieni i zaraz usłyszę nazwisko zleceniodawcy.

– Nie wiem, o czym mówisz – mruknął Korytkiewicz. – Nikogo nie zabiłem, nikt mi niczego nie zlecał.

– Chyba się nie rozumiemy, Melchior… – Koryto aż zadrżał ze złości, widocznie nie lubił, żeby nazywać go nadanym na chrzcie imieniem. – Wydaje mi się, że pewne rzeczy już sobie wyjaśniliśmy. Jesteś mordercą, do tego bierzesz za to pieniądze, co czyni cię w moich oczach obrzydliwą kanalią. Chodzi tylko o to, żebyś podał

jedno nazwisko. Jestem przekonany, że będzie to okoliczność łagodząca przy określaniu wysokości wyroku.

– Nic ci nie powiem, bo nic na mnie nie masz! – po raz pierwszy Koryto podniósł głos i spojrzał w oczy Rączemu.

– Nawet jeśli jeszcze nie, to przecież w tym przypadku jest to kwestia czasu. Wiesz o tym równie dobrze jak ja! – krzyknął Kornel. – Przestań grać niewinnego, kutasie, bo ci to słabo wychodzi! – Ściszył głos i dodał: – Między nami mówiąc, policja jeszcze nic nie wie i tylko ode mnie zależy, czy i kiedy się dowie. A do tego czasu mogą zdarzyć się różne rzeczy.

Dźwignął z ziemi łom i uparcie patrząc na lewe, zdrowe kolano Korytkiewicza, wykonał udawany zamach, zatrzymując się kilka centymetrów od celu.

Pot na czole bandziora świadczył, że przesłuchanie idzie w dobrym kierunku.

– Ty jesteś pojebany! – krzyknął w panice.

– Niektórzy tak uważają i może mają rację, bo załatwiłem w życiu kilku lepszych od ciebie – spokojnie odparł Kornel. – No ale, jak to mówią, cel uświęca środki.

Zamachnął się drugi raz, tym razem celując w głowę Koryta.

– Nikogo nie zabiłem – Melchior powiedział to niespodziewanie spokojnie, a Rączy z niechęcią odłożył łom. – Mam na to świadków.

Po kwadransie Kornel schował do kieszeni smartfon. Uprzejma pani Madzia, kiedyś praktykantka w gazecie, w której pracował Rączy, a dzisiaj rzecznik prasowy MOPS-u, wykonała kilka telefonów i poinformowała go, że Korytkiewicz Melchior, syn Kacpra i Eulalii, przebywał stale w ośrodku na Łanowej przez dwa tygodnie. Oddalił się dopiero wczoraj.

Kornel dokonał szybkich obliczeń, biorąc pod uwagę margines błędu. Zebrane fakty świadczyły jednoznacznie, że Koryto nie jest zabójcą Dudniewskiego i Wnęka.

– Może teraz mnie rozkujesz? – Korytkiewicz nie słyszał całej rozmowy, ale domyślił się jej finału.

– Poproś pana Włodka, może jeszcze nie śpi.

Rączy zszedł wolno po schodach. Po drodze minął budkę ciecia. Doszło go stamtąd głośne chrapanie.

Po krótkiej wizycie u Orędowskiego, podczas której pocieszał załamanego „największą swoją porażką zawodową" patologa, Kornel udał się do domu. Ze zdziwieniem skonstatował fakt kontynuacji budowy apartamentowca na terenie parku św. Wincentego a Paulo. Robotnicy uwijali się na rusztowaniach do późnego wieczora, chcąc nadrobić plan. Widocznie ktoś na górze podjął jedynie słuszną decyzję i budynek rósł w oczach, skutecznie zasłaniając park i kościelną wieżę oraz stawiając tamę powietrznym korytarzom. Nawet Niemcy w czasie okupacji budowali w imię urbanistycznej idei *Licht und Luft*, dbając, aby pomiędzy budynkami były rzeczone światło i powietrze. Dziś takimi „drobiazgami" nie przejmował się przecież nikt.

Mimo gonitwy myśli Rączy starał się właściwie ocenić sytuację. Śledztwo, które prowadził właściwie nielegalnie, wbrew zaleceniom policji, nie posunęło się specjalnie do przodu. Doktor Orędowski był chwilowo zajęty krytyczną analizą własnego profesjonalizmu, tymczasem półtajny charakter działań, jakich podjął się Kornel, uniemożliwiał w praktyce współpracę z organami ścigania.

Miał wrażenie, że stoi przed murem, który jest na tyle gruby i na tyle wysoki, że aby go pokonać, potrzeba diametralnej zmiany metod pracy. Przemknęło mu nawet przez głowę, że jest to początek końca, że współcześni przestępcy wyposażeni w nowoczesne narzędzia i obdarzeni większą inteligencją stają się dla niego nieuchwytni, tak jakby tracił zasięg. Odpędził jednak tę myśl i postanowił skupić się wyłącznie na konkretach. Sęk w tym, że nie było ich zbyt dużo. Wykluczając z grona podejrzanych Korytkiewicza i duet domorosłych skinheadów, nie będąc pewnym, czy obu morderstw dokonała ta sama osoba, czuł, że traci grunt pod nogami, a kolejne ruchy zmierzające do rozwiązania zagadki mogą być chaotyczne i przypadkowe jak gra polskich klubów piłkarskich w europejskich pucharach.

Kto zyskał lub mógłby zyskać na śmierci Dudniewskiego? Być może jego żona, o ile małżonkowie nie spisali przed ślubem

precyzyjnie brzmiącej intercyzy. Możliwe, że takim obrotem sprawy byli zainteresowani najbliżsi współpracownicy lub konkurencja budowlana. Patryk mówił mu przecież, że firma DUD-BUD miała ostatnio kłopoty finansowe. Eliminacja jej z rynku byłaby na rękę innym firmom. Po zastanowieniu odrzucił jednak tę hipotezę. Deweloperzy może i rywalizowali ze sobą, ale byli skupieni na własnym biznesie i raczej nie słyszało się, aby ktoś posuwał się do tak bezwzględnych, ale przecież i ryzykownych działań.

Patryk wspomniał też o rzekomym romansie Laury z niejakim Krajskim, prawą ręką Dudniewskiego. Czy jednak prawda byłaby tak banalna i łatwa do rozszyfrowania? Inny domniemany romans dwójki nieboszczyków miał ponoć rozbić homoseksualny związek Zawistowskiego i Wnęka…

Kornel złapał się na tym, że informacje uzyskane od brata Ingrid są praktycznie niesprawdzalne i jako takie nie mogą stanowić podstawy do podjęcia konkretnych kroków. Jeżeli dwa trupy stanowiły element czyjegoś planu, to logiczne byłoby następstwo działań, czyli na przykład szybka sprzedaż firmy, będąca ucieczką przed bankructwem, i wyjazd kochanków na drugi koniec świata.

Rączy zdawał sobie sprawę, że Krępowicz ze swoją ekipą mogą myśleć w taki właśnie sposób, co więcej para jest już zapewne dyskretnie obserwowana przez policję. Intuicja podpowiadała mu, żeby nie iść tą drogą, wiodącą donikąd, z drugiej jednak strony nie znajdował innego punktu zaczepienia.

Chociaż… Na zdjęciu, które pokazywał mu Patryk, widoczny był jakiś stojący tyłem mężczyzna. Jego obecność na fotografii nie była przypadkowa, mimo że to nie on był obiektem zainteresowania jej autora. Wyglądało na to, że Laura i Krajski akceptują jego bliskość, być może spełniał on rolę ochroniarza lub stojącego na czujce współkonspiratora.

Zdjęcia wykonał Zalesiak i również on był autorem fotek przedstawiających Partyka i Damiana. Musiał zatem znać dobrze całe to towarzystwo, co rzucałoby nowe światło na sprawę. Należało dowiedzieć się, jak bliska zażyłość łączyła byłego redakcyjnego kolegę z deweloperskim biznesem i dwójką gejów.

Tak, Adam Zalesiak był osobą, z którą w tej chwili Kornel chciał porozmawiać najbardziej.

Pierwsza rozmowa inżyniera Bugaja z Georgiem von Knabe przebiegła w atmosferze wzajemnej nieufności podszytej ostrożną sympatią. Kapitan chciał przede wszystkim poznać człowieka, o którym tak dużo i tak dobrze mu mówiono. Prywatnie uważał, że starannie i solidnie wybudowane domy o dość skromnych, lecz funkcjonalnie rozplanowanych, jasnych mieszkaniach, które w warstwie stylistycznej miały wpisywać się w koncepcję Heimatstilu – konserwatywnego stylu „ojczyźnianego", czerpiącego z tradycyjnego budownictwa niemieckiego – może zaprojektować tylko Niemiec. Jednak z drugiej strony wernakularny charakter domów, mający podkreślać rodzinną „praniemieckość" Krakowa, zdobywał już międzynarodową popularność i fakt posiadania przez Polaka wystarczających umiejętności świadczył tylko o geniuszu i zasięgu germańskiej myśli urbanistycznej. Dzięki temu w niedalekiej przyszłości budownictwo niemieckie znane będzie w całej Europie, zaś jego rozmach równy sile potężnej armii przemierzającej tysiące kilometrów i kroczącej od zwycięstwa do zwycięstwa.

Cieszyła go nieobecność różnych Tadanierów, Dütuchów, Landsbergerów i innych architektów pochodzenia żydowskiego, którzy uciekli z Polski lub skończyli w podgórskim getcie. Zaprojektowane przez nich, powstałe w latach dwudziestych i trzydziestych, kamienice były, co prawda, bardzo wygodne, ale ich twórcy mieli tu już nigdy nie powrócić. Luksusowe warunki były przecież stworzone dla narodu, którego nie nazywano „wybranym", ale którego członkowie sami nazwali się nadludźmi.

Reprezentacyjna Reichstrasse miała wyglądać szczególnie okazale. Knabe miał dziwną pewność, że ten szczupły brunet siedzący naprzeciwko podoła zadaniu. W osobie Bugaja niepokoiło go tylko jasne i czyste spojrzenie i takież podejście do zawodu. Był absolutnie pewny, że nie zrobi z nim żadnego pokątnego interesu, nie pójdą na skróty dla wspólnych korzyści. Postanowił mieć go na oku i czyhać cierpliwie na jakiś błąd. *Letztens, niemand ist perfekt*[2]...

Kiedy inżynier płynnym niemieckim referował swoje projekty, argumentując konieczność zastosowania na szeroką skalę wapienia pińczowskiego – z jednej strony kamienia charakterystycznego dla Krakowa, a z drugiej odwołującego się do gotyckiej tradycji – zwłaszcza w partiach cokołu, portali i obramień okiennych, von Knabe czuł przyjemne ciepło, choć nie bardzo rozumiał szczegóły wywodu. Gdy Bugaj mówił o wprowadzaniu wykuszy, przypór i podcieni, kapitan niemal słyszał najpiękniejsze Wagnerowskie uwertury.

– *Also, mein lieber Ingenieur, schaffen wir zusammen die deutsche Architektur. Das ist die Grundanlage der germanischen Kultur*[3] – zakończył spotkanie, ściskając mocno dłoń Bugaja, który odpowiedział ledwo widocznym skrzywieniem warg, co mogło być jednocześnie uśmiechem i skrywaną dezaprobatą.

Kiedy inżynier opuścił biuro, twarz Knabego przybrała daleki od zadowolenia wyraz. Wiedział już, że ten „wybitny fachowiec", jak o nim mówiono, zwiastował nieliche kłopoty.

Antek i Florek spędzali coraz więcej czasu razem. Oczywiście nie zaniedbywali zwyczajowych posiadów nad Młynówką z resztą bandy. Tym bardziej że zdobyta skądś sfatygowana piłka stała się teraz przedmiotem kultu. Kopali ją w wysokiej, nieskoszonej trawie od rana do wieczora, przewracając się i kłócąc. I nawet w tak niefutbolowych warunkach zazwyczaj najlepszy był Florek, znający nieszablonowe zagrania, „kiwający" ich niemiłosiernie, zakładający „siatki", a przy tym zawsze uśmiechnięty. Zdjąwszy buty, udawał Brazylijczyka Leonidasa, świetnego technika, który – z powodu śliskiej nawierzchni boiska w Strasburgu – miał tak ponoć uczynić w sławnym meczu z Polską na mistrzostwach świata w 1938 roku.

Jednak im dłużej trwała ich znajomość, tym częściej, pod jakimkolwiek pozorem, wymykali się gdzieś we dwójkę, aby podglądać Lilę, najstarszą córkę Mysiaków, której szło już na siedemnasty rok i która czasem podmywała się w niedomkniętej komórce za domem rodziców. Trzeba było tylko przeskoczyć płot i ukryć się między wozem i pustymi beczkami.

Po takim seansie rozchodzili się do domów, lakonicznie komentując niecodzienne, wspaniałe zjawisko, by kwadrans później, pod osłoną nocy i własnej kołdry przeżywać piękne chwile, imaginowane wytrwale aż do finału, który zawsze był taki sam.

Lubili też ze sobą rozmawiać. Florek, bardziej bywały w świecie, opowiadał Antkowi o wielkich sportowcach, bokserach Klemensie Bogdanowiczu i Marianie Dudzickim. Konik rewanżował się rodzinnymi historiami. O swoich ojcach obaj mówili z głębokim szacunkiem, starając się jednak, by zbytnio nie pysznić się przed kolegą. Czas mijał, a oni jak pięściarze na ringu mający w perspektywie dziesięć zakontraktowanych rund tańczyli wokół siebie, opóźniając moment, w którym…

– Mój stary mówi, że dla Niemca robią tylko sprzedawczyki i volksdeutsche – Antek odważył się pierwszy podjąć chciany, a niechciany temat.

– To nie jest takie proste – odparł Florek. Wyglądało na to, że spodziewał się tego zdania, ale nie miał gotowej odpowiedzi. – Rozmawiałem z moim ojcem. Na początku też mnie nie przekonał, ale potem… Wiesz, on buduje domy, w których będą mieszkać Niemcy. Ale przecież tak nie będzie zawsze. Ojciec powiedział, że nigdy nie zgodziłby się pracować dla nich, gdyby nie wierzył, że kiedyś sobie od nas pójdą.

Antek zamyślił się. Teraz, kiedy usłyszał rzeczowe argumenty, zdanie ojca wydało mu się prostackie i głupie. Postanowił jednak do końca bronić rodzinnych racji.

– A jak nie pójdą? – spytał niepewnie.

– To sami ich wygonimy! – Florek uśmiechnął się. – Szwaby dostały wciry pod Tobrukiem, nasi tam walczyli. I „Bismarcka” zatopili na oceanie.

– Skąd o tym wiesz? – Antek nieco oszołomiony zalewem informacji i obco brzmiącymi nazwami otworzył szeroko oczy.

– Nie mogę ci powiedzieć – wyszeptał z tajemniczą miną młody Bugaj. – Zresztą im mniej się wie, tym lepiej, ale to, co ci powiedziałem, to pewne.

Antek umilkł wstydliwie, zastanawiając się nad źródłem swojej niewiedzy. W domu nie rozmawiało się o polityce, o działaniach

wojennych. Wiadomo: przyszli Niemcy i trzeba z tym żyć, choć jest ciężko. Tak mówiła matka. Ojciec, kiedy się upił, wyklinał Hitlera, ale miało to miejsce tylko na ich własnym podwórku. Wielki świat, do którego należał Florek, nie istniał przy Młynówce.

---

2 *Letztens, niemand ist perfekt* (niem.) – ostatecznie, nikt nie jest doskonały.

3 *Also, mein lieber Ingenieur, schaffen wir zusammen die deutsche Architektur. Das ist die Grundanlage der germanischen Kultur* (niem.) – Tak więc, drogi panie inżynierze, tworzymy razem niemiecką architekturę. To jest podstawa germańskiej kultury.

# 6

Laura Chociej-Dudniewska była w trakcie pachnącej, pienistej kąpieli. Oddawała się tej czynności przynajmniej dwa razy dziennie. Choć drzwi od łazienki były zamknięte, wyczuła w mieszkaniu czyjąś obecność. Wiedziona strachem znieruchomiała, wpatrując się intensywnie w małe okienko usytuowane w górnej części drzwi. Przysięgłaby, że w pewnym momencie mignął w nim cień. Jednocześnie usłyszała dochodzące z przedpokoju ciche szuranie. Sparaliżowana duszącym lękiem, nie wykonując żadnego ruchu, rozglądała się po łazience w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu zdatnego do ewentualnej obrony.

W dwóch oszklonych i efektownie oświetlonych szafkach piętrzyły się dziesiątki pojemniczków, pudełeczek, flakoników, tubek i przyborników reprezentujących czołowe firmy kosmetyczne świata. Namierzyła wzrokiem najbliższy z nich. Zestaw pilników, w tym ten najokazalszy, był o wyciągniecie ręki. Musiałaby jednak unieść się, a chlupnięcie wody mogłoby zwrócić uwagę intruza. Trwała więc w bezruchu, przenosząc wzrok z drzwi na szafkę z pilnikami i z powrotem. Gęste, regularne brwi Laury uniosły się wysoko w momencie, w którym klamka drzwi poruszyła się i powoli, pod naciskiem czyjejś dłoni, zmieniła swe położenie o czterdzieści pięć stopni.

Podkomisarz Łukasz Krępowicz nie mógł uznać ostatnich kilku dni za udane. Śledztwo nie posunęło się do przodu ani o centymetr. Ostatecznie potwierdzono alibi Pawika i Koli, nie mówiąc już o zbiorowym hejcie, który zawładnął policyjną stroną w internecie. Strona stworzona właśnie do kontaktu z mieszkańcami dzielnicy jawiła się teraz komendantowi jako piąta kolumna, a właściwie n-ta

kalumnia rzucana – trzeba przyznać w kulturalny, acz cyniczny sposób – prosto w służby mundurowe w aspekcie ich efektywności.

Jeszcze chwila, a dowództwo zainteresuje się sprawą i oczywiście znajdzie właśnie w nim głównego winowajcę.

Na domiar złego, ktoś połączył go – wysnuwając skądinąd słuszny wniosek wynikający z nieprzypadkowej zbieżności nazwisk – z osobą młodszego brata, który po raz kolejny nie popisał się jako rzecznik prasowy komendy, a fragmenty jego wypowiedzi przed kamerami telewizji królowały teraz na miejskich portalach internetowych, okraszone niewybrednymi komentarzami. Zjadliwe aluzje dotyczące nepotyzmu były aż nadto jasne, co łączyło się z nierozwiązaną sprawą dwóch morderstw, i tak koło zamykało się. Ten przykry dla uszu zgrzyt koła towarzyszył Krępowiczowi od rana do wieczora, a w nocy przybierał kształt wręcz demoniczny, spotęgowany bezsilnością i strachem przed utratą posady.

Na jednym z portali specjalizujących się w obśmiewaniu rzeczywistości przywoływano scenę ze znanego filmu Władysława Pasikowskiego. W dynamicznej aurze ustrojowej transformacji negatywnie zweryfikowany funkcjonariusz SB żalił się kolegom, że w życiu nauczył się właściwie tylko przesłuchiwać i przez to ciężko będzie mu znaleźć jakąś robotę. Okrutna puenta sugerująca, aby w takim razie poszukał jej w charakterze łowcy talentów w Polskich Nagraniach, wizualizowała się komendantowi w nowych warunkach, z nowym bohaterem, którym był on sam.

Zlecenie obserwacji wdowy po zamordowanym deweloperze i księgowego firmy Zbigniewa Krajskiego było być może dobrym posunięciem, ale póki co nie przynosiło wymiernego efektu. Śmierć męża właściwie nie zmieniła nic w dziennym trybie zajęć Laury Dudniewskiej. Traktując w sposób marginalny przygotowania do pogrzebu, codziennie odwiedzała zaprzyjaźnioną kosmetyczkę, dwa razy w tygodniu prywatny fitness club, a raz umówiła się w kawiarni w koleżanką. Większość czasu spędzała w domu.

Z kolei Krajski odwiedził kilkakrotnie magistrat, chcąc prawdopodobnie wynegocjować decyzję o kontynuacji budowy apartamentowca, był też widziany w jednym ze śródmiejskich drink barów w towarzystwie mężczyzny, którego tożsamość udało się

ustalić dość szybko. Był to eksdziennikarz radiowy Adam Zalesiak, obecnie freelancer, znajomy Kornela Rączego.

Śledztwo w sprawie drugiego morderstwa było jeszcze trudniejsze, gdyż jak się okazało, ofiara była gejem i za życia pozostawała w stosunkach homoseksualnych z Patrykiem Zawistowskim, co zgodnie zeznali zatrzymani w charakterze podejrzanych skinheadzi. Jednak partner Damiana Wnęka dosłownie zapadł się pod ziemię i tylko fakt specyfiki ich związku wstrzymywał jeszcze policję przed wysłaniem za nim listu gończego.

Podkomisarz zamyślił się głęboko. Z tej psychicznej opresji wybawił go telefon. Dzwonił starszy posterunkowy Eligiusz Bodnar oddelegowany do obserwacji okolic mieszkania Laury.

– Panie komendancie, chyba coś mam – konfidencjonalny szept natychmiast wzbudził zainteresowanie komendanta. – Podejrzanie wyglądający typ odwiedził obserwowaną. Był tam przez kilka minut, dokładnie sześć, po czym opuścił lokal w trybie przyspieszonym.

– To znaczy wybiegł?

– Nie, raczej szybko wyszedł.

– I gdzie jest teraz?

– Poszedł za nim posterunkowy Marek Fornal, a ja zostałem w samochodzie.

– Dobrze, idź teraz na górę, do mieszkania obserwowanej i pod jakimkolwiek pretekstem sprawdź, czy wszystko z nią w porządku. Fornal ma przy sobie komórkę?

– Oczywiście, panie komendancie, jesteśmy w stałym kontakcie – przytaknął podniecony Bodnar.

– W porządku, meldujcie, jak zdarzy się coś ciekawego.

Podkomisarz otarł pot z czoła. Najchętniej zdjąłby teraz koszulę. Pod pachami pojawiły się plamy i nie miało to nic wspólnego z wymaganą estetyką munduru. Na szczęście to on był tutaj komendantem.

Podkomisarz Łukasz Krępowicz musiał po raz trzeci wysłuchać chaotycznej opowieści roztrzęsionej Laury. Starał się skupić, ale skomplikowana narracja prostej w gruncie rzeczy historii była chwilami nie do zniesienia. Po dobrym kwadransie zrozumiał

wreszcie, że ktoś wszedł do mieszkania Dudniewskiej, kiedy ta brała kąpiel. Intruz – według relacji wdowy – miał poruszać klamką i chodzić po przedpokoju, jednak kiedy odważyła się wreszcie z pilnikiem w ręku stawić czoła niebezpieczeństwu, w mieszkaniu poza nią – mokrą i nagą – nie było nikogo.

Policjanci oddelegowani do obserwacji apartamentowca, w którym zamieszkiwała Laura, potwierdzili, że do budynku wszedł mężczyzna w średnim wieku i po kilku minutach z niego wyszedł. Posterunkowy Marek Fornal stwierdził ze wstydem w raporcie, że próba śledzenia nieznajomego zakończyła się kompletnym fiaskiem, gdyż ten w pewnym momencie zniknął mu pomiędzy domami.

Jedynym punktem zaczepienia było to, w jaki sposób mężczyzna dostał się do budynku, a potem do mieszkania, które – jak twierdziła Dudniewska – jest zawsze zamykane na klucz. Krępowicz westchnął i zlecił zajęcie się tą sprawą policyjnemu ślusarzowi.

Ulica Galla była praktycznie pusta. Dawniej był tu postój taksówek usytuowany niedaleko szpitala i ośrodka zdrowia, ale obecnie na terenie dzielnicy nie było już naprawdę ani jednego. Ktoś, kto nie posiadałby telefonu komórkowego, byłby zupełnie bezradny. Sytuacja zmuszała potencjalnych klientów do telefonicznych zamówień i oczekiwania na ulicy na przyjazd taksówki.

Dlatego Kornel zdziwił się, kiedy u wylotu Galla zauważył pojazd nieoznakowany logiem żadnej z działających w mieście korporacji. Szary opel Corsa, jedynie z numerem bocznym, stał w miejscu, gdzie jeszcze niedawno taksówki ustawiały się w kolejce w oczekiwaniu na klienta. Pomyślał, że kierowca otrzymał zlecenie akurat w tym punkcie, a zamawiający nie zdołał jeszcze dotrzeć na miejsce.

Nieoczekiwanie pojawił się przed nim łysy jak kolano taryfiarz. Rączy cofnął się odruchowo o metr, ale jowialny uśmiech tamtego uspokoił go.

– Dzień dobry, panie Kornelu – zwrócił się do niego kierowca. – Pewnie pan mnie nie pamięta, to tyle lat... Nazywam się Drążek. Leszek Drążek. Chodził pan z moim synem do jednej klasy w podstawówce. Syn ma na imię Piotrek.

Rączy uśmiechnął się. Oczywiście, Piotrek Drążek, zwany też Petlurą, był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci w klasie. Uzdolniony matematycznie, kilka razy reprezentował szkołę w olimpiadach przedmiotowych na szczeblu wojewódzkim. O ile jednak cieszył się uznaniem dyrekcji szkoły, większości grona nauczycielskiego i niewielkiej części kolegów, to wśród pozostałych budził raczej zawiść, a w skrajnych przypadkach agresję.

Kornel przywołał w pamięci sytuację, kiedy Drążek, gnębiony od dłuższego czasu przez kilku chłopaków, znalazł się naprawdę w nieciekawym położeniu i tylko szybka interwencja Rączego i jego dwóch starszych kolegów uratowała go przed torturami. Rozebranemu do naga i przywiązanemu do drzewa Piotrkowi zamierzano wypalić rozgrzanym nożem na plecach słowo „kujon". Jednak Kornel, który zdążył wezwać na pomoc kumpli, zapobiegł tragedii.

Dzisiaj nie żył już żaden z ówczesnych agresorów, gdyż każdy z nich wybrał złą i niebezpieczną drogę życia, które z kolei okazało się brutalne, niejako adekwatne do ich działań. Karma wróciła ze zdwojoną siłą.

– Co tam u Piotrka? – zapytał Rączy, bo jak sądził, tak wypadało zapytać.

– Piotrek jest chory. Bardzo chory... Przebywa w zakładzie zamkniętym – wesołe błyski w oczach taksówkarza zgasły w jednej chwili. – Przesrał sobie chłopak życie. Alkohol, narkotyki, lewe interesy... Dobrze, że Ala tego nie widziała.

– Pamiętam, że pana żona zmarła, kiedy Piotrek był w podstawówce. Bardzo to przeżył – Kornel przypomniał sobie, jak siedzącemu przed nim koledze, zdarzało się płakać w czasie lekcji.

– Byłem złym ojcem – ton głosu Drążka seniora stał się nagle zdecydowany i podniosły. – Nie miałem czasu, a i ochoty, żeby zajmować się wychowaniem syna. Pasowało mi, że większość czasu spędzał poza domem, nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim. A teraz, po latach, jest już za późno...

– To przykre, co pan mówi. Proszę pozdrowić Piotrka ode mnie – Rączy, przewidując dłuższą tyradę na temat nieudanego życia kolegi, próbował umiejętnej ewakuacji.

– Panie Kornelu, chciałem się z panem widzieć nie ze względu na Piotrka ani nawet ze względu na wdzięczność, jaką żywię po tych niemal czterdziestu latach.

– O co więc chodzi? – Rączy znacząco spojrzał na zegarek.

– Słyszał pan o morderstwie tego dewelopera Dudniewskiego? Zresztą o co ja pytam, z pewnością pan słyszał, a może nawet… – taksówkarz przerwał, wpatrując się uważnie w twarz Kornela.

– Oczywiście, myślę, że trudno byłoby dzisiaj znaleźć osobę w dzielnicy, która o tym nie słyszała – odparł wymijająco Kornel.

– Otóż tamtego wieczoru wiozłem klienta z Czarnowiejskiej na Widok. Gość był wycięty, a wtedy nie bardzo chce się spacerować i chętniej zamawia się taksówki… Tak, w pewnym sensie żyjemy ze spożycia alkoholowego obywateli – Drążek pozwolił sobie na błyskotliwą, w swym mniemaniu, konkluzję. – Mniej więcej na wysokości siódmego liceum pod koła wyskoczył mi młody człowiek. Zahamowałem i jakimś cudem nic się nikomu nie stało. Ale ten chłopak z pewnością był narkomanem. Oni mają charakterystyczne, zgarbione sylwetki. Oczywiście mówię o tych, którzy mają od dłuższego czasu styczność z twardymi środkami. Jest taki okres, w którym są jeszcze sprawni, silni, ale to taki początek końca. Potem jest tylko gorzej i jeśli nie podejmie się skutecznego leczenia, ci ludzie skazani są na śmierć. Ile ja książek o tym przeczytałem…

– Kiedy to było? – przerwał mu Kornel, który słuchał z coraz większym zaciekawieniem.

– Ano właśnie! Proszę sobie wyobrazić, że dokładnie tego wieczoru, kiedy zamordowano Dudniewskiego. Nawet godzina by się zgadzała… Oczywiście nie twierdzę, że mordercą dewelopera jest widziany przeze mnie narkoman, ale… może warto by się tym zainteresować.

– Nie poszedł pan z tym na policję?

– Nie bardzo nam po drodze – skrzywił się taksówkarz. – Dużo by gadać, ale zazwyczaj moje z nimi spotkania nie miały sympatycznego charakteru. Wolę, żeby to pan się tym zajął, bo pan… jest taki, jak trzeba. Chciałbym mieć takiego syna jak pan – w oczach Drążka stanęły łzy.

– Bardzo mi miło, panie Leszku, z pewnością nie jestem taki wspaniały, jak mogłoby się wydawać – zmitygował go Rączy. – Chyba mój ojciec miałby na ten temat zupełnie inne zdanie.

Kiedy Kornel odchodził w stronę Królewskiej, taksówkarz stał jeszcze przez chwilę oparty o drzwi opla, paląc papierosa. Dzisiaj nie liczył już na żaden kurs.

Adam Zalesiak wynajmował niewielkie mieszkanie na ostatnim piętrze wieżowca przy ulicy Na Błonie na osiedlu Widok. Zdeklarowany singiel i stary kawaler, bo tak już o sobie zaczynał myśleć, bywał w nim niezwykle rzadko. Właściwie tylko tu nocował, a i to nie zawsze, bo imprezowy tryb życia generował różne, czasami przypadkowe i nieoczekiwane sytuacje oraz miejsca, w których sypiał strudzony po alkoholowych bataliach.

Bywały i takie dni, że nie chciało mu się w ogóle wstawać z łóżka. Gnił więc w zmiętoszonej pościeli do południa, przerzucając pilotem tyleż nudnawe, co krzykliwe, atakujące zmysły programy z ponad czterystu kanałów telewizyjnych.

Właściwie nikt go tu nie odwiedzał, dlatego intensywny sygnał dzwonka do drzwi zdziwił go i trochę zaniepokoił. Widocznie niespodziewany gość sforsował bramę, unikając domofonu, i wszedł z którymś z ponad dwustu, zazwyczaj anonimowych względem siebie, lokatorów klatki F.

Podniósł się z fotela, jedynego w miarę porządnego sprzętu, będącego pamiątką lepszych czasów, i podszedł do drzwi. W tym momencie dzwonek zaterkotał ponownie. Zalesiak otworzył. W progu stał Rączy.

– Cześć, Adam! Musimy pogadać – bez zbędnych wstępów Kornel wszedł do mieszkania, niemal taranując zaskoczonego gospodarza. – Ależ zaduch… Wietrzysz tu czasami? – skrzywił się i bezceremonialnie usiadł na fotelu.

Wyjąwszy z plecaka trzy fotografie, rzucił je na stolik pomiędzy liczne przedmioty, wśród których znajadowały się: jednorazowa maszynka do golenia, stary numer kolorowego magazynu dla panów, kilka długopisów, notes, telefon komórkowy i przetarta talia do gry w uno.

– Poznajesz? – spytał cichym, skupionym głosem.

– Mogłeś wcześniej zadzwonić… – Zalesiak upozorował ziewnięcie, próbując odwlec w czasie odpowiedź.

– Mogłem – potwierdził Rączy – ale jak cię znam, nie odebrałbyś telefonu, a w najlepszym wypadku wykręciłbyś się brakiem czasu. Sprawa jest jednak z gatunku niecierpiących zwłoki, zatem postanowiłem pofatygować się do ciebie osobiście.

Zalesiak zrobił głupawą minę, z której można było wyczytać dezaprobatę tyleż dla faktu odwiedzin Kornela, co i powodu wizyty.

– Aha, skoro jesteśmy przy słowie „zwłoki”… – kontynuował Rączy. – Mam kilka pytań. Przede wszystkim, skąd znasz czy też znałeś Damiana Wnęka i jego partnera Patryka Zawistowskiego?

Napięte mięśnie twarzy Zalesiaka rozluźniły się, pod jego nosem pojawił się nawet nieśmiały uśmieszek. Kornel skonstatował, że pierwsze pytanie, otwierające niejako rozmowę, nie jest tym, którego ewentualnie obawia się Adam. Skoro jednak zostało już zadane, postanowił spokojnie wysłuchać odpowiedzi.

– To stara historia… – zaczął gospodarz, szukając wzrokiem paczki papierosów. – Chciałem kiedyś zrobić reportaż o środowisku gejowskim Krakowa. Zacząłem szukać odpowiednich rozmówców i tak poznałem Damiana, a przez niego oczywiście Patryka. Reportaż miał być radiowy, więc poza głosem nie było mowy o wykorzystaniu wizerunku. Koniec końców z reportażu nic nie wyszło, bo chłopcy po początkowych ustnych deklaracjach wycofali się z projektu, a mnie zostały tylko te odbitki, które zrobiłem wyłącznie na swój użytek. Fajnie wyglądali po prostu, kolorowi, wyluzowani, chyba szczęśliwi razem…

– Szczęśliwi, powiadasz… A ty jak oceniasz ich związek? – Rączy bawił się jedną z fotografii, raz po raz popatrując na rozmówcę.

– Kornel, ja nie jestem od ocen… Tym bardziej w takich związkach. Ich życie obchodziło mnie wtedy wyłącznie w kontekście reportażu, który zresztą, teraz mogę to przyznać, zamierzałem odsprzedać za dobrą kasę Deutsche Rundfunk. Brałem cię w tym względzie nawet pod uwagę jako tłumacza – Adam łypnął wesoło okiem. – Pracowałeś kiedyś przecież w dziale zagranicznym, zajmowałeś się prasą niemiecką.

Kornel udał, że słowa Zalesiaka nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Był zresztą pewien ponad wszelką wątpliwość, że była to wyłącznie konfabulacja. Chłodne stosunki, jakie panowały między nimi od lat, nie miały w sobie niczego z zażyłości.

– I nie wiesz nic o kontaktach Damiana z Abelardem Dudniewskim? – Kornel uważnie obserwował twarz Adama. Jednak tym razem nie drgnął na niej żaden mięsień.

– Z Dudniewskim? Pierwsze słyszę… Wydaje mi się zresztą, że to chyba nie ta liga. Wiesz, finansjera, deweloperka, a tu chłopaki takie bardziej free, no i raczej bez większej gotówki przy dupie – Zalesiak uśmiechnął się szeroko. W spojrzeniu ciemnych oczu widać było wyraźnie pewność siebie.

– I nic ci też nie wiadomo o fundacji, którą Dudniewski założył, aby wspierać kulturę niszową? Fundacji, której jesteś wiceprezesem, a wobec faktu śmierci Damiana… właściwie szefem? – Rączy zrobił niewinną minę i z satysfakcją zauważył, jak bardzo zmieniła się twarz kolegi.

Adam poczerwieniał, a jego ręce (Kornel dałby za to głowę) zaczęły się nerwowo pocić.

– Skąd? Jak? – zająknął się, szukając jakiejkolwiek sensownej odpowiedzi.

– Srak! Nie wiesz, że wszystkie fundacje, stowarzyszenia i inne instytucje pozarządowe są oficjalnie zarejestrowane wraz z personaliami ich szefów? – wzrok Kornela wyrażał głębokie zdziwienie. – To się nazywa KRS. Krajowy Rejestr Sądowy.

– Te sprawy ogarniał Damian. Ja miałem być odpowiedzialny za media i reklamę – powiedział znacznie ciszej Zalesiak.

– I zgarniać kaskę na poczet idei równości i tolerancji – dodał z przekąsem Rączy. – Sprawdziłem. Fundacja Pro Alius działała aktywnie przez ostatnie osiem miesięcy. W tym czasie naprawdę nie poznałeś swoich kolegów z zarządu? Spotkania, panele, rauty, także z udziałem prezesa i innych wpływowych osób z firmy DUD-BUD…

– Nic złego nie zrobiłem – głos Zalesiaka nagle wydał się Kornelowi płaczliwy. – Ty pierdolony psie! – zaatakował. – Zawsze wszystko musisz wywęszyć. A ja chciałem tylko…

– Czego chciałeś, to już wiemy – przerwał mu Rączy. – Mnie nie interesują twoje gierki i salonowe tańce. Oczywiście można popatrzeć na to z punktu widzenia etyki, ale ty, Adam, już dawno zapomniałeś, czym ona jest. Myślisz, że nie wiem, iż w pewnym sensie chciałeś mnie wrobić w morderstwo? – spojrzał na byłego kolegę z pogardą.

Ostatnie zdanie przyniosło nokautujący efekt. Adam ukrył twarz w dłoniach i po chwili całym jego ciałem wstrząsnęły kolejne spazmy.

– Bo przecież nie było żadnego romansu Damiana i Dudniewskiego – Kornel rozkładał przeciwnika na obie łopatki. – Sam go wymyśliłeś, żeby chłopcy pokłócili się ze sobą, a ty wskoczyłeś lekko na fotel wiceprezesa. I teraz, po śmierci Damiana, jesteś w fundacji osobą numer jeden. Nie przewidziałeś tylko jednego. Mianowicie tego, że ktoś wcześniej pozbawi życia Dudniewskiego, a jego następcy wycofają się z finansowania Pro Alius.

Z satysfakcją patrzył na zaskoczoną minę gospodarza.

– Weź też pod uwagę, że wiem o próbie ukrycia przez ciebie prawdopodobnych okoliczności zbrodni. Rozmawiałem z pewnym taksówkarzem, który odwoził cię do domu po imprezie u Tomka. A teraz uspokój się i szczerze, ale naprawdę szczerze, odpowiedz na moje ostatnie pytanie. Kto, twoim zdaniem, zabił Abelarda Dudniewskiego i czy ta sama osoba zamordowała Damiana Wnęka? – Rączy wytoczył na koniec najcięższe działa.

– To skurwiel! Nie myślałem… – wyrwało się bezwiednie Zalesiakowi.

– Ty w ogóle chyba masz kłopoty z myśleniem, Adam – znęcał się nad nim Kornel. – Ale teraz nie masz wyjścia. Jeśli nie chcesz trafić do pierdla, a postaram się ci to załatwić w ramach rewanżu, gadaj, co wiesz, i to zaraz, bo kończy mi się cierpliwość do ciebie.

Zalesiak wstał, podszedł do zlewu i wrócił ze szklanką wody w drżącym ręku. Pił łapczywie aż do końca, po czym wydał z siebie głośne, niekontrolowane beknięcie.

Kornel z dezaprobatą pokręcił głową.

– Nie dość, że drań i debil, to jeszcze cham – skomentował pod nosem, ale tak, by Adam usłyszał.

– Faktycznie, kiedy wracałem wtedy taksówką, kierowca nagle zahamował, bo tuż przed maską przebiegł mu jakiś człowiek w kapturze, ubrany na ciemno, zresztą w ogóle było ciemno… Nie skojarzyłem wtedy przecież, że ma… że będzie miało to związek z morderstwem.

– Ale później z pewnością skojarzyłeś. Zataiłeś ważną rzecz, być może przydatną w sprawie znalezienia zabójcy Dudniewskiego, za to próbowałeś, wyjątkowo zresztą nieudolnie, obciążyć mnie zbrodnią.

– Kornel, nie wiem, co we mnie wstąpiło… – Zalesiak wpadł ponownie w płaczliwy ton.

– A w sprawie Damiana co masz do powiedzenia? – wszedł mu w zdanie Rączy.

– Nic. Naprawdę. Moim zdaniem to może jednak ten Patryk. Romansu nie było, ale on o tym przecież nie wiedział. Był cholernie zazdrosny. Raz na imprezie wygłupialiśmy się trochę z Damianem. Na przykład kiedy mnie objął, oczywiście bez homointencji, Patryk zrobił mu straszną awanturę. Skończyło się na tym, że dali sobie po razie, więc…

Kornel wstał z fotela.

– Spodziewaj się wizyty policji. Śledztwo jest w toku, a oni jednak też coś robią. Nie jestem delatorem, więc im o tobie nie powiem. Niech się sami pomęczą, ostatecznie płacimy na nich podatki – Rączy uśmiechnął się pierwszy raz podczas tej wizyty. – I dziękuję za pyszną kawę.

– Jaką kawę? – Zalesiak zrobił głupawą minę.

– No właśnie, nawet nie poczęstowałeś mnie kawą – Kornel klepnął go mocno w ramię. – Nie dość, żeś drań, debil i cham, to nawet nie umiesz się zachować we własnym domu. – Ruszył do drzwi, ale odwrócił się jeszcze raz. – Wiesz, Adam, świetnie grało się wtedy na Kreuzbergu z tymi Norwegami. Szkoda, że nie chciałeś pogadać ze mną o tym na antenie. Chyba od tego zaczęły się wszystkie twoje kłopoty, nieprawdaż?

Kiedy za Rączym zamknęły się drzwi, Zalesiak odetchnął z ulgą.

– Taki z ciebie kozak, a nie wiesz najważniejszego… – mruknął pod nosem, uśmiechając się do swoich myśli.

Inżynier Jerzy Bugaj spojrzał przez okno. Wóz zaprzężony w parę kasztanowych koni zatrzymał się w podworcu. Robotnicy ostrożnie zdejmowali zabezpieczone pakułami okna i układali je pod ścianą budynku.

Wstał z krzesła i wyszedł na zewnątrz. Powitali go, lekko uchylając kraciaste kaszkiety.

– Pokażcie, co przywieźliście – zwrócił się do młodego człowieka o chmurnym spojrzeniu.

Chłopak posłusznie odwinął pierwsze okno z pakuł i papierów.

Bugaj pochylił się nad opartą o ścianę ramą i przyjrzał się jej dobrze.

– Panowie… – wyprostował się i tuszując wzburzenie, wskazał ręką na okna. – To jest fuszerka. Zresztą już nie pierwsza. Przywozicie mi okna z korą, do tego zrobione byle jak. – Stanął naprzeciw chłopaków, którzy w międzyczasie zapalili papierosy. – Będę musiał zastanowić się nad zmianą wykonawców – westchnął. – Sądzę, że w dzisiejszych czasach każdy weźmie taką fuchę z pocałowaniem ręki. Powiedz, Władek, czy źle wam płacę? – zwrócił się do stojącego najbliżej robotnika.

– Tu nie chodzi o pieniądze – burknął pytany i wlepił wzrok w ziemię. – Pan buduje domy dla szkopów, a jak tak, to trzeba robić… sabotaż. – Podniósł oczy dumny, że zapamiętał trudne, niepolskie przecież, choć wiele znaczące słowo.

– Sabotaż? – zdziwił się Bugaj. – Nie… Ja nie mogę tego w żadnym razie zaakceptować. Dla mnie robota ma być wykonana porządnie i nie ma znaczenia, kto jest jej odbiorcą. Poza tym… – ściszył głos i zbliżył się jeszcze bardziej do Władka – przecież oni kiedyś stąd pójdą. A domy będą służyć ludziom i mają mieć porządne okna! – zakończył donośnie. – Zabierać mi to stąd do poprawy i widzę was pojutrze rano z tymi oknami!

– Po której pan jest stronie? – chłopak wyraźnie się rozkręcał.

– Po właściwej, Władek, po właściwej… – Bugaj klepnął go lekko po ramieniu. – Przez pięć lat budowałem Gdynię, polski port… Jak

myślisz, dla kogo ją budowałem? – bezskutecznie szukał kontaktu wzrokowego z rozmówcą, ale ten jak poprzednio spuścił nisko głowę. – Straciłem wszystko. Wszystko... Ale nie po to studiowałem we Lwowie architekturę, żebym odwalał teraz fuszerkę.

Chłopak bez słowa sięgnął do tyłu, za pasek spodni i wyjął nieco przymiętą gazetkę.

– To dla pana, niech pan sobie poczyta. Tu co innego piszą niż w tej pieprzonej gadzinówce.

Inżynier niechętnie wziął do ręki egzemplarz.

– Przejrzę wieczorem. Teraz mam robotę. A i wy zabierzcie się wreszcie do uczciwej pracy – dodał już łagodniej.

Kiedy załadowali już wszystkie okna, a wóz wyjechał z podwórka, wrócił do biura i ciężko usiadł na krześle.

– Zawsze pod górkę – mruknął do siebie.

Kiedy tuż po wojnie wybrał już kierunek studiów, okazało się, że w Krakowie nie uczą projektowania budynków. Przyszli architekci studiowali w Petersburgu, w Wiedniu albo we Lwowie. Ostatecznie wybrał tę trzecią, najtańszą opcję. Do Krakowa wrócił dumnie, z dyplomem w ręku i wielkimi planami w głowie.

Jadwigę poznał na potańcówce. Wraz z innymi chłopakami ze Zwierzyńca przychodzili do parku Krakowskiego, za każdym razem ryzykując starcie z miejscowymi. Ale nie bali się. Fama o wyjątkowej urodzie brzanek z Czarnej Wsi niosła się daleko, aż nad Wisłę.

Poprosił ją do tańca. Rumieniąc się, oddała koleżance niewielką torebkę i już po chwili wirowali na zakurzonym, polewanym co jakiś czas wodą klepisku w rytmie Straussowskiego walca. Absolwent kursów u samego Matecznego musiał przyznać, że Jadwiga tańczyła świetnie. Prowadził ją, a ona wyczuwała jego intencje i choć trochę sztywna i stremowana oddawała się zabawie z wielkim wdziękiem.

Tydzień później wypatrzył ją wśród kilku roześmianych dziewcząt. Śmiało podszedł do niej, przeprosił. Wtedy przetańczyli cały wieczór. Zaproponował, że odprowadzi ją do domu, ale wymówiła się, że będzie wracać z koleżankami.

Od tej pory bywał tu w każdą niedzielę. Za szóstym razem pozwoliła zaprosić się na spacer. Krążyli po nieznanej mu dzielnicy,

a on zdawał się nie zauważać czających się w mrocznych zaułkach miejscowych zabijaków.

Mieszkała w jednej z kamienic na Kawiorach. Odprowadził ją do domu i na koniec mocno pocałował w usta. Nie broniła się, wyczuł nawet wyraźne przyzwolenie. Nagle wyrwała się z jego objęć, szepnęła ciche „do widzenia" i zniknęła w pomalowanej na popielato bramie. Stał na ulicy jeszcze dobry kwadrans i choć nie znał przecież rozkładu mieszkania, czekał, aż w ciemnym domu zapali się światło. Wreszcie rozbłysło w środkowym oknie na pierwszym piętrze. Wydawało mu się, że za firanką ujrzał jej postać. Po chwili światło zgasło.

Na ulicy było zupełnie ciemno i nie wiadomo skąd wyrosły przed nim cztery postaci. Byli mniej więcej w jego wieku, ale poczuł wtedy mróz przeszywający całe ciało i mrowienie w okolicach kręgosłupa.

Ten, który stał na przedzie, zapewne herszt bandy, zapytał o papierosa. Bugaj nigdy nie palił i w tych okolicznościach okazało się to wyjątkowym niefartem. Walczył dzielnie, ale tamten był widocznie zaprawiony w ulicznych bojach, więc fachowo rozkwasił mu nos, podbił lewe oko i naruszył dwa żebra.

Tak przynajmniej stwierdził wezwany do mieszkania Jadwigi lekarz, zaraz po tym jak zaalarmowany krzykami ojciec dziewczyny wypadł przed dom i przegonił napastników. Czuli przed nim rezon, bo zniknęli tak szybko, jak się pojawili, zostawiając go leżącego na ziemi z krwawiącym nosem i palącym wstydem.

Przyszły teść, Zdzisław Rozjemski, okazał się sympatycznym w gruncie rzeczy, czasami wręcz jowialnym człowiekiem. Nie zdziwił się zbytnio, gdy dowiedział się o powodzie wizyty Bugaja we wrażej dzielnicy, mamrotał tylko pod nosem, że „kręcą się tu tacy różni i guza szukają, a jak szukają, to znajdują" i że „Jadźka jest dziewczyną jak się patrzy, ale na hajtanie ma jeszcze czas".

Gdy dowiedział się o przyszłej, lecz wyuczonej już profesji Bugaja, uśmiechnął się kpiąco i wyciągając przed siebie obie ręce, wyrecytował, że on sam od wielu lat stawia domy, które uprzednio projektuje, a o kimś takim jak „architekt" nigdy nie słyszał.

– Ile ty zarobisz, chłopcze, na tych swoich rysunkach? – pytał pogardliwie, nie zwracając uwagi na pełne pasji opowieści Jerzego. –

Dajmy na to, że zgodzilibyśmy się z matką na ten ślub… Ale z czego ty utrzymasz rodzinę?

Dwa lata później z nieskrywaną satysfakcją patrzył na jego minę, kiedy już z poślubioną Jadwigą (nieoczekiwanie rodzice młodych dość szybko doszli do porozumienia, a ślub odbył się w „neutralnym" kościele św. Floriana) odwiedzili Rozjemskich w Krakowie. Bugaj pracował już wtedy w Gdyni, a jego miesięczne uposażenie – jako architekta zajmującego się też, na mocy umowy z Zarządem Komisarycznym miasta, sprzedażą i wynajmem mieszkań w zbudowanych przez siebie budynkach – przekraczało niemal trzykrotnie zarobki teścia.

Niedługo potem przyszedł na świat Florek, ochrzczony na cześć patrona świątyni, w której połączyli się dozgonnym węzłem. Nie dane jednak było przeżywać im wspólnie radość z potomka. Na skutek powikłań poporodowych Jadwiga zmarła w dwa tygodnie po urodzeniu syna.

Bugaj zaciął się w sobie. Pracował jeszcze intensywniej, ciesząc się Florkiem, który choć wychowywał się bez matki, był pogodnym, lecz na swój sposób upartym dzieckiem.

Wrócili do Krakowa w 1939, kiedy Niemcy zajęli Gdynię wraz z portem, zabierając mu gustownie umeblowane mieszkanie w centrum miasta. Jerzy wiedział, że Gotenhafen, germańska nazwa nadana ostoi polskości, już zawsze będzie mu przypominać Jadwigę.

# 7

Zbigniew Krajski, będąc postawnym brunetem o – można rzec – nienagannej sylwetce, mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę. Niedawno przekroczona czterdziestka nie była żadną przeszkodą, aby – jak zwykł się wyrażać w gronie najbliższych kolegów – skutecznie „kosić zboże". Fakt, że nigdy się nie ożenił, był wypadkową kilku istotnych czynników rządzących życiem wziętego księgowego. Po pierwsze nie wyobrażał sobie, aby do końca swoich dni mieszkać z jedną kobietą; po drugie nie lubił dzieci, szczególnie tych małych – krzyczących, zasmarkanych bachorów, roszczeniowych względem dorosłych i wiecznie niezadowolonych; po trzecie świat był pełen atrakcyjnych przedstawicielek płci przeciwnej i choć oczywiście zdawał sobie sprawę, że w skali ogólnoświatowej, a nawet ogólnopolskiej, nie może mieć ich wszystkich, starał się, aby przekroczyć w tym względzie średnią krajową.

Sam siebie uważał za rozsądnego hedonistę i było mu z tym dobrze, a myśląc o przyszłości, zakładał, że koniec nastąpi wtedy, gdy przyjdzie mu płacić za seks. Jednak jak do tej pory nic podobnego się nie zdarzało. Działania łowne wymagały pewnych nakładów finansowych, ale czy wytrawny myśliwy nie inwestuje w niezawodny sztucer, nie kompletuje typowej dla tego zajęcia garderoby z uwzględnieniem najnowszych trendów mody?

Przez z górą dwadzieścia lat zyskał w określonych kręgach opinię prawdziwego konesera kobiecej urody. Miał też wrażenie, że poznawane kolejne panie były równie zadowolone z trwających zazwyczaj tydzień, góra dwa związków. W tym czasie otworem stawały przed nimi eleganckie hotele i restauracje Małopolski, swój zysk notowała też branża turystyczna, gdyż szczególnie wdzięczne za

takie traktowanie kobiety zabierał na weekendy do najpiękniejszych miast całej Europy.

Drugim hobby Krajskiego były samochody. Będąc prawą ręką Dudniewskiego i mając pełen wgląd w finanse firmy, mógł sobie pozwolić na to, żeby co najmniej raz do roku zmieniać auto, przesiadając się z mercedesa do bmw, z bmw do opla, z opla do audi i z powrotem z audi do mercedesa, ale już jego nowszej wersji. Cenił sobie bowiem niemiecką myśl techniczną, śledził wszelkie nowinki motoryzacyjne, z uwagą pochylał się tak nad estetyką wnętrza, jak i nad praktyczną mobilnością samochodu.

Niestety, Krajski lubił też wypić. Co prawda, przez wiele lat jazda pod wpływem uchodziła mu na sucho, przede wszystkim dlatego, że był dobrym i w sumie ostrożnym kierowcą unikającym sytuacji, kiedy byłby zmuszony używać alkomatu.

Jednak tamtego wieczoru od samego początku wszystko szło nie tak. Poznana dzień wcześniej – na raucie u jednego z włodarzy województwa – blondwłosa piękność nie stawiła się na umówione spotkanie. Konsekwentnie nie odbierała też telefonu, aż w końcu doszedł do wniosku, że podany numer może nie należeć do obiektu pożądania, a rząd dziewięciu cyfr zrodził się w ślicznej główce przypadkowo, być może dla żartu, a być może z innych jeszcze, bliżej mu nieznanych względów.

Był coraz bardziej wściekły i pełen najgorszych przypuszczeń, wśród których na pierwszy plan wysuwało się i to (graniczące z pewnością), że – mówiąc wprost – został wystrychnięty na dudka, zrobiony w balona i będzie musiał tym razem obejść się smakiem. Stolik usytuowany na tarasie jednej z droższych restauracji na Kazimierzu, z którego rozpościerała się panorama centrum miasta, stał się zatem niemym świadkiem wewnętrznego dramatu, w którym główne role grały wściekłość, urażona duma i palący wstyd. Kiedy kelner po raz trzeci zapytał, czy coś podać, Krajski złożył nieoczekiwane zamówienie i po kilku minutach zamiast planowanych, wykwintnych, pieszczących zmysły dań i adekwatnego w takich wypadkach wina na stole pojawiła się schłodzona butelka absolutu.

Księgowy pił i dzwonił, dzwonił i pił, aż wreszcie, rozlewając wódkę, zerwał się z krzesła, uiścił szybko rachunek i klnąc pod nosem, zbiegł po schodach na dół. Pokonał sto metrów dzielące go od zaparkowanego samochodu, zapuścił silnik i z piskiem opon ruszył w stronę Starowiślnej.

Kilka minut zajął mu dojazd do Błoń. Jechał wprost przed siebie, nie zastanawiając się nad celem szaleńczej podróży. Opanował się dopiero przy wjeździe w Księcia Józefa, zwolnił nieco i już miał skręcić w stronę Przegorzał, gdy znienacka przed maską pojawiła się kobieca postać. Krajski gwałtownie zahamował, ale odległość była zbyt bliska. Z przerażeniem obserwował, jak ciało przelatuje nad dachem pojazdu i z impetem uderza w jezdnię.

Przez moment walczył sam ze sobą. Rozglądnął się na boki, ale nie zauważył nikogo. Nie wysiadł z samochodu, nie spojrzał na leżące bezwładnie ciało. Włączył ponownie silnik i z trudem opanowując emocje, wolno odjechał. Przyspieszył dopiero po kilkuset metrach. Serce łomotało mu w piersi. Na twarzy pojawiły się krople alkoholowego potu.

Przez kolejnych kilka dni śledził pilnie kronikę wypadków w internecie, oglądał programy informacyjne, jednak o zdarzeniu, którego był sprawcą, nie donosiły żadne media. Po dwóch tygodniach Krajski zaczął się uspokajać. Podwójne dawki najlepszego szwajcarskiego tranquilizera aplikowane przez kilkanaście dni uczyniły go nieco zobojętniałym na rzeczywistość, chwilami czuł się tak, jakby tamto było jedynie złym snem, filmowym koszmarem niedotyczącym go bezpośrednio. Mógł się wreszcie wysypiać. Powrót do normalności spowodował nawet nieznaczny wzrost libido. Kiedy życie zaczęło wracać na stare, wytyczone przez lata tory, pewnego wieczoru odebrał telefon.

Facet, nie przedstawiwszy się, zaproponował spotkanie, jak to ujął, „w dobrze rozumianym interesie nas obu”. Zjawił się w mieszkaniu Krajskiego na drugi dzień i wszystko stało się jasne. Zresztą mężczyzna nie zamierzał niczego ukrywać. Układ, który od tej pory miał ich połączyć, miał – jak zawsze bywa w takich wypadkach – swoje plusy i minusy. Dysponując kompletną informacją na temat wypadku i będąc posiadaczem fotografii, na

których widać było leżącą na jezdni młodą kobietę i tył mercedesa z wyraźną rejestracją, mógł dyktować warunki. Dwadzieścia tysięcy na koniec każdego miesiąca zabrzmiało w uszach księgowego jak wyrok, który nie oznaczał jednak więzienia.

Zdążył się też dowiedzieć od nowego wspólnika, że ofiara wypadku żyje. Jest w ciężkim stanie, ale na tyle stabilnym, by w określonej sytuacji mogła potwierdzić wersję szantażysty i dodatkowo obciążyć Krajskiego.

Mężczyzna wiedział też, że feralnego wieczoru słynny lowelas został – być może po raz pierwszy w życiu – wystawiony do wiatru i odreagowywał w jednej z ekskluzywnych restauracji na Kazimierzu, w wyniku czego w momencie wypadku był pod wpływem alkoholu. Na odchodnym zdradził jeszcze, że blond czarodziejka, której wdziękami zauroczył się Krajski, była osobą podstawioną i nie zamierzała ani spotykać się z księgowym łamiącym kobiece serca, ani tym bardziej nawiązywać z nim romansu.

Wszystko wyglądało na precyzyjnie ułożony plan i Zbigniew poczuł wewnętrzne przekonanie, że od tej pory jego życie diametralnie się zmieni.

Jednak co najważniejsze, Krajski nie wiedział, że „ofiara" wypadku była dobrze spreparowaną i odpowiednio obciążoną kukłą, stworzoną specjalnie na okoliczność przyszłych zysków pomysłodawcy.

Ordynator Oddziału Klinicznego Psychiatrii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, profesor Mieczysław Czulak, był tego ranka w nienajlepszej formie. Wczorajsze spotkanie ze starym przyjacielem ze studiów Iwo Orędowskim było tyleż nieoczekiwane, co przyjemne. Iwo dzwonił rzadko, ale zawsze miał ku temu ważny powód. Czulak musiał zatem wysłuchać zwyczajowej introdukcji kolegi, tym razem dotyczącej przemijania i nieuchronności następstw, aby na końcu dowiedzieć się o „życiowej porażce zawodowej" i poznać konkluzję, z której wynikało, że zbliża się koniec ich misji, młodzi i zdolni ostrzą już zęby na wygrzane przez lata fotele, ale to dobrze, bo przecież nic nie może trwać wiecznie, niemniej czegoś żal.

Orędowski, zazwyczaj stroniący od większych ilości alkoholu, tym razem zrezygnował ze swoich zasad w tym względzie, a stawiając kolejny koniak, wisiał na ramieniu kolegi i bełkotał o wiecznej i świętej ich przyjaźni oraz o umierającej etyce. Nie przestawał jednocześnie emablować (gestem i słowem) młodej barmanki, o imieniu Dagmara, jak się okazało.

Starannie wybrany, niewielki lokal na Kazimierzu był z rodzaju tych cichych, przytulnych, gdzie można było spokojnie pogadać.

Rozstali się dobrze po drugiej w nocy, będąc ostatnimi klientami, kiedy znudzona awansami Dagmara zdecydowanie odmówiła podania następnej kolejki. Zadzwonili więc po taksówkę, znacznie trzeźwiejszy (bo zaprawiony w podobnych bojach) Czulak odwiózł Orędowskiego na Krowodrzę, odprowadził go pod klatkę schodową, zadbał, by ten wszedł do niej, i polecił kierowcy zawieźć się do swojej willi na Zarzeczu.

Trzy godziny snu, nawet dla człowieka, który przez większość życia – w sposób absolutnie kontrolowany – nie wylewał za kołnierz, to było zdecydowanie za mało. Dlatego profesor Mieczysław Czulak, pijąc, cokolwiek łapczywie, zieloną herbatę, marzył tylko o tym, aby ten dzień nie był obfity w ciężkie przypadki, żeby pacjenci, intuicyjnie wyczuwszy gorszy stan jego ciała i umysłu, nie sprawiali kłopotów, a codzienny obchód odbył się szybko i bezproblemowo.

Niestety, jak to bywa w takich przypadkach, stało się odwrotnie. Już w drzwiach wejściowych dowiedział się o udaremnionej prawdopodobnie w ostatniej chwili próbie samobójczej. Mimo wieloletniego doświadczenia i zawodowej rutyny, poczuł nagły skok ciśnienia.

Okoliczności pojawienia się w szpitalu pacjentki, której personalia zanotowano jako Sylwia Brzeszczuk, były dość nietypowe, ale profesor już dawno przestał się dziwić rzeczom nietypowym.

Leżącą na torach kolejowych w okolicach Podłęża nieprzytomną kobietę zauważyli sokiści. Wezwany patrol policji przywiózł ją do szpitala. Stwierdzono spożycie nadmiernej ilości środków nasennych, co nastąpiło bezpośrednio przed dotarciem do torów. Wyglądało to tak, jakby działanie niedoszłej samobójczyni było dobrze przemyślane. Przewidziała mianowicie okoliczność

niewystarczającej do zgonu dawki tabletek, a formą „zabezpieczenia się” miała być śmierć pod kołami pociągu.

Sylwia Brzeszczuk miała przy sobie torebkę, w której znaleziono dwa opakowania po popularnym leku nasennym Forsleep i dowód osobisty. Przy pomocy policji ustalono, że podane miejsce zamieszkania kobiety praktycznie nie istnieje, gdyż budynek przy ulicy Czarnowiejskiej został pół roku wcześniej wyburzony. Niewiele udało się też ustalić na temat miejsca pracy pacjentki.

Po kilku dniach, w których zastosowano ostry detoks, Sylwia Brzeszczuk otworzyła oczy (Czulak pamiętał ten moment, bo akurat siedział wtedy przy łóżku kobiety) i był to właściwie – poza oddechem – jedyny, niezbity dowód, że wróciła do świata żywych.

Profesor uznał przypadek za szczególnie ciekawy, ale mimo rozmaitych metod zmierzających do nawiązania komunikacji z pacjentką nie udało się wydobyć z niej ani słowa. Karmiona dożylnie, całymi dniami leżała w łóżku bądź siedziała na krześle, wpatrując się w jakiś wyimaginowany punkt na ścianie.

Pojawił się też inny problem. Niezarejestrowana w NFZ ani w żadnej przychodni Brzeszczuk, wobec niemożności zapłacenia za szpitalną opiekę, powinna być właściwie z niego formalnie wypisana.

Tu jednak profesor Czulak trzymał rękę na pulsie. Już kilka lat temu z pomocą znajomego parlamentarzysty pracującego w Senackiej Komisji Zdrowia zdołał zgromadzić spory budżet, który wykorzystywał w podobnych przypadkach. Działanie godne pochwały spotkało się ze zrozumieniem kół rządzących i choć obecnie senator senatorem już nie był, Oddział Psychiatrii Klinicznej otrzymywał przelewy kwartalne wystarczające na utrzymanie kilkorga pacjentów. Sęk w tym, że od pewnego czasu dotacje zostały uszczuplone, a liczba „socjałów” (bo tak nazywano osoby korzystające z budżetu) dwukrotnie wzrosła.

I tu wydarzyła się rzecz dziwna i zupełnie nieoczekiwana. Do szpitala zgłosił się mężczyzna, który zadeklarował pełne utrzymanie dla Sylwii. Zastrzegł sobie przy tym anonimowość, a że pieniądze zaczęły wpływać regularnie, przy czym kolejne wpłaty na konto oddziału przekraczały dwukrotnie potrzeby pacjentki, główny

księgowy wręcz wymusił zgodę na Czulaku, który zresztą uważał prywatnie, że wszystkie drogi prowadzą do celu, warunkiem wszakże jest dobra intencja. A ta wydawała się dobra.

Mężczyzna odwiedzał czasami pacjentkę. Za każdym razem spędzał z nią około pół godziny. Trzymał ją za rękę, gładził po włosach, wygłaszał szeptem żarliwe monologi. Jednak kobieta, nieczuła na wszelkie zabiegi, pozostawała wciąż milcząca, wpatrzona w bliżej nieokreśloną przestrzeń.

Czulak domyślał się, że związek tych dwojga musiał być mocny, miał też koncepcję, według której facet miał gigantyczne, mierzone naprawdę dużymi pieniędzmi, poczucie winy. Być może próba samobójcza spowodowana była zaburzeniem relacji z partnerem, na tyle silnym, że zdecydowała się na krok ostateczny.

Indagowany w tej sprawie mężczyzna twierdził jednak, że zna pacjentkę pobieżnie i że mogąc pomóc – pomaga. Dał też do zrozumienia, iż posiada wiedzę co do orientacyjnej kwoty utrzymania jednej osoby na oddziale, a wobec jej w gruncie rzeczy niewielkich potrzeb, nie ma nic przeciwko, aby nadwyżka służyła innym potrzebującym. Wpłacana zawsze terminowo kwota była stała, a nawet lekko regulowana inflacją. Wobec twardych i namacalnych faktów, Czulak nie drążył tematu, zajęty życiem szpitala i zdrowiem psychicznym pozostałych podopiecznych, wśród których dominowały trudne przypadki.

Strumień światła na tę tajemniczą sytuację rzuciły rutynowe badania przeprowadzane kwartalnie w zaprzyjaźnionym Oddziale Klinicznym Chorób Wewnętrznych. Otóż wynikało z nich niezbicie, że kobieta – mniej więcej miesiąc przed próbą odebrania sobie życia – poroniła. To, paradoksalnie, uspokoiło profesora, który skoncentrował się na leczeniu traumy spowodowanej utratą dziecka.

Czulak wiedział, że depresja poporonna rozwija się często na tle innych trudności psychologicznych. Może pojawić się patologiczny żal, niezdolność do pogodzenia się ze stratą i całkowitego przeżycia żałoby. Nadmierne poczucie winy prowadzi z kolei do skłonności karania siebie, autoagresji psychicznej i fizycznej. W tym jednak wypadku jedynym widocznym objawem było całkowite zerwanie kontaktu ze światem zewnętrznym.

Do dzisiaj. Szybkie i chaotyczne dochodzenie, którego podjął się w stanie totalnego kaca, przyniosło jednak pewien skutek. Przy Sylwii znaleziono skalpel, którym podcięła sobie gardło. Teraz walczyła o życie.

Na domiar złego, w najbardziej nieodpowiedniej chwili, zjawił się tajemniczy mężczyzna. Niczego nieświadomy zapytał w informacji, czy może odwiedzić Sylwię. Młoda pielęgniarka odbywająca staż w szpitalu, chcąc zapewne wykazać się kompetencją i zorientowaniem w sytuacji, wyjaśniła, że jest to obecnie niemożliwe, gdyż pacjentka przebywa na OIOM-ie.

Teraz wysoki brunet stał bez słowa w drzwiach gabinetu ordynatora. Jego wzrok wyrażał najwyższą formę bólu, ale też jakąś zwierzęcą determinację. Profesor próbował go uspokoić, ujmując go za ramię wyczuł pod koszulą napięte, drgające mięśnie. Mężczyzna brutalnie odepchnął Czulaka i chyba zamierzał dostać się na OIOM na własną rękę. W tym samym momencie pojawiła się przysłana do gabinetu ordynatora pielęgniarka. Krótki komunikat spowodował, że przez moment cała trójka zamarła. Stali, badając się nawzajem wzrokiem. Najszybciej zareagował mężczyzna, który obrzuciwszy nienawistnym spojrzeniem profesora, obrócił się na pięcie i biegiem ruszył do wyjścia.

Dawniej siedzieli na klatce schodowej jednego z wysokich bloków przy Królewskiej, w sąsiedztwie nieistniejącego od z górą trzydziestu lat „Peweksu". Liczne skargi mieszkańców i interwencje – na zmianę – Straży Miejskiej i policji, sprawiły, że towarzystwo musiało zmienić lokalizację. Od kilku lat na Krowodrzy nie słyszało się właściwie o narkomanach. Dlatego Rączy postanowił dowiedzieć się u źródła. Zdawał sobie sprawę, że telefon do Juliana Szczygła, pełniącego funkcję zastępcy komendanta dzielnicowego Straży Miejskiej, a prywatnie dobrego znajomego Kornela, będzie miał konsekwencje w postaci jutrzejszego kaca, mimo to zdecydował się zadzwonić.

Tym razem jednak Szczygieł przyjął go w swoim gabinecie na Azorach i zamiast wódki zaproponował czarną, mocną kawę.

Rączy próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio spożywał z Julkiem gorący, aromatyczny napój. Bezskutecznie. Jak daleko sięgał

pamięcią, ich spotkania, a znali się grubo ponad trzydzieści lat, były zakrapiane alkoholem, w większości wysokoprocentowym.

Bardzo lubił Szczygła. Pierwsza pięść parku Krakowskiego, nieformalny przywódca bitnej ekipy niegdyś przesiadującej na parkowych ławkach i zwyciężającej w licznych piłkarskich turniejach dzielnicowych… Julek miał dar opowiadania. Najprostszą historię potrafił przedstawić tak, że słuchający – nie przerywając mu – uważnie łowili każde słowo, gest, zaśmiewając się z często przewrotnej puenty. Miał dar, co dziwić specjalnie mogło, gdyż jego nieżyjący już ojciec był zawodowym aktorem.

Nie pamiętał też, w jakich okolicznościach się poznali. Mieli pewnie po siedemnaście albo osiemnaście lat. Okolicznością, dzięki której usłyszał o Szczygle, był fakt, że ten zaczął chodzić z Dorotą, prawdopodobnie najładniejszą dziewczyną w liceum, do którego chodził Kornel.

Dla wszystkich chłopaków z „dziewiątki” było to lekką potwarzą, ale cóż… Miłość nie wybiera. Dorota i Julek przez ładnych kilka lat prowadzali się po dzielnicy. Byli wzorcową parą, choć jak się później okazało, ich uczucie nie sprostało innej miłości, a może tylko młodzieńczej ambicji.

Dość, że rozstali się w kuriozalnych okolicznościach. Pewnego dnia Julek zaprosił Dorotę na mecz Wisły. Ona, związana rodzinną sympatią z Cracovią, odmówiła. Do tego w sposób zdecydowanie lekceważący. Poczuł się urażony. Odwrócił się na pięcie i odszedł, aby nigdy nie wrócić.

To był koniec. Zostali przyjaciółmi, a obecnie kontaktowali się głównie przez Skype’a, gdyż Dorota wybrała życie nad Tamizą, gdzie wyszła za mąż i urodziła dwoje dzieci.

Julek miewał liczne romanse, ale nie związał się z nikim na stałe.

Rączy zauważył na serdecznym palcu prawej ręki komendanta złotą obrączkę. Ślub musiał mieć miejsce stosunkowo niedawno i odbyć się w kameralnym gronie. W innym wypadku takie wydarzenie odbiłoby się głośnym echem po dzielnicy. Zdeklarowany singiel, nazywany przez niektórych „psem na baby”, musiał w ostatnim czasie ulec mentalnej przemianie. Kornel przypuszczał

jednak, że cała sprawa ma drugie dno, i cierpliwie czekał na komentarz samego zainteresowanego.

Ten okazał się nad wyraz lakoniczny, niemniej zawierający głęboką, życiową treść.

– Tamara mnie uratowała – zwierzył się ze spokojem Szczygieł. – Czasami mnie ciągnie jak cholera, ale jakoś się trzymam. To była, bracie, ostatnia szansa. Za trzy lata emerytura i co potem? Przychodziliby do mnie codziennie, aż wreszcie, pewnego dnia…

– Rozumiem i szczerze ci gratuluję – Kornel ścisnął dłoń Juliana i wzmocnił się sporym łykiem mistrzowsko zaparzonej kawy. – Załatwiłeś żonie pracę?

– Tak. Sęk w tym, że ona, jakby to rzec, nie bardzo lubi pracować – zmarszczki na czole Szczygła wyrażały strapienie. – Ma już przyznane obywatelstwo, mogłaby pracować u mnie, w straży, ale przepisy na to nie pozwalają. Z kolei robota na kasie w Żabce jej nie pociąga. Może od przyszłego roku szkolnego spróbuje w szkole… Ostatecznie jest z wykształcenia geografem.

– Geografką – poprawił go Rączy. – Radziłbym ci uważać na żeńskie formy.

Szczygieł odwzajemnił uśmiech, ale zaraz potem spoważniał i przez kolejne pół godziny obaj studiowali mapę dzielnicy.

Zaułek przy ulicy Lubelskiej nie cieszył się w ostatnim czasie dobrą opinią. Napady na staruszki, włamania do samochodów, a przede wszystkim okupująca podwórko ekipa nastolatków, z których część stanowili młodociani korzystający z dobrodziejstwa Domu Pomocy Społecznej przy alei Słowackiego, ale nieprzebywający tam stacjonarnie, mający więc wolną rękę (i wolny czas).

Już na pierwszy rzut oka było widać, że tych kilkanaście osób czuje się tu bezkarnie. Widok dwóch mężczyzn zmierzających pewnym krokiem w ich stronę nie zrobił na nich żadnego wrażenia. Niektórzy nie przerwali nawet zabawy, a piskliwy śmiech dziewcząt zmieszany z przekleństwami dudnił wśród okolicznych bloków i kamienic.

– Dostajecie jakieś zgłoszenia? – Rączy był nieco zdziwiony niecodzienną sytuacją. – Jest pierwsza w nocy, a tutaj impreza hula

w najlepsze.

– Dostajemy, ale rzadko i w większości anonimowe – odparł Szczygieł, który uparł się towarzyszyć Kornelowi, w czym Rączy upatrywał nie tyle gestu przyjaźni czy solidarności, ale pretekstu, aby nie wracać wcześniej do domu, gdzie czekała ukochana Tamara. – Ludzie boją się. Zdarzały się tu nawet pobicia, nie mówiąc o kradzieżach.

– A sami z siebie też tu za często nie bywacie – zauważył złośliwie Kornel.

– Słuchaj, to nie jest twój problem. Mamy odpowiadać na zapotrzebowanie społeczne. A skoro w tym rejonie jest ono śladowe…

– Zmieniłeś się, Julek – powiedział smutno Rączy, mając w pamięci dawniejsze, nad wyraz skuteczne, interwencje z udziałem Szczygła, który nie patyczkując się, wpadał w środek rozrabiającej grupy i spuszczał konkretny łomot najbardziej wyrywnemu.

Zbliżyli się do grupy młodzieży siedzącej częściowo na trawie, a częściowo na chodniku. Konglomerat mód i stylów mógł porazić każdego estetę. Czarne usta w konwencji emo korespondowały tu z dredami w różnych kolorach; kraciaste wąskie spodnie *à la* Londyn 1977 obok dzwonów przywołujących jako żywo epokę Woodstock. Z niewielkiego głośnika płynęła niekreślona (przynajmniej przez Rączego i Szczygła) elektroniczna muza z bliskowschodnim motywem przewodnim. Tym, co najbardziej zastanowiło Kornela, był fakt, że w powietrzu nie unosił się najlżejszy choćby zapach marihuany, żadna z osób nie trzymała w ręku choćby puszki z piwem.

Stanęli więc niezdecydowani, od czego zacząć i czy w ogóle warto zaczynać. Na upartego można by przywalić kilka mandatów za zakłócanie ciszy nocnej, ale wobec braku skarg mieszkańców skończyłoby się zapewne na anulowaniu ich ze względu na młody wiek i niską szkodliwość społeczną. Złe otwarcie mogło wszystko przekreślić.

– Kto tu jest szefem? – Rączy zwrócił się do trzech chłopaków siedzących na krawężniku.

– Szew to masz na jajach, frajerze – blondyn z tlenioną grzywką podniósł na Kornela dziwnie zmęczone oczy.

– Za taki tekst to za naszych czasów można było zarobić w pysk, nie, Julek?

– A teraz są inne czasy i to wy dostaniecie wpierdol i to zaraz – tleniony blondyn wstał, prezentując teraz w całej okazałości swoje co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Symetrycznie po jego bokach stali już dwaj, niewiele niżsi, koledzy.

– Spokojnie, panowie – Kornel wyciągnął przed siebie ręce w geście pokoju. – Nie przyszliśmy tu się bić. Doszło między nami do pewnego nieporozumienia, ale naprawdę przyszliśmy tu w zupełnie innej sprawie.

– Peniasz, koleś? – blondyn zrobił krok w stronę Rączego. Teraz wydawał się jeszcze wyższy. – Zrobiliście wielki, kurewsko wielki błąd, że tu w ogóle przyszliście. Mało kto podjąłby takie ryzyko – zachichotał cicho, a chwilę później wesoły szmer przemknął po całym towarzystwie.

Kornel zrobił krok w tył. To samo uczynił Szczygieł.

Blondyn potrząsnął tlenioną grzywką, efektownym ruchem zrzucił z ramion dżinsową katanę i w ułamku sekundy zaatakował Rączego. Cios wyprowadzony z barku, na sposób bokserski, prześlizgnął się po szczęce Kornela, który o mały włos nie stracił równowagi. W ostatniej chwili uczepił się T-shirtu napastnika, wystawił przed siebie prawą nogę i mocno szarpnął w swoją stronę. Blondyn przekoziołkował mu nad głową i wylądował na plecach. Zanim zdążył się zerwać, otrzymał mocne uderzenie lewą nogą prosto w nos, z którego obfitym strumieniem trysnęła krew. Rączy zamierzał poprawić agresorowi, celując w okolice ucha, ale w ostatniej chwili zauważył wznoszącą się nad nim dłoń uzbrojoną w kastet. Zasłonił twarz, ale uderzenie głęboko rozcięło skórę prawej dłoni. Kornel wykonał kolejny manewr, tym razem wykorzystując obie nogi. Z daleka mogło to wyglądać tak, jakby tańczył krzesanego. W rzeczywistości drugi napastnik, podcięty, zwalił się na kolana, a Rączy blokując rękę z kastetem, uderzył go mocno w skroń. Chłopak padł na trawnik nieprzytomny, tuż obok blondyna, który wciąż miał kłopoty z zatamowaniem krwotoku z nosa.

Kornel dostrzegł też uśmiechniętego Szczygła siedzącego okrakiem na klatce piersiowej trzeciego z napastników.

– Macie dość? – zapytał, ciężko dysząc. Takie akcje kosztowały go coraz więcej sił.

Odpowiedziała mu złowroga cisza. Żaden z trójki nie przejawiał ochoty do kontynuacji walki, reszta towarzystwa starała się unikać kontaktu wzrokowego z pogromcami swych ziomów.

– Czego chcecie? – głos blondyna nie miał już w sobie buty, raczej dziecięcą skargę.

Rączy otrzepał uzielenione trawą spodnie.

– Jak starałem się wyjaśnić, nie przyszliśmy się tu bić. Chcieliśmy zasięgnąć jedynie pewnej informacji.

– Zapomnij. Z psami nie gadamy – mruknął ten od kastetu, długowłosy, szczupły szatyn.

– Żaden z nas nie jest psem i wierzcie lub nie, też ich raczej nie lubimy. Ja mam na imię Kornel i jestem dziennikarzem.

– A ja arcybiskupem – zripostował blondyn. – W redakcjach was uczą tak się napierdalać… – dodał, wciąż trzymając się za nos.

– Nie interesuje mnie, co tu robicie, ale słyszałem o was co nieco i mógłbym z tego zrobić użytek – Kornel spojrzał na blondyna w wymowny sposób. – Mam intuicję, która mówi mi, że masz sporo za uszami i gdyby cię dobrze prześwietlić, siedziałbyś teraz zupełnie gdzie indziej. Masz jakieś imię?

– Gówno cię to obchodzi – blondyn starał się jeszcze zachować fason wobec swoich kumpli.

– Posłuchaj… Wciąż nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać. Jak mi się znudzi taka anonimowa forma, sam nadam ci imię – Kornel łypnął wesoło okiem. – Takie imię, nadane, jakby nie było, w ogniu walki, może do ciebie przylgnąć na zawsze. Jak u Indian. Na przykład…

– On ma na imię Maks – odezwała się jedna z dziewcząt. – Ale możesz gadać ze mną.

Rączy i Szczygieł spojrzeli zaskoczeni na niepozorną postać, która teraz wyłoniła się z mroku.

– Ciebie znam – wskazała palcem na Juliana. – Jesteś strażnikiem miejskim, ale ty – skinęła głową w stronę Kornela – chyba faktycznie

jesteś dziennikarzem. Prowadzisz w necie bloga o dzielni.

– No to prezentację prawie mamy za sobą – Rączy, wciąż zaskoczony, nadrabiał miną.

– Gabi – dziewczyna wyciągnęła w stronę Kornela rękę. Miała mocny, prawie męski uścisk dłoni. – Nie chcemy tu zadym. Nikomu nie wadzimy, ale też nie pozwalamy, aby ktoś nas ustawiał – zaznaczyła z poważną miną.

– Jasne. *You gotta fight for your right* – zażartował Rączy.

Zauważył, że przez twarz Gabi przemknął cień uśmiechu.

– Z pewnością słyszałaś o dwóch morderstwach, które miały niedawno miejsce w naszej okolicy. Pierwszą ofiarą…

– …był deweloper, a drugą jakiś homoseksualista – dziewczyna zmrużyła ciemne oczy, obserwując reakcję Kornela. – Od października zaczynam studia dziennikarskie. Wypada, żebym wiedziała, co dzieje się wokoło, przynajmniej na naszym podwórku – wyjaśniła, uprzedzając pytanie coraz bardziej zaskoczonego Rączego.

– Szukamy mordercy bądź morderców tych osób. Jeśli coś wiesz… wiecie… – Kornel omiótł spojrzeniem kilka najbliższych twarzy. – Czasami coś się słyszy, macie pewnie sporo kontaktów z różnymi ludźmi… Z kolei świadome zatajanie informacji mogących pomóc w śledztwie może być zakwalifikowane jako współudział w zbrodni, a to jest ścigane i karane.

– Źle trafiłeś. Nie mamy nic wspólnego z tymi morderstwami – głos Gabi stał się zimny. – Chyba niewłaściwie nas oceniasz. Jak wszyscy…

– Nie miałem na myśli nic złego – uspokoił ją Kornel. – Nie podejrzewamy was o nic. Moje pytanie brzmi: czy czegoś nie słyszeliście, może krąży jakaś plotka, teoria?

– Nie słyszałam – dziewczyna była wyraźnie zniechęcona. – Jeśli to wszystko, idźcie już sobie.

Odwróciła się i zaczęła grzebać w niedużym, zielonym plecaku. Zdawała się w całości pochłonięta tym działaniem. Rączy zrozumiał, że to koniec rozmowy. Skinął lekko Gabi i w towarzystwie Szczygła ruszył w drogę powrotną.

Pierwsze, co zauważył Kornel po powrocie, to otwarte drzwi. Wszedł do mieszkania i rozglądnął się. Nic nie świadczyło o włamaniu. Ewidentny brak Patryka był jedyną zmianą w stosunku do stanu poprzedniego. Wychodząc, Rączy przykazał Zawistowskiemu, aby ten nie opuszczał mieszkania, nikomu nie otwierał i najlepiej nigdzie nie dzwonił. Zamknął go od zewnątrz i choć drzwi posiadały zatrzask, teraz były uchylone. To zastanowiło Kornela.

Zapukał do Ustrojskiej. Otworzyła niemal natychmiast, zapewne sąsiadka czatowała przez cały czas przy wizjerze, czekając na jego powrót. Zanim jeszcze zdążył o cokolwiek zapytać, pani Helena, dzisiaj wystrojona w zieloną, dobrze sfatygowaną podomkę, wyrecytowała:

– Było około dziewiątej, jak w pana mieszkaniu zadzwonił domofon. Za chwilę ten pan, co tu wczoraj do pana przyszedł, otworzył drzwi i wpuścił jakąś kobietę. Była tak koło czterdziestki, a może młodsza. Kto to zresztą dzisiaj wie... Malują się, ubierają te baby – poprawiła machinalnie włosy. – Za jakieś dziesięć minut wyszli oboje, chyba się gdzieś spieszyli, bo zbiegli po schodach, a tam na dole, na podwórku czekał na nich samochód. No i zaraz odjechali – zaczerpnęła oddechu, co skrzętnie wykorzystał Rączy.

– Kto prowadził samochód?

– A taki przystojny brunet – kobieta uśmiechnęła się znacząco. – Może i niemłody, ale miał gęste, ciemne włosy, wysoki, postawny, bez brzucha – spojrzała wymownie na Kornela.

– Jaki to był samochód?

– Ładny, duży, w kolorze wiśniowym. Ta pani wsiadła z tyłu, a ten pan obok kierowcy – Ustrojska kumulowała informacje.

– Przypomina pani sobie markę samochodu albo numer rejestracyjny?

– Nie – umilkła zaskoczona. – Taki duży, wiśniowy – powtórzyła i ze wstydem spuściła głowę.

– Czy coś jeszcze pani widziała? Coś szczególnego – Rączy tarł nerwowo dłoń, która często w momentach napięcia nerwowego zaczynała go swędzieć.

– Chyba już nic – cały entuzjazm uleciał i pani Helena, stojąc na progu mieszkania wyglądała teraz smutno i żałośnie. Jednak po

chwili jej oczy rozbłysły. – Nie wiem, czy to ważne, ale ten samochód miał z boku taki duży biały napis! Jak to szło…? – zmarszczyła brwi. – BUD-DUD! – wykrzyknęła triumfująco, a echo poniosło po klatce schodowej przekręconą nazwę firmy.

– Może DUD-BUD? – Kornel potarł dłoń jeszcze bardziej intensywnie.

– Tak! DUD-BUD! – potwierdziła Ustrojska z satysfakcją.

– Bardzo pani dziękuję za te informacje, pani Heleno – Rączy spojrzał na sąsiadkę z wystudiowaną wdzięcznością. – Bardzo mi pani pomogła. Mam jeszcze jedną prośbę. Będę musiał znowu wyjść. Gdyby ktokolwiek pojawił się tu znowu, proszę od razu do mnie zatelefonować. To jest numer mojej komórki – wręczył sąsiadce karteczkę, na której wcześniej napisał wyraźnie dziewięć cyfr.

Ustrojska z nieskrywaną dumą wzięła od niego karteczkę i cokolwiek bezwiednie wpatrywała się w jej nieskomplikowaną treść.

Zbiegł po schodach i zatrzymał się obok trzepaka. Wybrał numer Ingrid, ale beznamiętny głos w słuchawce poinformował go o czasowej niedostępności abonenta.

Przekrwione oczy doktora Orędowskiego sygnalizowały, że wciąż nie doszedł do siebie po wczorajszym przepiciu. Uwolnione toksyny powodowały nadmierne pocenie się. Patolog co chwilę przecierał twarz bawełnianą chusteczką, która była już zupełnie mokra. Czulak bez słowa podał mu paczkę chusteczek higienicznych nasączonych spirytusowym preparatem. To z kolei spowodowało u Orędowskiego odruch wymiotny. Opanował się jednak i sapiąc ciężko, usiadł na krześle.

– Właściwie powinieneś wezwać Kovaca, on teraz jest najlepszy – zaczął, a krople potu ponownie pojawiły się na jego czole.

– Iwo, nie chcę tego słuchać. Nasłuchałem się już wczoraj dostatecznie. Powiem tak: nie ma ludzi nieomylnych. Weź to sobie do serca i skończmy wreszcie ten temat. Widzisz sam, jakie ja tu mam kłopoty! – Czulak ukrył twarz w dłoniach. – Nie będę niczego tuszował, ale fakt, że pacjentka miała dostęp do ostrego narzędzia, obciąża mnie w poważnym stopniu. Nigdy nie miałem podobnego

przypadku. Skąd w izolatce wziął się nagle skalpel? – to pytanie zadał właściwie samemu sobie.

– Mówiłeś o jakimś facecie, który ją odwiedzał. Kiedy był tu ostatnio, wyłączając oczywiście dzisiejszą wizytę? – Orędowski przestawał się pocić, a wraz z tym wracała trzeźwość myślenia.

– Jakiś tydzień temu. Tak, w środę – profesor zerknął do swojego czarnego notesu. – Notowałem te jego wizyty właściwie na własny użytek. Początkowo sądziłem, że stan pacjentki może być w pewnym stopniu z nimi związany, ale potem… – opuścił bezradnie ręce. – Zresztą gdyby, jak sugerujesz, to on miał dostarczyć kobiecie skalpel, czemu nie użyła go od razu czy, powiedzmy, w tym samym dniu? Czemu czekała aż tydzień? To się nie trzyma kupy. Ale to ty jesteś od zagadek kryminalnych – spojrzał w zaczerwienioną twarz patologa.

– Może ktoś z pracowników szpitala… – czoło Orędowskiego przecięła pionowa zmarszczka. – Przecież nie znasz ich wszystkich.

– Pewnie, że nie. Pracuje tu ponad sto osób, ale nie sądzę, żeby… – Czulak zamyślił się.

Przez chwilę obaj siedzieli w kompletnym milczeniu. Z letargu wyrwało ich wejście wezwanego patrolu policji.

– Dokąd właściwie jedziemy? – Ingrid poruszyła się niespokojnie na tylnym siedzeniu wiśniowego jeepa. – Gdzie jest Kornel?

– Już niedaleko – odparł mężczyzna za kierownicą, uśmiechając się do Patryka. – Dziękujcie Bogu, że zdążyłem. Kornel zadzwonił do mnie i kazał błyskawicznie was ewakuować. Chyba wplątał się znowu w jakąś nową historię kryminalną, a w takim wypadku jego mieszkanie nie jest raczej dla nikogo bezpiecznym schronieniem.

– To gdzie nas pan wiezie? – nie ustawała w pytaniach Ingrid. Patryk wydawał się znacznie spokojniejszy.

– To bezpieczne miejsce. Zresztą Kornel pewnie już na nas czeka. Nie dzwonimy do siebie, bo teraz każdego łatwo namierzyć. Dlatego prosiłem was o wyłączenie telefonów – tym razem kierowca, odwracając się lekko, obdarzył uśmiechem kobietę.

Droga zwęziła się i samochód wjechał w las. Terenowy pojazd nie miał kłopotów z przebyciem nierównego, pełnego wystających z ziemi korzeni duktu.

– Jesteśmy gdzieś koło Olkusza? – ciekawość nie dawała Ingrid spokoju.

– *Tisze budiesz, dalsze jediesz* – zażartował kierowca, a jej nie wydało się to wcale śmieszne, poczuła nawet lekki niepokój. – Wszystko wyjaśni się za kilka minut – dodał i znów się uśmiechnął, ale Ingrid nie podobał się ten uśmiech.

Hauptmann Georg von Knabe nie lubił w ludziach kilku rzeczy: kompetencji, uczciwości, nadmiaru idei, wysokiego morale i innych, jeszcze bardziej ohydnych cech. Przede wszystkim jednak tego, gdy ktoś wchodził mu w drogę, utrudniając prowadzenie intratnych interesów. Zadekowany na tyłach, w wygodnej kwaterze obmyślał kolejne możliwości dodatkowego zarobkowania. Niezłe układy w armii (znał nawet kilka osób z generalicji SS) czyniły go praktycznie bezkarnym. Do tego przyzwyczaił się i gdyby był wierzący, pewnie intencją codziennych modlitw byłoby wieczne trwanie wojny, gdyż w tych warunkach biznes rozwijał się najlepiej.

Ale Knabe nie był człowiekiem religijnym. Jedynym bóstwem uwielbianym i czczonym przez niego była mamona. To jej oddał duszę, a oddałby pewnie i ciało, gdyby zaszła taka potrzeba. Urodzony w Cottbus potomek pruskich junkrów i syn miejscowego landrata od dziecka przejawiał zainteresowanie pieniędzmi, początkowo zresztą nie swoimi. Kilka drobnych kradzieży w szkole, a potem w miejskich sklepikach dawało doraźną korzyść, ale młody Georg czuł, że jest stworzony do rzeczy znacznie większych, a przede wszystkim do większych pieniędzy.

Okazja zdarzyła się zimą, kiedy na dworcu stały wagony wyładowane węglem. Ryzyko było duże, banszuce biegali jak oszalali, a każdy z nich – chłop jak się patrzy, wysoki barczysty, z bronią u pasa. A jednak udało się... Przynajmniej tak się wydawało, kiedy stary Dietmar pilnujący części transportu, a prywatnie sąsiad rodziny Knabe, zgodził się przymknąć oko na godzinę w zamian za udział w zysku ze sprzedaży. Zima była sroga i na popyt nie można było narzekać. Nikt nie pytałby przecież, skąd kilku gówniarzy ma węgiel, a każdy płacił bez mrugnięcia okiem w nadziei na kolejną transakcję.

Piętnastoletni wówczas Georg przekonał się o swojej naiwności, kiedy po sforsowaniu ogrodzenia, dotarciu do właściwego wagonu i otwarciu go z użyciem łomu (koledzy byli w tym czasie zajęci kradzieżą drezyny, którą zamierzali przyjechać po węgiel, a potem wywieźć go w bezpieczne miejsce, skąd miała rozpocząć się niosąca zarobek dystrybucja) poczuł nagle przy samej skroni dotyk zimnej lufy parabellum.

Nie wiadomo, czym kierował się stary Dietmar. Strachem przed utratą pracy, jej etosem czy swoiście pojętym patriotyzmem, a może zwykłą przyzwoitością? Koniec końców, Knabego aresztowano, a on sam – raz na zawsze i nieodwołalnie – stracił wiarę w ludzi. Do tego stopnia, że już po godzinie podał nazwiska trzech kolegów, z którymi planował węglowy interes. Uczynił to tak umiejętnie, jakby sam był właściwie ofiarą omotaną chęcią łatwego zarobku, pozostającą pod przemożnym wpływem swoich starszych kumpli. Mieli go zatem szantażować, a nawet torturować, aby zmusić do współpracy. A wszystko to ze względu na osobę ojca, landrata Heinricha von Knabego, który – w trosce o syna, stanowisko i opinię – miałby ukręcić sprawie łeb na wypadek niepowodzenia akcji.

Dowódca banszuców może i uwierzyłby tej wersji, i może, dbając o poprawność relacji z lokalną władzą, przychyliłby się do niej, ale zawiadomiony rodzic zamierzał zupełnie inaczej rozwiązać problem z synem. Cichym, acz stanowczym głosem poprosił o kwadrans rozmowy z Georgiem i wykorzystał ten czas do ostatnich sekund, kiedy to trzej kolejowi strażnicy z trudem odciągnęli go od leżącego na podłodze dworcowego aresztu amatora łatwych pieniędzy.

Georg miał złamany nos i cztery żebra, a lekarz, gdy nieprzytomnego zawieziono go do szpitala, stwierdził dodatkowo wstrząs mózgu i naruszenie rogówki prawego oka. Przytomność odzyskał po siedmiu dniach. Pierwszym, który odwiedził go, był ojciec. Siedząc na skraju łóżka, wyglądał, jakby chciał dokończyć to, co zaczął przed tygodniem. Zaciskając mocno szczęki, poinformował, że od tej pory, jako ten, który przyniósł hańbę zacnej i tak szanowanej w Borussi familii von Knabe, nie ma wstępu do domu. Zasugerował też, wobec zbliżającej się wielkimi krokami

wojny, wstąpienie do armii, nie tylko w celu obrony ojczyzny, ale być może także – próby zmycia plamy na honorze rodziny.

Gdyby doktor Zygmunt Freud zajmował się wtedy przypadkiem Georga, dostrzegłby zapewne u niego nerwicę natręctw, w wyniku której przemożna chęć przywłaszczania sobie cudzej własności stanowiła główny motyw działania. Stwierdziłby również u młodego człowieka – co wielce prawdopodobne – istnienie popędu śmierci.

Jednak twórca psychoanalizy nie znał rodziny von Knabe. Pozostawiony sam sobie Georg, kierując się (częściowo i koniunkturalnie) wolą ojca, zasilił szeregi niemieckiej armii i wkrótce wyruszył na front. Nie omieszkał jeszcze w noc przed wymarszem wślizgnąć się do domu starego Dietmara i udusić go, przyciskając poduszkę do twarzy śpiącego starca. Jeszcze dzisiaj wspomnienie tego zdarzenia wywoływało u Knabego bezwiedny uśmiech złośliwej satysfakcji. Zakopane pod ogrodowym wiązem ciało kolejowego ciecia z pewnością było już tylko szkieletem – zbiorem bielejących kości niezdolnym do riposty, bo robaki dawno wyżarły mózg i wszystkie inne części odpowiedzialne za ruch. Zatem to on, hauptmann Georg von Knabe, i tym razem miał ostatnie zdanie.

Inżynier Bugaj nie spodobał mu się od początku. Stosunkowo młody, inteligentny, władający biegle językiem niemieckim, kompetentny, obyty z nowoczesnymi technologiami budowlanymi, a przede wszystkim polecany przez jednego z najważniejszych szefów, któremu nikt zdrowo myślący nie próbował się sprzeciwić. Do tego nieprzekupny, pewny siebie i (sprawdzono to nieraz) niepowiązany z podziemiem. Jednym słowem – nie do ruszenia.

Efektywność działania oraz umiejętność podejmowania szybkich i słusznych decyzji wywindowały Bugaja na samodzielnego lidera twórców Deutschviertel. To budziło uznanie przyjeżdżających z wizytacją przedstawicieli dowództwa i wściekłość Knabego. Przez tego pieprzonego polskiego inżynierka nie zarabiał tyle, ile by mógł, a kolejne budynki wzrastającego osiedla dla Niemców, podzlecano właśnie Bugajowi.

Próby zainteresowania wysokich przełożonych faktem, że brat inżyniera latał w 1940 roku w bojowym dywizjonie i bezlitośnie tłukł focke-wulfy, zadając tym samym znaczne straty Luftwaffe, spełzły na niczym. Knabe naraził się tylko na śmieszność wśród kadry oficerskiej, bowiem w kuluarach dobrze wiedziano o szwindlach budowlanych, w które był zamieszany. Obowiązywała jednak zasada, iż w kraju okupowanym kradniemy wszyscy i nie patrzymy sobie wzajemnie na ręce. Oczywiście do czasu, kiedy komuś powinie się noga. Wtedy, dla dobra wizerunku Trzeciej Rzeszy, nie pomoże ci nikt.

Dzięki swoim nieformalnym kontaktom z wywiadem Knabe poznał cały życiorys Bugaja. Mimo sporego doświadczenia znalezienie wyjścia z tej, jakże niezręcznej (i przez to niedochodowej), sytuacji zajęło mu kilka tygodni.

Pomysł z fuszerką okien pojawił się znienacka. Potrzebni byli jeszcze – jak zawsze – odpowiedni podwykonawcy. Ludzie, dla których nie istniała idea, a choćby istniała, była jedynie ledwie tlącym się ognikiem w cuchnącym bagnie wzajemnych zależności i powiązań determinujących działanie. Sprawny mechanizm zmierzający do stopniowej eliminacji jednostek – z punktu widzenia Knabego – niepotrzebnych. A mechanizm, jak to mechanizm, kiedyś wreszcie odmówi posłuszeństwa, zepsuje się i trafi na złom, stając się zwykłym szkieletem, niegdyś bezbłędnie pracującym, ale teraz nikomu niepotrzebnym. Dlatego ci ludzie także musieli zginąć.

Władek Zachar, od niedawna kret w krakowskiej grupie drukującej domowym sposobem podziemną prasę i zajmującej się małym sabotażem, miał tylko wraz z wadliwymi oknami przywieźć i wręczyć Bugajowi nielegalne gazetki. A Knabe już dobrze wiedział, że inżynier okien nie przyjmie, ale – mimo wszystko, jako Polak – będzie chciał zapoznać się z patriotyczną treścią pisanych sercem tekstów.

Potem do akcji mieli wejść Karl z Helmutem, którzy pod pozorem kontroli odkryją w pakamerze szkalujące dobre imię Niemiec materiały i jako wzorowi żołnierze aresztują inżyniera.

Jak zwykle plan udał się w stu procentach i Knabe mógł, udając zdziwienie i troskę, poinformować wysokiej rangi przełożonego

(tego, któremu nikt nie śmiał się sprzeciwić) o aresztowaniu Bugaja oraz wyrazić nadzieję, że w toku śledztwa ujawnią się nowe fakty, które być może posłużą do demistyfikacji groźnej siatki podziemnego frontu.

Był jeszcze tylko jeden problem. Otóż Helmut Doppelfinger od dłuższego czasu dopominał się o podwyżkę, a wobec słabszego niż spodziewany dochodu Knabego, fakt ten drażnił go coraz bardziej, gdyż ubrany w niemiecki mundur złodziej-włamywacz stawał się coraz bardziej bezczelny i roszczeniowy. Zanim dojdzie do formalnego szantażu, zanim padną słowa, których nie sposób potem cofnąć, należało rozwiązać problem szybko, precyzyjnie i nieodwracalnie.

Dlatego przed wyjściem na przesłuchanie Bugaja hauptmann Georg von Knabe wykonał jeszcze jeden telefon. Tym razem jego rozmówcą był młody Saksończyk – Jens Flohe, jeden z najlepszych strzelców wyborowych w stacjonującym w Krakowie batalionie SS.

# 8

Rączy zadzwonił do drzwi mieszkania Ingrid. Sforsowanie tych wejściowych do klatki zajęło mu zaledwie kilka sekund. Wykorzystując fakt wyjścia całkowicie zajętej sobą pary nastolatków, wślizgnął się do środka i błyskawicznie pokonał około czterdziestu schodów wiodących na drugie piętro.

Z mieszkania nie dochodził żaden dźwięk. Wyczulone ucho Kornela zarejestrowało natomiast leciutki szmer za drzwiami vis-à-vis. Zapukał cicho. Po chwili rozległ się szczęk zwalnianej zasuwy, a następnie otwieranego zamka. Widocznie lokator korzystał z podwójnego zabezpieczenia. Drzwi uchyliły się i pierwszym, co Rączy zauważył, był gruby, solidny łańcuch oddzielający go od przezornego sąsiada Ingrid.

– Dzień dobry panu – przywitał go uprzejmie Kornel.

– Od razu uprzedzam, że nie jestem zainteresowany wieloczynnościowymi garnkami Zeptera i bezpłatnym badaniem prostaty, niczego od pana nie kupię – siwy staruszek zaczerpnął oddechu. – Nie wygląda pan też na mojego wnuczka, z prostej zresztą przyczyny, że nie posiadam wnuków, a nawet dzieci – łypnął groźnie znad łańcucha.

– Pan również nie wygląda na mojego dziadka – odparł z uśmiechem Kornel. – Tym bardziej że nie żyje on od dwudziestu pięciu lat. Panu zaś, jak widzę, zdrowie i humor dopisują…

– O, nie zawsze, drogi panie! Ma się już swoje lata. Ale, dzięki Bogu, nie choruję zbyt często – staruszek, mówiąc to, wychylił się nieco do przodu. – A co pana tu sprowadza i dlaczego mnie pan niepokoi?

– No właśnie sprowadza mnie tu niepokój – Rączy z chęcią podjął słowną szermierkę. Właściciel zabezpieczonych drzwi wyglądał na

ogarniętego emerytowanego inteligenta. – A dokładniej niepokój o panią Ingrid. Umówiłem się z nią, ale nie odbiera telefonów. Wygląda też na to, że nie ma jej w domu. – Jakby na potwierdzenie zadzwonił jeszcze raz do mieszkania psychoanalityczki.

– Wszystko się zgadza. Z tego, co widziałem, pani Zawistowska wyszła gdzieś czas jakiś temu – staruszek przerwał. – Ale, ale… Ja tu się panu spowiadam jak, nie przymierzając, księdzu proboszczowi przed Wielkanocą, a pan nawet nie raczył się przedstawić.

– Niezmiernie pana przepraszam, już to czynię. Nazywam się Kornel Rączy i jestem dziennikarzem, a także… znajomym pani Ingrid. Mogę pokazać dokument – zadeklarował Kornel, patrząc staruszkowi prosto w twarz.

– Dokumenty, drogi panie, w dzisiejszych czasach nie stanowią żadnego dowodu tożsamości. Łatwo można je podrobić. Widziałem nawet taki serial… – emeryt zawiesił głos, jakby coś mu się przypomniało. – Rączy, mówi pan? Kornel Rączy?

– Od urodzenia – potwierdził Kornel.

– No to ja pana znam, to znaczy nie osobiście – poprawił się staruszek. – Czytałem przecież pana książkę. Muszę powiedzieć, że dzięki panu dowiedziałem się wiele o naszej Krowodrzy, przypomniałem sobie młode lata. Bardzo dobry pomysł, aby zebrać wspomnienia ludzi tak różnych profesji i umieścić je w jednym tomie. To musiało zająć panu wiele czasu.

– Kilkanaście lat. Cieszę się, że się panu podobało.

– Oczywiście, że mi się podobało. Przeczytałem wszystko od deski do deski chyba ze cztery razy. – W tym momencie łańcuch opadł i sąsiad Ingrid ukazał się w całej, może stuseśćdziesięciocentymetrowej, okazałości. – Czy mogę poprosić pana o wpis, to znaczy dedykację?

– Naturalnie, z największą przyjemnością, panie…

– No widzi pan, panie Kornelu? Wymądrzam się nad kindersztubą młodych, a sam, stary cap, zachowuję się jak… – dziadek pokręcił z dezaprobatą głową. – Jakub Szlagrowski, emerytowany architekt i były muzyk jazzowy. – Bardzo proszę wejść, niech pan usiądzie przy stole, a ja znajdę pańską książkę.

Rączy ścisnął rękę staruszka i posłusznie wszedł do może dwudziestometrowego pokoju. Większość miejsca zajmowały regały z książkami, zauważył też kilka sporych pudeł, w których starannie poukładano płyty winylowe. Rzut oka wystarczył, aby ocenić, że gospodarz mieszkania jest muzycznym koneserem. Amerykańskie wydania płyt tria Theloniousa Monka, kwartetu Johna Coltrane'a, *Astigmatic* kwintetu Krzysztofa Komedy zmusiły Kornela do sprawdzenia zawartości kolejnego z pudeł: Charles Mingus, Eric Dolphy, Don Cherry, Charlie Parker…

– Widzę, że się panu u mnie podoba – z zachwytu nad płytową kolekcją wyrwał go głos Szlagrowskiego. – Ten zbiór też powstawał długo, pewnie z pięćdziesiąt lat. Niektóre płyty pochodzą z lat sześćdziesiątych, a nawet wcześniejszych – gospodarz podszedł do pudła i zaprezentował *The Shape of Jazz to Come* Ornette'a Colemana wydaną przez Atlantic Records w 1959 roku. – Widzi pan? – podetknął gościowi pod nos zalatującą starą tekturą obwolutę płyty, na której widniał zamaszysty podpis kultowego saksofonisty. – Kolega przywiózł mi ją ze Stanów z autografem mistrza. Był na jego koncercie w Nowym Jorku. Na kilka lat przed śmiercią. Colemana oczywiście… Zresztą sam niedługo potem… Ale ja tu pana zanudzam, a pan obiecał mi jeszcze dedykację.

– To są bardzo ciekawe rzeczy – zupełnie szczerze odparł Kornel. – Już wpisuję. – Pochylił się nad nieco sfatygowanym egzemplarzem książki. Właściciel faktycznie musiał ją czytać analitycznie. W kilku miejscach była założona skrawkami papieru, Rączy zauważył też notatki na marginesach uczynione ołówkiem.

– Napije się pan kawy? A może – Szlagrowski mrugnął znacząco okiem – domowej nalewki? Sam robiłem.

– Nie chciałbym panu sprawiać kłopotu – Rączy skończył pisać i odłożył na bok książkę, spoglądając jednocześnie na wiszący na ścianie zabytkowy zegar.

– Żaden kłopot – zdecydował gospodarz i po chwili na stole pojawiła się karafka z obiecującym rozkosz dla smakowych kubków, ciemnoczerwonym płynem oraz dwa kieliszki w fachowo rżniętym, grubym szkle.

Szlagrowski usiadł naprzeciw gościa i nastawił zaskakująco nowoczesny gramofon firmy NAD. Musiał kosztować kilka tysięcy złotych. Po chwili przestrzeń została zawłaszczona przez gęstą perkusję Billy'ego Higginsa i długie, płaczliwe frazy saksofonu Colemana wzbogacone kornetem Dona Cherry'ego i dynamiczną linią kontrabasu Charliego Hadena.

– Chciałbym jednakowoż dowiedzieć się czegoś o Ingrid. Na przykład kiedy widział ją pan po raz ostatni – Kornel postanowił kuć żelazo póki gorące.

– Dzisiaj wczesnym popołudniem – odparł bez zastanowienia Szlagrowski. – Wracałem właśnie z zakupów, kiedy pani Zawistowska omal nie staranowała mnie na schodach. Zbiegała z nich tak szybko, że chyba mnie nawet nie zauważyła. Fakt, mam niepozorną posturę, ale jednak... – uśmiechnął się znacząco i łyknął nalewki.

– A czy w ostatnich dniach zaobserwował pan coś szczególnego? W ogóle, przepraszam za to pytanie, znacie się państwo bliżej? Mam tu na myśli wyłącznie stosunki dobrosąsiedzkie... – Rączy wybrnął z trudnej formy pytania.

– Pani Ingrid jest bardzo sympatyczną, atrakcyjną kobietą – westchnął Szlagrowski. – W moim wieku nie ma to już właściwie żadnego znaczenia, ale jako sąsiad mogę tylko potwierdzić, że jest to osoba z wielką klasą, choć, nie wiedzieć czemu, od dłuższego czasu samotna. A odpowiadając na pana pytanie: jakiś czas temu wpadł tu jak burza jej brat. Nie wiem, co mu się stało, ale urządził, jakby to rzec, poważny demontaż mieszkania. Potem wybiegł, pozostawiając drzwi otwarte. Zajrzałem tam, ale nie chciałem wchodzić, wie pan, jak to potem jest... Coś zginie i człowiek będzie się tłumaczył. Kiedy pani Zawistowska wróciła do domu, załamała ręce. Słyszałem, jak potem długo płakała.

Kilka minut później Kornel pożegnał się z chętnym do dalszej rozmowy i konsumpcji nalewki staruszkiem, zostawił mu numer telefonu i obiecał, że kiedyś jeszcze go odwiedzi. Zadzwonił do Ingrid i permanentna niedostępność abonentki zaczęła go coraz poważniej niepokoić.

– Zadzwonię do Kornela – Ingrid nerwowo grzebała w fioletowej, skórzanej torebce.

– Nie próbuj tego robić – mężczyzna odpowiedział przez zaciśnięte zęby, nie odwracając się do tyłu. – Wszystko musi odbyć się zgodnie z zasadami ścisłej konspiracji, inaczej nic z tego. Najlepiej oddaj mi swój telefon, żeby cię nie kusiło.

Patryk poruszył się niespokojnie.

Od kilku minut krążyli po lesie. Zrobiło się ciemno, ale kierowca zdawał się dobrze zorientowany w terenie. Wreszcie, po pokonaniu niewielkiego wzniesienia, zobaczyli stojący w otoczeniu liściastych drzew parterowy domek z werandą.

– Jesteśmy na miejscu – zakomunikował mężczyzna. Zaparkował na tyłach domku i wyłączył silnik. – Możecie wysiąść.

Sam zrobił to pierwszy. Stanął przy samochodzie, otwierając gestem doświadczonego szofera drzwi Ingrid. Patryk także zdążył już wygramolić się z auta. Trzymane w rękach pakunki ograniczały pole manewru.

– Proszę, idźcie przodem – kierowca przepuścił rodzeństwo przed wejściem na werandę. – Powinno być otwarte.

Ingrid nacisnęła klamkę. Kiedy oboje znaleźli się w środku, mężczyzna pchnął ich mocno do przodu. Upadli jednocześnie. Szok, który poczuli, natychmiast zastąpił strach. Wnętrze omiotło punktowe światło pochodzące z przedmiotu trzymanego przez mężczyznę. Ten, stojąc w bezpiecznej odległości, odblokował zamontowany w latarce paralizator.

Korytarz Szpitala Uniwersyteckiego przypominał teraz poczekalnię kolejowego dworca. Przemieszczający się chaotycznie pacjenci w szlafrokach, biegające we wszystkich kierunkach pielęgniarki, lekarze w niebieskawych uniformach przepychający się do sal i gabinetów i kilku policjantów kręcących się pozornie bez celu z wyjątkiem jednego, który z poważną miną stał tuż przy drzwiach do sali, w której popełniono samobójstwo.

W gabinecie doktora Czulaka miejsce Orędowskiego zajął komendant Łukasz Krępowicz.

– Poproszę o wykaz wszystkich pracowników szpitala, musimy ich wrzucić na bęben – użył zwyczajowego określenia policyjnej bazy danych.

Czulak bez słowa włączył komputer, odnalazł plik i po chwili laserowa drukarka wypluła kilkanaście stron zadrukowanego papieru formatu A4. Położył plik kartek na stole przed Krępowiczem. Ten złożył go na pół i schował do teczki.

– Zanim sprawdzimy, kogo pan tu zatrudnia – spojrzał głęboko w oczy ordynatora – chciałbym pana zapytać, czy podejrzewa pan kogoś. Może w przeszłości doszło do podobnych wypadków?

– Absolutnie nie. To pierwsze tego typu… – lekarz szukał odpowiedniego słowa – …zdarzenie o tak tragicznych skutkach. Zaręczam przy tym, że wśród mojej załogi nie ma ludzi przypadkowych. To zajęcie wymaga nie tylko zawodowych kwalifikacji, ale też pewnych cech predestynujących do kontaktu z chorymi. Dlatego kilka lat temu zleciłem kompleksowe badania psychologiczne dla personelu.

– A może przyjął pan kogoś ostatnio? – nie ustępował Krępowicz.

– Nie, właściwie nie. Trzy miesiące temu, jak co roku, mieliśmy tutaj grupę studentów z Collegium Medicum, ale oni nie są dopuszczani do najcięższych przypadków. Pacjentka, która… – Czulak znów się zawahał. – Nieżyjąca pacjentka była wyłącznie pod moją osobistą opieką. Oprócz mnie bezpośredni dostęp do niej miały tylko dwie zmieniające się pielęgniarki, obie bardzo długo w zawodzie, oczywiście dyplomowane, po wielu kursach specjalistycznych. Czy mam je wezwać?

– Oczywiście wezwiemy je w odpowiednim czasie… – komendant sprawiał wrażenie zamyślonego. – Proszę mi coś opowiedzieć o tej pacjentce. Czy podczas pobytu w szpitalu kontaktowała się z kimś? Czy ktoś ją odwiedzał?

Na skroniach Czulaka w jednej chwili pojawiły się kropelki potu, a twarz lekko poczerwieniała.

Orędowski stał przed szpitalem z telefonem przy uchu, próbując połączyć się z Kornelem. Numer był zajęty. Dopiero za szóstym razem w słuchawce odezwał się znajomy głos.

– Panie Kornelu, obawiam się, że dzisiaj już się nie spotkamy. Czeka mnie mnóstwo pracy w szpitalu. Bardzo ciekawy przypadek samobójstwa młodej dziewczyny, tutejszej pacjentki oddziału psychiatrycznego.

Rączy wyczuł w głosie doktora szczególny ton, znamionujący jakąś przewrotną satysfakcję, zapowiedź zawodowej przygody. Choć oczywiście okoliczności zazwyczaj były dramatyczne, większość patologów starszego pokolenia reagowała podobnie.

– Słyszę, że wraca pan do formy – odrzekł kurtuazyjnie. – Niepokoję się trochę zniknięciem Ingrid i Patryka Zawistowskich. Nie mogę namierzyć ich telefonicznie.

– Proszę być dobrej myśli, na pewno się znajdą – pocieszył go Orędowski, a Kornel pomyślał, że doktor jest już myślami przy zwłokach samobójczyni i chwilowo nie będzie mógł liczyć na jego pomoc.

Bolało ją całe ciało i każdy, najmniejszy ruch potęgował ten ból. Wokół było ciemno i pachniało zbutwiałym drewnem. Dopiero po chwili wyczuła delikatne wibracje powietrza i usłyszała cichy jęk.

– Patryk? – zamiast szeptu wydała z siebie niewyraźne mruknięcie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że trzyma w ustach szmatę przywiązaną czymś od zewnątrz. Pokonując ból, spróbowała się poruszyć, ale bezskutecznie. Związane do tyłu ręce i skrępowane mocno nogi uniemożliwiały jakąkolwiek zmianę pozycji.

Jęk powtórzył się i chociaż czuła bliską obecność brata, nie potrafiła zlokalizować go dokładniej. Wydała z siebie kilka dźwięków, aby on wiedział, że nie jest tu sam. Wzdrygnęła się, gdy po jej dłoni przebiegł w ciemności jakiś owad. Za ścianą coś zaskrzypiało. Wytężyła słuch. Dźwięk powtarzał się w równych odstępach czasu. W pierwszej chwili skojarzyło jej się to z odgłosem zbijania trumny. Ciało Ingrid przeszył nagły dreszcz. Nie! Natężenie dźwięku było zróżnicowane. Ktoś spacerował w pomieszczeniu obok, przemierzając przestrzeń w dwie strony. Nagle stukanie ustało. Powtórzyło się jakby w oddaleniu i po chwili usłyszała stłumiony odgłos odjeżdżającego samochodu.

Laura, siedząc w bezruchu na tapczanie, obserwowała maszerującego tam i nazad po pokoju Krajskiego. Przypominał uwięzionego w klatce lwa lub inne dzikie i niebezpieczne zwierzę. Co jakiś czas wydawał z siebie dziwne, nerwowe dźwięki, jakby chrząknięcia, mamrotał coś do siebie. Zachowywał się tak, jakby jej wcale tutaj nie było.

– O co chodzi? – spytała z irytacją, chwytając go mocno za rękaw marynarki.

– Chodzi o to, że będę musiał stąd spieprzać, i to dzisiaj. – Zatrzymał się na środku pokoju. – Nie mówiłem ci wszystkiego… Zresztą pamiętasz? Prosiłaś mnie, żebym nie zanudzał cię tymi „ekonomicznymi szczegółami" – starał się naśladować ton jej głosu. – No i mleko się wylało… Dojdą do tego, wcześniej czy później, ale dojdą. A jeszcze sprawą zajmuje się podobno ten Rączy. Cholernie skuteczny facet. Połączy fakty i… – Krajski ponownie wpadł w tryb chodzenia i mamrotania, co jeszcze bardziej zdenerwowało Laurę.

– No to mów! – wstała i zagrodziła mu drogę.

Kiedy skończył, siedząc na podłodze oparty o ścianę, wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Laura patrzyła na niego z mieszanką pogardy i zdziwienia. Zanim cała treść doszła do jej świadomości, musiało upłynąć kilka minut.

– Oszukiwałeś nas wszystkich przez cały czas. Oszukiwałeś mnie… – jej głos robił się coraz głośniejszy z każdym wypowiedzianym słowem, by wreszcie przejść w pełen pretensji krzyk. – Ty nędzny, mały skurwysynu, to przez ciebie! Gdyby nie twoje matactwa, Abi żyłby do dzisiaj! – zamilkła, kryjąc twarz w dłoniach.

Kiedy podniosła głowę, w jej oczach była już tylko nienawiść.

– Oddałam ci się cała, wierzyłam ci… Byłeś dla mnie… – w oczach wdowy ponownie stanęły łzy. Nie przypominała jednak w żadnym razie skrzywdzonej kobiety. Stojąc w oskarżycielskiej pozie, patrzyła na Krajskiego wzrokiem zdolnym zabić. – Wszystko, co osiągnąłeś, osiągnąłeś dzięki mnie… Ty śmieciu!

– Znalazła się dziewica orleańska – mruknął Krajski. – Ściągnęłaś mnie do firmy, bo ci się spodobałem. Po prostu. Ten frajer nie mógł

ci dać nawet połowy tego, co przeżyłaś ze mną.

– Jak śmiesz tak mówić o Abim – źrenice Laury zwęziły się, a tęczówki stały się o ton ciemniejsze. – To był mój mąż. Między nami wszystko wygasło, ale to był porządny człowiek, któremu mógłbyś co najwyżej buty czyścić.

– Kilka razy wyratowałem DUD-BUD z poważnych opresji. Sama wiesz, że twój mąż – te dwa słowa zabrzmiały kpiąco – nie miał pojęcia o ekonomii i posiadał bardzo powierzchowną wiedzę o prawie budowlanym. Gdyby nie ja, nie mielibyście tego, co macie. Co ja mówię?! Siedzielibyście w pierdlu z kupą długów, które i tak trzeba by było kiedyś spłacić – tłumaczył Krajski.

– On dał ci wolną rękę, a ty to wykorzystałeś – nie słuchając go, Laura prowadziła własną narrację. – Idę na policję. – Zrobiła ruch w stronę wyjścia z mieszkania, konstatując, że jest niekompletnie ubrana. Jedyną rzeczą, którą miała na sobie, była cokolwiek za długa, bo sięgająca do połowy ud, niebieska koszula Krajskiego.

– Nigdzie nie pójdziesz! – Wstał błyskawicznie i chwycił ją za przegub ręki, aż syknęła z bólu. – Musimy załatwić to inaczej. Siadaj! – rozkazał i bezceremonialnie pchnął ją na tapczan.

Nie protestowała. Wydało mu się nawet, że ta nieoczekiwana uległość ma w sobie coś z kokieterii. Siedząca przed nim kobieta wyprężyła się i trzymając ręce z tyłu, założyła wolno nogę na nogę. Wyraźnie go prowokowała. To przypomniało mu początki ich romansu. Lubiła jego brutalność, potrzebowała tego. Przecież w chwili szczerości wyznała, że jest pierwszym (i jedynym) mężczyzną, który poczyna sobie z nią w ten sposób. Wcześniej wstydziła się swoich upodobań, nigdy nie otworzyła się na tyle, żeby komuś o tym powiedzieć. Może więc i teraz? Na pohybel nadchodzącemu niebezpieczeństwu i niepewnej przyszłości. Raz jeszcze na całość… Poczuł nagłą erekcję. Wolno spuścił spodnie i zbliżył się do Laury. Teraz jego męskość znajdowała się dokładnie na wysokości…

– Wezmę cię teraz, suko – wycharczał, przymykając lubieżnie oczy.

Cios noża w okolicę prawego uda był tak niespodziewany, że nie zdążył zareagować, nawet gdy trafiła go po raz drugi. Jego twarz wyrażała bezgraniczne, dziecięce wręcz, zaskoczenie.

Krępowicz sprawiał wrażenie zadowolonego. Poklepał Juchę po plecach i choć zawsze miał z tym poważny problem, pochwalił:

– Dobrze się spisaliście.

Wnikliwa obserwacja wdowy po Dudniewskim wreszcie przyniosła wymierny efekt. Musiał jednak przyznać, że jego ludzie wykazali się elastycznością w działaniu. Śledzili każdy krok Laury i tak dotarli do niewielkiego hotelu w okolicach Cichego Kącika, dokąd taksówka zawiozła kobietę na umówione spotkanie z Krajskim.

Kiedy Dudniewska w zakrwawionej sukience wybiegła na ulicę, przeprowadzili błyskawiczną akcję i po chwili siedziała już w cywilnym renaulcie, którym poruszali się policjanci. Rozedrgana, z błyszczącymi oczyma, nie stawiała praktycznie żadnego oporu. Podczas gdy Jucha komunikował szefowi przez telefon przebieg zdarzenia, jego partner, posterunkowy Sebastian Kibolski, wbiegł do hotelu i machając recepcjonistce przed nosem służbową legitymacją, dość chaotycznie starał się dowiedzieć, „w którym pokoju przebywa aktualnie pan Zbigniew Krajski”.

Odnalezienie ofiary nożowniczki okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Jęki dochodzące z pierwszego piętra doprowadziły go bezbłędnie pod drzwi pokoju numer 117. Krajski leżał na środku pokoju i wyjąc z bólu, stopniowo wykrwawiał się. Dwa głębokie pchnięcia w wewnętrzne okolice prawego uda jakimś cudem nie uszkodziły tętnicy i tylko dzięki temu przybyłemu kilka minut później na miejsce lekarzowi pogotowia udało się zahamować krwotok.

W międzyczasie księgowy zemdlał, co w gruncie rzeczy było okolicznością pozytywną, gdyż nie wykonywał niepotrzebnych ruchów, pozostawiając pole do działania lekarzowi.

Odwieziony do szpitala MSW przy Galla Anonima otrzymał mundurowego opiekuna, który zajął miejsce przy drzwiach OIOM-u. Laura trafiła do aresztu, przy czym Krępowicz zadbał, aby znalazła się w celi sama. Wcześniej została dokładnie przeszukana, ale nie znaleziono przy niej żadnych niebezpiecznych przedmiotów.

Komendant postanowił dać jej godzinę na ochłonięcie. Zamierzał ją osobiście przesłuchać.

Rączy siedział w domu przed komputerem i przeglądał portale poświęcone dzielnicy. Na dłużej zatrzymał się, jak zawsze, na Tylko Naszej Krowodrzy, prowadzonej przez jednego z nielicznych radnych, którzy właściwie pojmowali swoją misję nazywaną patetycznie „służbą mieszkańcom", choć owej „służbie" było daleko do jej semantycznego znaczenia. Zapewne tak daleko jak Ameryce do Ameryki Łacińskiej w kontekście Manhattanu i brazylijskich faweli.

Najbardziej zainteresowała go zapowiedź wyburzenia fabrycznych zabudowań przy Cieszyńskiej. Ciekawe, kto i co planuje tam budować... W grę nie wchodziła raczej sieć hipsterskich piwiarni, jak w innych rejonach miasta. Kornel wietrzył kolejny deweloperski interes, jeden z wielu zmieniających urbanistykę dzielnicy, niosący ze sobą betonową nowoczesność, której zaakceptowanie było dla niego trudne i przykre.

W tej informacji kryła się druga, znacznie ważniejsza. Na tyle istotna, że Rączy – nie zwlekając – udał się na Cieszyńską.

Tym razem w budce nie zastał pana Włodka. Wszedł więc na teren nieistniejącego zakładu. Ciecia nie trzeba było długo szukać. W cieniu jednego z budynków Kornel zauważył znajomą sylwetkę w pozie siedzącej na ustawionych jedna na drugiej samochodowych oponach.

Pan Włodek dzierżył w dłoni butelkę zawierającą wysokoprocentowy alkohol, co Rączy wywnioskował po charakterystycznym skrzywieniu dolnej części twarzy tuż po wypiciu sporego łyku przezroczystego płynu.

– Wyjebali z dnia na dzień – poskarżył się, kiedy tylko ujrzał Kornela. – Kto mnie teraz przyjmie? Mam sześćdziesiąt trzy lata...

– Jak pan będzie tak chlał, z pewnością nikt pana nigdzie nie przyjmie – mruknął Rączy. – Koryto u siebie?

– Taaa. Też się wyprowadza – cieć machnął ręką z rezygnacją. – Jest tam u niego jakiś gość.

Kornel w kilka sekund pokonał odległość dzielącą go od kryjówki Koryta. W pomieszczeniu, które zajmował poprzednio, nie było nikogo. Za to z korytarza prowadzącego w głąb hali produkcyjnej

dochodziły podniesione głosy. Rączy, zachowując ostrożność, podążył w tym kierunku. Przypłaszczony do ściany pokonał kilka metrów. Nagle głosy ucichły. Zatrzymał się więc, wstrzymując oddech. Drzwi prowadzące do hali były zamknięte. Teraz Kornel posuwał się bezszelestnie, centymetr po centymetrze. Wsłuchiwał się w ciszę, ogniskując uwagę na drzwiach. Był już bardzo blisko. Wystarczyło wyciągnąć rękę…

Gwałtownie nacisnął klamkę, kryjąc się jednocześnie poza obrysem wejścia.

Zabieg był prosty, ale przyniósł nieoczekiwanie dobry efekt. W otwartych drzwiach pojawiła się najpierw długa metalowa rura, a za chwilę potężna postać trzymającego ją oburącz Koryta.

Kornel miał na tyle czasu, aby złapać rurę za drugi koniec i wykorzystując prawo fizyki, wepchnąć napastnika do środka hali. Ten, z trudem utrzymując równowagę, zamachnął się na Rączego, który w międzyczasie puścił metalowy przedmiot i uskoczył w bok. Uderzenie mogące zabić słonia sięgnęło betonowej posadzki. Rura zaczepiła przy tym o coś i Koryto runął jak długi na ziemię.

W tym samym momencie rozległ się brzęk szkła. Rączy w ułamku sekundy zauważył postać mężczyzny znikającego w fabrycznym oknie. Ruszył w tę stronę – starał się jednocześnie obserwować poczynania Koryta, który niezdarnie gramolił się z ziemi.

Rączy wspiął się na okno, raniąc sobie lewą dłoń odłamkiem szkła. Syknął z bólu, ale podciągnął się na rękach, chwytając uprzednio górną ramę. Za oknem nie zauważył nikogo.

Zeskoczył na ziemię. Dłoń krwawiła, na posadzkę padały rdzawe krople.

Odwrócił się w stronę Koryta. Ten, blokując jedyne wyjście z hali, stał w bojowej pozycji z rękami wyciągniętymi przed siebie. Dłonie zacisnął w pięści i powoli zbliżał się do Kornela.

Wyszarpnięty z kieszeni kurtki pistolet ostudził jego zapędy. Rączy uśmiechnął się z wyższością, mierząc prosto w głowę napastnika.

– Teraz naprawdę masz przejebane – rzucił jak gdyby od niechcenia. – Chciałem cię oszczędzić, ale nie jesteś tego wart. Zgnijesz w pierdlu, Koryto. Chyba że wcześniej ktoś uczynny i

dobrze poinformowany pomoże ci się przenieść do krainy wiecznych łowów.

Koryto stanął bezradnie, opuścił ręce i z niekłamaną nienawiścią wpatrywał się w Rączego.

– Zaraz zadzwonię po psy, ale najpierw porozmawiamy sobie spokojnie. Od tego, co mi powiesz, zależy bardzo wiele. – Kornel odsunął się od okna i wskazał głową na mosiężny kaloryfer. – Stań tam.

Melchior Korytkiewicz wykonał posłusznie polecenie.

– Teraz na kolana. Pewnie dawno nie byłeś w kościele – zażartował Rączy, widząc klęczącego posłusznie gangstera. Wyjął z kieszeni kajdanki i rzucił mu je. – Przykuj się teraz i czekaj. Zaraz przyjdę do ciebie. – Poczekał, aż Koryto dokona samouwięzienia, i wyszedł z hali.

Następny kwadrans zajęło Kornelowi znalezienie czynnego kranu z wodą, przemycie rany, odnalezienie przysypiającego pana Włodka, od którego, co prawda, nie dowiedział się nic na temat wyglądu uciekającego defenestrata, gdyż ekscieć zwyczajnie go nie zauważył, ale za to odnalazł w budce mocno wybrakowaną apteczkę z wodą utlenioną i bandażem, którym zawinął jako tako skaleczoną dłoń.

Koryto tkwił w tej samej siedząco-klęczącej pozycji, w jakiej go pozostawił.

Rączy przystawił sobie krzesło blisko niego, starł z siedzenia grubą warstwę kurzu i usiadł naprzeciw.

– Widzisz, Koryto, na razie ty klęczysz, a ja siedzę, ale niedługo to się zmieni. Ty będziesz siedzieć, a ja nadal będę łapał takich głupich kutasów jak ty. Ale do rzeczy. Kim był facet, który uciekł przez okno?

Korytkiewicz poruszył się niespokojnie. Zbyt długie milczenie zdenerwowało Kornela.

– Niestety, do trzech razy sztuka. Wydawało mi się, że zrozumiałeś zasady naszej gry, ale skoro nie… – wyjął z kieszeni telefon. – Zadzwonimy na policję, przyjadą, zgarną cię, a ja już się postaram, żebyś nie nudził się za kratami. Zdziwiłbyś się, ilu mam tam starych znajomych, którzy marzą, aby dorwać na przykład jakiegoś pedofila. A plotki szybko się rozchodzą, szczególnie w takich miejscach. Zresztą co ja ci tu będę truł, sam byłeś i widziałeś.

Z tym że… – zawiesił głos i cicho zachichotał. – Tym razem pojawisz się tam w zupełnie innym, że się tak wyrażę, charakterze.

– Nie wiem, kim jest ten typ – wymruczał Koryto. – To ten sam, który wtedy chciał mnie zmusić, żebym zabił tego Dudniewskiego. Nachodził mnie w MOPS-ie. Nie wiem, jak mnie tu znalazł, ale przyszedł dzisiaj i…

– Jak wygląda ten facet?

– Jak facet. Dość wysoki, ciemne włosy, ani stary, ani młody – Korytkiewicz próbował być dokładny w opisie i choć nie bardzo mu to wychodziło, Rączy docenił te starania. – Aha, miał śmieszny kolczyk, w prawym… nie, w lewym uchu! – wykrzyknął bandzior z triumfem i spojrzał na Kornela wzrokiem psa, który odnalazł w trawie rzucony patyk i oczekuje na nagrodę.

– Jak wyglądał ten kolczyk? – zainteresował się Rączy.

– Kolczyk jak kolczyk. Zwykłe kółko, a na nim zawieszona postać kobiety. Ale wszystko takie malutkie. Ja zauważyłem dopiero dzisiaj, jak się nade mną nachylił.

– Jaka postać? Ty coś piłeś, Koryto? – Kornel wstał z krzesła i zaczął przechadzać się tam i z powrotem krokiem doświadczonego oficera śledczego. Niektórzy psychologowie policyjni twierdzą, że to dekoncentruje przesłuchiwanego i jednocześnie minimalizuje fałszywe zeznania.

– Nic, kurwa, nie piłem – burknął Korytkiewicz. – Widziałem takie podobne kobiety w jednej książce. Chyba o Egipcie, bo były też tam wielbłądy i te, no… piramidy – zakończył dumny ze swej wiedzy i pamięci.

– Egipska bogini… – powiedział bardziej do siebie niż do Koryta Rączy.

Przebiegł myślami imiona znanych sobie żeńskich bóstw znad Nilu. Było ich wstydliwie mało: Anat, Hathor, Izyda, Neftyda… Drążenie mitologii Egiptu w towarzystwie Korytkiewicza wydało mu się teraz śmieszne.

– Po co przyszedł do ciebie i dlaczego tak nagle nas opuścił? – spytał i spojrzał odruchowo na okno.

– Znowu zaczął mnie straszyć. Powiedział, że daje mi ostatnią szansę – tym razem pytany odpowiedział szybko i zdecydowanie.

– Szansę na co?

– Żebym mógł naprawić swoje błędy. Tak powiedział. – Korytkiewicz szczęknął kajdankami.

– I na czym ta poprawa miałaby polegać? – Kornel czuł, że odpowiedź na to pytanie może być niezwykle ważna.

– Mówił coś o jakimś domu w lesie. Że miałbym kogoś tam pilnować, że to byłaby też dla mnie niezła kryjówka… Potem usłyszeliśmy, że ktoś idzie – dodał z dziwną satysfakcją w głosie Koryto.

– I ty postanowiłeś mnie załatwić za pomocą rury, a facet ulotnił się przez okno – dopowiedział sarkastycznie Rączy.

– Na to wychodzi.

– Mówił, gdzie jest ten dom w lesie i kogo miałbyś pilnować? – drążył Kornel.

– Nie. Nie było żadnych konkretów. Miał mnie tam zawieźć, zostawić i kontaktować się co jakiś czas.

– Zgodziłeś się?

– Właściwie tak. Stąd i tak musiałbym się wynieść – Koryto zwiesił głowę i Rączemu przez moment zrobiło się go prawie żal.

Ale że „prawie” robi wielką różnicę, ponownie wyjął telefon i połączył się z komendą policji przy Królewskiej.

– On kpi sobie z policji. – Krępowicz odprowadził wzrokiem policjanta prowadzącego do samochodu zgiętego w pół Korytkiewicza. – Szanowny pan redaktor Rączy nie raczył zaczekać na nas, aby wyjaśnić tę sytuację – mówił już właściwie do siebie, bo jego podwładni krzątali się po terenie nieistniejącej fabryki w poszukiwaniu… No właśnie. Wydana kilka minut wcześniej komenda brzmiała równie nieprecyzyjnie jak cel poszukiwań.

Pan Włodek spał smacznie w swojej budce, oczekując na drugi patrol, który miał zawieźć go do izby wytrzeźwień. Poza tym na posadzce hali odkryto ślady krwi i znaleziono liczne kawałki potłuczonego szkła.

Sam Kornel ulotnił się przed przyjazdem policji, wykazując tym samym skrajną nonszalancję i pełne lekceważenie służb mundurowych. To denerwowało Krępowicza najbardziej.

Laura Chociej-Dudniewska, która początkowo zadeklarowała pełną współpracę, przyprowadzona na przesłuchanie oświadczyła, że będzie zeznawać tylko w obecności swojego adwokata. Mecenas Tymoteusz F. Matecki przebywał jednak aktualnie za granicą i komendant, *nolens volens*, musiał poczekać. Miało to może i dobrą stronę, gdyż mógł lepiej przygotować się do rozmowy z przebiegłą, pewną siebie kobietą.

Kornel wyjął z kieszeni fotografię, którą dostał od Ingrid. Dudniewska i Krajski w wystudiowanych pozach wyglądali tu na zakochanych, a sielankowy charakter obrazka psuła tylko postać (a właściwie jej fragment), która bezceremonialnie weszła w kadr, przez co zdjęcie robiło wrażenie amatorskiego, zrobionego naprędce i w żadnym razie nienadającego się do postawienia na honorowym miejscu jako widomy znak miłości.

Skoncentrował się na postaci intruza. Niestety, ostrość obejmowała zakochaną parę, a mężczyzna, choć na pierwszym planie, był rozmazany. Do tego stał tyłem i jego identyfikacja była praktycznie niemożliwa.

Można było przypuszczać, że ma ciemne włosy i jest raczej dobrze zbudowanym facetem. Wzrost, rysy twarzy – kompletnie nie do określenia. Rączy użył powiększającego szkła. Obraz rozmazał się jeszcze bardziej, ale pod jedynym widocznym na zdjęciu, lewym uchem zauważył plamkę. Wada techniczna, która nastąpiła przy wywoływaniu fotografii? Plamka miała podłużny, regularny kształt i wyglądała jak wisząca w powietrzu.

Kornel wybrał numer telefonu Bochenka.

– Cześć, Radek! Jesteś w domu? Wpadłbym do ciebie za chwilę, nie zajmę dużo czasu – umiejętnie wprosił się, nie dając rozmówcy dojść do słowa.

Po dziesięciu minutach stał przed drzwiami mieszkania specjalisty od schronów i fortów. Z wnętrza dobiegała głośna muzyka. Bez trudu rozpoznał utwór Led Zeppelin *All of my love*.

*Should I fall out of love my fire in the night,*
*to chase a feather in the wind.*

Głośne pukanie spowodowało ściszenie muzyki. Radek otworzył drzwi i bez słowa wpuścił go do środka.

– Kornel, zarobiony jestem, absolutnie nie mam czasu… – rozpoczął swój stały tekst, ale widocznie Rączy, stojąc w progu pokoju, wyrażał całym sobą determinację, bo zamiast jak zwykle scharakteryzować ogrom swych przyszłych działań, tłumacząc nim kompletny brak czasu, zamilkł i westchnął: – Pewnie coś pilnego…

– Nie przeszkadzałbym ci, gdyby nie było to coś pilnego i być może bardzo ważnego – Kornel wyjął zdjęcie i położył go przed Bochenkiem.

Ten spojrzał na fotografię nieufnie.

– Co to jest? Zostałeś na starość paparazzo? – uśmiechnął się.

– Zwróć uwagę na tę trzecią osobę. Chciałbym, żebyś za pomocą tych twoich magicznych narzędzi powiększył mi to maksymalnie. Chcę wiedzieć, czym jest ta plamka – Kornel wskazał palcem odpowiednie miejsce.

– Nie wiem, czy to się da zrobić. Zdjęcie jest takie sobie – Radek zaczął marudzić. – Ale dobrze, zostaw mi je i przyjdź jutro, może uda się coś z tego wyciągnąć.

– Radziu, żadne jutro. To jest potrzebne do… – Rączy zawahał się. – Po prostu muszę to mieć „na już”.

– Napijesz się piwa? – Bochenek skapitulował.

Oddalił się do lodówki, by wrócić po chwili z dwoma zimnymi puszkami duńskiego tuborga.

– Usiądź sobie wygodnie, poczytaj coś, napij się – zrzucił z krzesła zalegające na nim szpargały. – To trochę potrwa. Jak będę gotowy, zawołam cię. Aaa, nastawię ci coś – podszedł do adapteru i po chwili z głośników popłynęły pierwsze dźwięki Ravelowskiego *Bolera* granego przez superband Franka Zappy.

Radek wyszedł do drugiego pokoju, służącego mu jednocześnie za pracownię fotograficzną, punkt składu książek i czasopism oraz (Kornel był o tym przekonany) miejsce kontemplacji.

Gdyby nie sytuacja wymagająca szybkiego działania, Rączy spędziłby w tych warunkach całe popołudnie i wieczór. *Bolero* skończyło się, a kiedy wybrzmiał ostatni dźwięk *Mr. Green Genes*, pojawił się uśmiechnięty od ucha do ucha Bochenek.

Mimo braku czasu był człowiekiem zadaniowym i rozwiązywanie zagadek sprawiało mu sporą frajdę.

– Chodź, chodź! – zachęcił Kornela ruchem ręki. – Znalazłem chyba coś ciekawego. – Nie mam drukarki, ale na ekranie będzie nawet lepiej widać.

Oczom Rączego ukazał się gigantycznej wielkości przedmiot o zdumiewającej ostrości obrazu.

– To chyba jakaś zawieszka, kolczyk – w głosie Radka słychać było satysfakcję.

– Wygląda jak egipska figurka – Kornel nie mógł już powstrzymać narastających w nim emocji. – Strasznie ci dziękuję, masz u mnie duże piwo. – Poderwał się z fotela i dopijając w biegu tuborga, niemal wybiegł z mieszkania.

Bochenek stał jeszcze przez chwilę w osłupieniu. Chciał przecież pokazać Rączemu cały proces, którego efekt tak go zaktywizował. Obiecał sobie w duchu, że uczyni to następnym razem.

– Jesteś głupi jak but – powiedział głośno Kornel, stojąc naprzeciwko sklepowej wystawy przy Królewskiej. Odbijał się w szybie w całej okazałości. Tuszował nadwagę rozpiętą kurtką, co sprawiało nieco korzystniejsze wrażenie całości sylwetki.

– Słucham?! – starszy mężczyzna zatrzymał się i gniewnie patrzył na Kornela znad spuszczonych na koniec nosa okularów. – Pan mówił do mnie?

– Raczej do siebie – odparł Rączy. – Choć oczywiście, jeśli pan się poczuwa… – uśmiechnął się szelmowsko.

Staruszek zapowietrzył się i zanim znalazł odpowiednią ripostę, Kornel odszedł w stronę tramwajowego przystanku. Błąd w sztuce, jak mawiał Orędowski. Mózg nie pracuje już tak jak dawniej. Doktor ma przynajmniej godnego następcę…

Pełen niewesołych wniosków wsiadł w ósemkę i z ciężkim westchnieniem zajął miejsce przy oknie. Należało naprawić ewidentne niedociągnięcie, ale czy nie było za późno?

Jazda tramwajem nie sprzyjała logicznemu myśleniu. Rozpraszali go hałaśliwi studenci jadący na zajęcia do Akademii Pedagogicznej i korpulentna czterdziestolatka, która wydając komuś (chyba mężowi)

kulinarne dyspozycje, krzyczała przez telefon. Informowała na cały głos, przy którym przystanku znajduje się aktualnie.

Wreszcie pojazd zatrzymał się w Bronowicach Małych. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne – głosem Grzegorza Turnaua – podziękowało pasażerom za wspólną jazdę.

Rączy wyskoczył z wagonu, przebiegł przez tory i jak mógł najszybciej skierował się w stronę najdłuższego, wijącego się bloku przy ulicy Na Błonie.

Z daleka zauważył stojącego przed klatką Zalesiaka bordowego VAN-a z napisem „DUD-BUD". Przyspieszył kroku i gdy był już kilka metrów od samochodu, ten ruszył nagle i omijając plac zabaw, wyjechał na ulicę. Kornel zdążył tylko zauważyć, że w aucie jechało dwóch ludzi.

Podbiegł jeszcze kilkadziesiąt metrów, ale VAN skierował się na północ i zniknął za zakrętem.

– Jesteś głupi jak but – powiedział głośno Rączy drugi raz w ciągu ostatniej pół godziny.

Kornel nie miał najlepszych wspomnień związanych z ojcem, jednak kilka momentów wryło mu się mocno w pamięć. Rączy senior zwykł też wygłaszać tak zwane prawdy życiowe, ilustrując je przykładami sportowymi, aby lepiej unaocznić ich głęboki sens.

Jedną z nich była zasada, aby w momentach niepowodzenia nie oglądać się wstecz, nie rozpamiętywać porażki, a wytrwale dążyć do zmiany niekorzystnej sytuacji. „Kiedy drużyna traci bramkę na boisku – mówił – może zachować się dwojako: albo zawodnicy będą wzajemnie obwiniać się o stratę gola, albo zacisną zęby i ruszą do przodu, żeby jak najszybciej wyrównać. W pierwszym wypadku zazwyczaj kończy się utratą drugiej bramki, a potem kolejnych, bo zła energia, nerwy prowadzą do popełniania dalszych błędów. Albo też zespół walczy i często osiąga cel, a nawet gdy to się nie uda, nikt nie ma do nich pretensji, bo każdy widział, że dali z siebie wszystko".

W tym przypadku przeciwnik prowadził już dwa do zera, z tym jednak, że nie chciał czy też nie miał odwagi stanąć z Rączym twarzą w twarz.

„To chyba pierwszy przypadek walkowera przyznanego nie temu, który stoi na placu boju, gotowy zmierzyć swe siły z rywalem, ale – paradoksalnie – uciekającemu, czyniącemu uniki przeciwnikowi – pomyślał Kornel. – Ciekawe, co powiedziałby na to mój stary".

Teraz był już pewny. Człowiek, który bawił się z nim z kotka i myszkę, wszystko dokładnie przemyślał i posługując się metodą inteligentnego szantażu, próbował osiągnąć swój cel.

Nie ulegało wątpliwości, że zarówno Korytkiewicz, jak i Zalesiak bali się go, gdyż w łatwy sposób mógł im zaszkodzić. Aby wydobyć informacje, Rączy zrobił dokładnie tak samo.

Zagadką była znajomość porywacza z Ingrid i Patrykiem. Ufając temu człowiekowi, sami wpadli w pułapkę. Jeszcze bardziej niejasny był motyw uprowadzenia rodzeństwa. Sposób działania raczej nie wskazywał na psychopatycznego mordercę.

W tej sytuacji, mimo zahamowań, powinien poinformować o wszystkim policję. Od tego być może zależało życie Ingrid i Patryka. Był o nie jednak dziwnie spokojny. Gdyby porywaczowi zależało na ich śmierci, załatwiłby to na miejscu, na przykład w mieszkaniu. Zostałby wpuszczony, bo przecież był ich znajomym.

Kornel wzdrygnął się na myśl o tym.

Najistotniejsze było jednak to, czy podwójne morderstwo miało związek z porwaniem. Jeśli sprawcą był ten sam mężczyzna, Ingrid i Patryk nie byli bezpieczni. Intuicja podpowiadała Rączemu, że ta gra ma wiele wątków.

Z zadumy wyrwał go telefon doktora Orędowskiego.

– Panie Kornelu, ale się dzieje – odezwał się w słuchawce rozgorączkowany głos patologa. – Koniecznie musimy się spotkać i to zaraz. Wychodzę właśnie ze szpitala MSW przy Galla, to już drugi szpital, który dzisiaj odwiedziłem. Ale proszę tu nie przyjeżdżać. Krępowicz strasznie pomstuje na pana i nie wiadomo, jakie ma zamiary. Proponuję za pół godziny w naszym stałym miejscu – zakończył konspiracyjnym szeptem.

Ławka na tyłach przychodni lekarskiej, w podwórku stworzonym przez kwartał alei Kijowskiej i ulic Królewskiej, Lea i Galla, była idealnym miejscem na nieformalne, krótkie spotkania.

Kornel już z daleka zauważył korpulentną sylwetkę Orędowskiego zajmującą sporą część ławki.

– Pozwoli pan, że zacznę jako pierwszy – patolog uśmiechnął się. – Otóż stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że Sylwia Brzeszczuk popełniła samobójstwo, podcinając sobie gardło skalpelem. Jeśli chodzi o motywy psychologiczne tego działania, odpowiedź da za jakiś czas doktor Czulak. Na razie mój szanowny kolega tłumaczy się na policji z pewnych, jak by to rzec, niedociągnięć regulaminowych mogących mieć bezpośredni wpływ na to, co się stało dzisiaj.

Rączy wciąż nie rozumiał, dlaczego śmierć jakiejś Brzeszczuk ma być istotna i co można by wywnioskować z faktu, że dyscyplina w szpitalu szwankuje.

– Mam jeszcze dla pana jedną rewelację – Orędowski swoim zwyczajem założył splecione ręce pod brzuch, dzięki czemu upodobnił się do wizerunku zadowolonego z życia Buddy. – Otóż miłosny szał kochanków, a mam tu na myśli czarną wdowę oraz prawą rękę prezesa, doprowadził do tragedii. Pan Zbigniew Krajski został dwukrotnie pchnięty nożem w tętnicę udową, a dokonała tego Laura Dudniewska. Ona aktualnie przebywa w areszcie, on w szpitalu, ale kryzys minął i jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. No chyba że wypuszczą Dudniewską – zażartował patolog, kończąc wypowiedź.

– No to Krępowicz ma teraz pełne ręce roboty – Kornel powiedział to jednak bez zwykłej w takich wypadkach satysfakcji. Wyjaśnił Orędowskiemu, co udało się ustalić w sprawie domniemanego porywacza, który dwukrotnie wymknął mu się z rąk. – Nie bardzo wiem, co robić – zwierzył się doktorowi. – W podobnych sytuacjach ktoś dzwoni, czegoś żąda, coś negocjuje. Praktycznie nie wiadomo, czy ten ktoś porwał Ingrid i jej brata, czy też ich zniknięcie ma zupełnie inną przyczynę. Z opowieści Korytkiewicza wiemy, że tajemniczy facet próbował po raz kolejny szantażować go, składając propozycję nie do odrzucenia. Marian miał pilnować kogoś ukrytego w lesie. Kogo i w którym lesie, niestety nie wiemy.

– Co jeszcze wiemy? – patolog zmrużył oczy. – Czy nie wydaje się panu, że człowiek, z którym mamy do czynienia, który być może stoi za zniknięciem Ingrid i jej brata i który, mówiąc wprost, wymknął się panu dwukrotnie, to wytrawny gracz, który dyktując swoje reguły, nie spieszy się. Z tego co usłyszałem od pana, wynikałoby też, że nasz Iks, nazwijmy go tak roboczo, miał coś wspólnego z DUD-BUD-em, a więc zarówno morderstwo Dudniewskiego, jak i Wnęka, moim zdaniem, łączą się z jego osobą. – Orędowski wziął głębszy oddech. – Jednak moja intuicja podpowiada mi, że nie mamy tu do czynienia z typem klasycznego mordercy, egzekutora. Świadczy o tym choćby fakt relacji Iksa z tym całym Korytkiewiczem, no i pana kolegą po fachu Zalesiakiem, przyjąwszy, że to on odjechał firmowym samochodem DUD-BUD-u.

– A jeśli działa sam, umiejętnie wykorzystując do tego inne osoby, to… – Rączy zmarszczył brwi, ale po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. – Nożowniczy atak Dudniewskiej na osobę Krajskiego może być elementem całej tej układanki.

– Brawo, panie Kornelu! – patolog uśmiechnął się zagadkowo. – Co więcej, wydaje mi się, że i domniemane samobójstwo tej Brzeszczuk nie musi być dziełem przypadku. Tym bardziej że w ostatnich miesiącach ktoś ją regularnie odwiedzał w szpitalu.

– Kto? – Rączy nerwowo przełknął ślinę.

– Oczywiście nie mamy żadnych dowodów, ale z opisu pasowałby do naszego Iksa. Doktor Czulak wspomniał, że czasami, ale nie zawsze, facet nosił w uchu charakterystyczny kolczyk, prawdopodobnie z egipską boginią Nephtys.

– Czyli Neftydą? – Kornel aż podskoczył na ławce z emocji.

– Tak – potwierdził spokojnie Orędowski. – Córka bogini Nut i boga Geba, poślubiła swojego brata Seta. Przedstawiano ją jako kobietę z hieroglifem jej imienia na głowie. W mitologii egipskiej uważana jest za boginię śmierci.

– Jestem pod wrażeniem pana wiedzy, doktorze – powiedział cicho Rączy.

– W młodości interesowałem się różnymi rzeczami, być może niepotrzebnymi – patolog westchnął. – Nasz Iks jest prawdopodobnie typem przebiegłego intelektualisty o wątpliwym

morale, niemającym żadnych skrupułów. Pytań jest wiele, ale trzy wydają mi się najważniejsze. Pierwsze: kim jest nasz Iks? Drugie: jaki ma cel, postępując w tak wyrafinowany sposób? Trzecie: co skłoniło go do działania? Bo zakładam, że powody były w tym wypadku decydujące. Jeśli odpowiemy sobie na trzecie pytanie, znajdziemy rozwiązanie dwóch pierwszych zagadek.

– Z pewnością rozmowa z Krajskim, ale też z Laurą Dudniewską nie byłaby od rzeczy – Kornel odpalił kolejnego papierosa. – Tyle że Krępowicz nigdy się na to nie zgodzi. Jesteśmy w klinczu, bo sam pan wie, doktorze, że komendant raczej nie wymyśli nic mądrego. Co najwyżej uzyska informację, dlaczego wdowa uciekła się do tak radykalnego czynu jak atak nożem. Nas, a przynajmniej mnie, nie dopuszczą do zatrzymanych… – Rączy zasępił się. – Tymczasem Ingrid może potrzebować pomocy.

– Mam pewien pomysł – Orędowski poruszył się na ławce, wskutek czego jego pokaźny brzuch zafalował. – Nie mogę gwarantować efektu, ale spróbować trzeba. Na razie proszę się uważnie przyjrzeć tej Sylwii – doktor wyjął z grubej czarnej teczki kilka fotografii zrobionych w pracowni patologicznej.

Leżąca na wznak naga kobieta miała wyraźne ślady cięć na szyi. Jej twarz wyrażała spokój, jakby umarła we śnie, w najbardziej pożądany przez większość ludzi sposób. W rzeczywistości musiała się męczyć. Trzy głębokie cięcia uczynione za pomocą skalpela spowodowały obfite broczenie i w konsekwencji zachłyśnięcie się krwią.

Im dłużej Kornel przyglądał się samobójczyni, tym bardziej był pewny, że widzi ją nie po raz pierwszy, choć oczywiście w zupełnie innych okolicznościach.

Przerażał ją. To kojarzyło się jej przede wszystkim z tym człowiekiem. Pozornie spokojny, opanowany i kulturalny, potrafił w jednej chwili przedzierzgnąć się w bezwzględną bestię. Nigdy jej nie uderzył, ale ich relacje, które śmiało mogłaby nazwać psychiczną torturą, kiedy tylko jedno z nich było prawdziwie sobą, a drugie poddawało się biernie, udając zadowolenie, były nie do zniesienia.

Tamten wieczór, gdy uległa, zmęczona i przekonana, że nadszedł długo oczekiwany kres, że to ostatni akt tego chorego związku, że teraz wolna i niezależna rozpocznie nowy etap życia, w którym nie będzie już miejsca na głupie błędy, okazał się znamienny w skutkach.

Pozwoliła mu, aby zrobił to po raz ostatni. Pieścił ją długo, aż cały jej organizm zaczął domagać się spełnienia. Ale on wciąż czekał. Pochylał się nad jej nagim ciałem, wymyślając coraz to nowe sposoby, aby odpłynęła zupełnie. Wreszcie wziął ją brutalnie i choć trwało to krótko, poczuła się tak, jak nigdy dotąd.

Zgodnie z umową nie został na noc. W ciągu kwadransa zniknął z jej życia. Tak jej się przynajmniej wtedy wydawało.

O dziecku nie powiedziała nikomu. Żeby nie myśleć, rzuciła się w wir imprez, wciąż poznawała nowych ludzi. Nie pamiętała ich twarzy, często pijana, a oni starali się nie pamiętać jej. Tak było dobrze, przynajmniej na chwilę.

Na jednej z imprez klubowych pojawił się Adam. Nie zrobił na niej początkowo dobrego wrażenia – wyglądał, jakby przyszedł tu na łowy. Rozglądał się wokoło łapczywym, śliskim wzrokiem, omiatając biusty, nogi i pośladki tańczących dziewczyn. Potem, kiedy już się poznali, mówił, że w ten sposób szukał tej jedynej. Uwierzyła, choć wiedziała, że to podłe kłamstwo. Adam był jednak przy niej, przynosił kwiaty, zabierał w ciekawe miejsca, był opiekuńczy i tak inny niż tamten.

Panel literacki widziała po raz pierwszy. Zalesiak chciał jej chyba zaimponować, bo udzielał się wyjątkowo aktywnie, ale jego wypowiedzi, sztampowe i nic niewnoszące do dyskusji, były gaszone przez kilku innych siedzących przy długim stole. Wśród nich on. Zabierał głos nieczęsto, ale każda wypowiedź była rzeczowa i trafiała w punkt. Starcie z Adamem było dla tego ostatniego nokautem. Rączy podważył stawianą w pocie czoła karkołomną tezę, ujawniając niewiedzę Zalesiaka, po czym umiejętnie podsumował temat, delikatnie nawiązując do przypadkowości jednego z rozmówców. To spowodowało głośne śmiechy wśród publiczności.

Adam nie wytrzymał narastającej presji i chwytając ją za rękę, zamierzał wyprowadzić z niegościnnych murów zasłużonej skądinąd

instytucji. Wyrwała się i odprowadziła go wzrokiem do wyjścia.

Czekał na nią ponad dwie godziny. Kiedy po raucie, lekko zataczając się, wsparta o ramię Kornela opuszczała klub, stał w sąsiedniej bramie, paląc nerwowo papierosa.

Zlekceważyła go, ale Rączy zorientował się szybko w sytuacji. Przeprosił za zamieszanie, wyraził nadzieję, że Adam nie ma mu za złe panelowej wiktorii i zniknął, podążając za licznym towarzystwem.

Odrzucona nie chciała szukać pocieszenia. Kiedy ujął ją za rękę i próbował coś nieudolnie tłumaczyć, szarpnęła się i na odlew uderzyła go w twarz. Stał nieruchomo, ale ręki nie puścił. Ośmielona i nieco zaskoczona spróbowała uderzyć jeszcze raz. Powstrzymał jej zamiar, unieruchamiając obie dłonie żelaznym uściskiem. Trwało to nie więcej niż kilka sekund. Potem puścił ją i z miną skrzywdzonego dziecka odwrócił się i wolno odszedł ulicą Meiselsa.

Ruszyła w przeciwną stronę, nie patrząc przed siebie. Zaczęło padać. Wysokie szpilki ślizgały się na wykoślawionych płytkach chodnika. Zdjęła je i szła dalej boso w destrukcyjnym zapamiętaniu. Szum deszczu tłumił skutecznie cichy, bezradny szloch.

Nie patrząc na boki, weszła na jezdnię prosto pod koła jadącego z dużą szybkością samochodu. Poczuła gwałtowny ból i kiedy po wykonaniu powietrznej ewolucji uderzyła z impetem w ziemię, w jednej chwili zgasły wszystkie światła.

Zielone audi przyspieszyło. Kierowca skręcił w Starowiślną. Deszcz przybrał na sile. Ulica była zupełnie pusta. Dopiero po godzinie leżącą na jezdni bosonogą kobietę zauważył z radiowozu patrol policji.

A więc to ta dziewczyna, która kompletnie pijana narzuciła mu wtedy swoje towarzystwo… Wymienili zaledwie kilka słów. Później napatoczył się Zalesiak. Tyle. Nic nieznaczący epizod. Rączy nie przypominał sobie, aby wcześniej lub później spotkał Sylwię. Orędowski tym razem chyba przesadził w tej, jak to zwykł określać, „logicznej kompilacji faktów”.

W tok Kornelowych myśli wdarł się brutalnie dźwięk telefonu. Nieznany numer stacjonarny, który wyświetlił się na ekranie,

zainteresował Rączego.

– Tu Szlagrowski – odezwał się głos w słuchawce. – Myślę, że powinien pan szybko do mnie przyjechać. Przy drzwiach mieszkania Ingrid kręci się dwóch typów.

Rączy zjawił się pod blokiem Ingrid w niespełna kwadrans od chwili, gdy zadzwonił Szlagrowski. Pan Jakub oczekiwał go, stojąc za krzakiem przy osiedlowym parkingu. Wymownym ruchem ręki skłonił Kornela, aby ten zbliżył się do niego. Rączy zapłacił taksówkarzowi i posłusznie, starając się zachować ostrożność, wykonał zadanie.

– Są w środku, w mieszkaniu Ingrid – poinformował szeptem emeryt, choć wokoło nie było nikogo.

Przez moment obaj wpatrywali się w okno pokoju na drugim piętrze. To tam Ingrid urządziła sobie gabinet, w którym ujrzał ją pierwszy raz.

Zasunięte żaluzje praktycznie uniemożliwiały obserwację wnętrza mieszkania. Szlagrowski był podniecony, skubał nerwowo siwą bródkę, przestępując z nogi na nogę.

– Co robimy, redaktorze?

– Czekamy – odparł cicho Kornel. – Jeśli tam są, to przecież kiedyś wyjdą. A w ogóle, jak się tam dostali?

– Normalnie. Ten wyższy otworzył drzwi kluczem, potem obaj weszli do mieszkania i zamknęli się od środka. Wykorzystałem moment i zszedłem na podwórko.

„Klucz zabrała oczywiście Ingrid – pomyślał Kornel. – Ciekawe, czego tam szukają".

Zlustrował najbliższą okolicę. Stacja trafo stojąca w odległości zaledwie kilku metrów od wejścia do klatki wydawała się idealnym miejscem, aby się za nią przyczaić. Jedynym minusem był fakt, że budynek, chociaż nieduży, ograniczał w znacznym stopniu pole widzenia. Ocenił odległość pomiędzy nim a zaparkowanym w bocznej alejce bordowym VAN-em i podjął szybką decyzję.

– Panie Jakubie, pan ukryje się tam – wskazał ręką betonowy prostokąt. – Gdyby pojawili się przed budynkiem, gwizdnie pan na palcach. Umie pan gwizdać?

– O, jeszcze jak! – Szlagrowski przyłożył palce do ust gotów zaprezentować swoje umiejętności, ale Kornel powstrzymał go wymownym gestem.

– Nie teraz, dopiero jak wyjdą – przypomniał i korzystając z osłony gęsto rosnących krzewów, oddalił się w stronę VAN-a. Przykucnął, kryjąc się za nim, i cierpliwie czekał.

Po kilku minutach usłyszał cichy, ale wyraźny gwizd. Wyjrzał zza samochodu. Drzwi od klatki zostały otwarte i ukazała się w nich sylwetka Zalesiaka. Eksradiowiec niósł pod pachą laptop. Rozejrzał się na boki i ruszył w stronę auta. Drugiego z mężczyzn nie było nigdzie widać. Rączy odczekał chwilę i kiedy Adam znalazł się obok samochodu, wstał.

Na twarzy Zalesiaka malował się arcygłupi wyraz totalnego zaskoczenia. Zrobił krok w tył, ale Kornel już trzymał go za fraki, przyciskając do maski VAN-a.

– Nie próbuj uciekać, bo skręcę ci kark – wysyczał mu do ucha. – Wolno połóż laptop na chodniku. Taaak. Dobrze.

W tym momencie Adam, wykorzystując fakt, że uwaga Rączego skupiła się na czarnym, płaskim przedmiocie, wykonał nagły zwrot, skutkiem czego uwolnił się z uścisku. Zamachnął się prawą ręką, trafiając Kornela w ucho. Rączy odskoczył, tworząc dystans i starając się nie spuszczać z oka laptopa, podniósł ręce na wysokość twarzy.

– Od dawna ci się to należało – mruknął i ruszył do ataku.

Zalesiak próbował się bronić, chaotycznie wymachiwał obiema rękami, ale lewy prosty zadany prosto w nos i błyskawiczna poprawka prawą pięścią, która ześlizgnęła się po brodzie, uderzając w grdykę, skutecznie osłabiły jego zapał do walki. Kornel stał nad przeciwnikiem gotowy dodać jeszcze coś od siebie. Adam siedział na krawężniku i charcząc, trzymał się za szyję.

Słońce jaskrawo zaświeciło Rączemu w oczy. Zmrużył je i wtedy otrzymał mocny cios w głowę. Osunął się na ziemię. Zanim stracił przytomność, usłyszał najpierw gwizd, a potem demoniczny śmiech.

Poczuła lekką wibrację stęchłego powietrza. Patryk szarpnął się mocniej. Zaraz potem usłyszała pełen bezsilnej złości jęk. Przyzwyczaiła się do panującej wokół ciemności. Teraz

rozpoznawała bez trudu kontury przedmiotów: stołu, krzesła, półek na ścianie. W dalszej części pomieszczenia, tam gdzie siedział Patryk, panował mrok.

– Spokojnie, braciszku – chciała powiedzieć, uspokoić go jak dawniej, kiedy usypiała go, a on dręczony dziwnymi lękami drżał na całym ciele, pocił się, by wreszcie zmęczony zwiotczeć w siostrzanych ramionach. Być może wtedy po raz pierwszy naszła ją myśl, aby zostać psychologiem, pomagać ludziom nieświadomym źródła swych lęków.

Knebel uniemożliwiał komunikację. Uznała, że pierwsze, co trzeba zrobić w tej sytuacji, to pozbyć się go. Głos stanie się bronią, narzędziem, można będzie wezwać pomoc, dodać otuchy bratu.

Spróbowała odchylić głowę w bok i jednocześnie spiąć ciało, lecz mocny sznur krępujący jej ciało mocno ograniczał ruchy. Powtórzyła manewr kilka razy, ale bez efektu. Spocona i zniechęcona wróciła do poprzedniej pozycji.

Patryk już nie próbował się szarpać. Tkwił nieruchomo ze zwieszoną na piersi głową, tylko jego oczy były otwarte, przerażone.

Jakże inny był ten jej młodszy brat od Kornela. Niestały, rozedrgany, szybko tracący zapał do działania. Rączy – mimo całej swej szorstkości – posiadał jednak tajemniczy, skrzętnie skrywany urok. Wyczuwała w nim wewnętrzne ciepło, wrażliwość i delikatność. W końcu – do cholery – była psychologiem!

Zastanawiała się, jak można kochać dwóch mężczyzn o tak odmiennych osobowościach, naznaczonych tak różnym życiowym doświadczeniem. Dychotomia miłości…

Nasłuchiwali oboje, nie mogąc się porozumieć. Odgłosy lasu z trudem przebijały się przez drewniane ściany. Gdzieś tam, na zewnątrz, być może polował puszczyk, pożywiało się stado saren, lis przemierzał kręty, nocny szlak.

Ingrid pierwsza wychwyciła mechaniczny dźwięk silnika. Z każdą chwilą stawał się on coraz głośniejszy, niknąc niekiedy z eteru, tłumiony przez drzewa i zarośla, aż wreszcie wyraźny, w pełni rozpoznawalny.

Patryk poruszył się niespokojnie w swoim kącie. On także usłyszał zbliżające się zło. Porywacz wracał.

Twarz Milesa Davisa na zmianę wyostrzała się, to znów traciła kontury, stając się czarną plamą na białej ścianie. Tępy ból z tyłu głowy nie pozwalał zasnąć powtórnie. Spróbował podnieść się na łokciach, ale te były jak z waty. Spocony opadł na poduszkę.

– Przebudził się – usłyszał znajomy głos gdzieś z tyłu, ale nie miał już siły odwrócić się.

– Panie Kornelu, proszę się nie ruszać – powiedział inny, jeszcze bardziej znajomy głos. – To może być wstrząśnięcie mózgu.

Ujrzał nad sobą dwie pochylone głowy. Dwa uśmiechy na dwóch twarzach, z których jedna należała do Jakuba Szlagrowskiego, a druga…

– Panie doktorze – powiedział z niejakim trudem. – Skąd się pan tu wziął?

– Szlagier mnie wezwał do siebie – odparł Orędowski. – Pewnie się pan tego nie spodziewał, ale znamy się z Kubusiem kopę lat. Za młodu grywaliśmy razem – patolog obserwował reakcję coraz bardziej zdziwionego Kornela.

– Iwo grał na kontrabasie, a ja na trąbce – wyjaśnił Szlagrowski. – Tylko że nasz doktorek szybko wypisał się z interesu, choć tłumaczyłem mu wtedy, że można być jednocześnie lekarzem i jazzmanem, jak chociażby Komeda.

Rączy zaskoczony sytuacją zamrugał oczami i patrzył bez słowa na przygadujących sobie seniorów.

– O jazzie porozmawiamy sobie jeszcze przy jakiejś okazji, może nawet… – Szlagrowski zawiesił głos i uczynił w powietrzu gest, jakby wykonywał szybki, basowy *walking*, na co patolog zdecydowanie pokręcił głową. – Pewnie jest pan ciekawy, skąd się tu wziął – zwrócił się do Kornela.

– No cóż, dostał pan w łeb i stracił przytomność – ujął rzecz krótko Orędowski.

– Pozwolisz, Iwo, że to ja opowiem… Ostatecznie byłem świadkiem zdarzenia – były trębacz użył policyjnej terminologii i porozumiewawczo mrugnął do Kornela. – Zawsze się pchał z solówkami przed szereg.

Podał Rączemu szklankę wody, którą ten łapczywie opróżnił w kilka sekund.

– Otóż ukryty za stacją trafo obserwowałem wejście do klatki. Kiedy zauważyłem mężczyznę niosącego coś pod pachą…

– Laptop – przerwał mu Kornel, na co Szlagrowski tylko kiwnął głową i kontynuował:

– Natychmiast gwizdnąłem na palcach. Pan zareagował prawidłowo. Przyczajony za samochodem wyszedł pan wprost na spotkanie faceta. No i potem pięknie go pan załatwił… – spojrzał w szacunkiem na leżącego. – Cios to ma pan pierwsza klasa. Jak niegdyś Grudzień…

– Albo Kasprzyk – wtrącił Orędowski, ale zamilkł zgromiony wzrokiem przez pana Jakuba.

– Ale ten drugi zaskoczył nas obu. Nie mam pojęcia, skąd się pojawił, bo nie traciłem z oczu wejścia do bloku.

– Tylko że oczy już nie te, Szlagier. Nawet Milesa kazałeś sobie wymalować w skali dziesięć do jednego, żebyś go mógł widzieć – zachichotał doktor.

– Widzieć i słyszeć – poprawił go ekstrębacz. – Mam wszystkie jego płyty. Ale do rzeczy. Zdążyłem gwizdnąć może na sekundę przed tym, jak zobaczyłem go tuż za pana plecami. To było oczywiście za późno… – opuścił smutno głowę. – Musi mi pan wybaczyć, panie Kornelu. Mam już swoje lata. Pewnie ktoś młodszy zauważyłby przemykającego się chyłkiem faceta słusznej postury…

– To nie pana wina – Kornel poczuł się w obowiązku zabrać głos. – Oślepiło mnie słońce i skoncentrowałem się na Zalesiaku i laptopie. Co było dalej?

– Niestety napastnik uciekł. Zdążył jeszcze wciągnąć do samochodu półprzytomnego kompana, jednak… – Szlagrowski zrobił triumfującą minę – laptop został na chodniku.

– Oto on – Orędowski podniósł w górę płaski przedmiot i wraz z gospodarzem zaimprowizowali wokalnie i *a capella* jazzowy standard *Night in Tunisia*.

Mecenas Tymoteusz F. Matecki zjawił się w areszcie śledczym punktualnie o dziesiątej. Dopełnił formalności, przedstawiając pełnomocnictwo Laury Chociej-Dudniewskiej, i w towarzystwie

starszego posterunkowego Seby Kibolskiego wąskim korytarzem udał się do aresztu.

Laura siedziała na ziemi oparta plecami o ścianę. Szczęk klucza w zamku wyrwał ją z odrętwienia. Spojrzała na Mateckiego beznamiętnym wzrokiem skazańca.

– Wreszcie pan jest – wyzbyty emocji ton głosu korespondował z całą jej postacią. – Ile lat mi grozi? – przeszła od razu do rzeczy.

– Droga pani, wróciłem do Krakowa dopiero dzisiejszej nocy i nie zdążyłem zapoznać się dokładniej z tą sprawą, zaręczam jednak, iż dołożę wszelkich starań… – rozpoczął zwyczajową tyradę mecenas.

– Pewnie, że pan dołoży – przerwała mu w pół zdania. – Przecież nie robi pan tego za darmo. Proszę mi tylko powiedzieć od razu, jakie są procedury w podobnej sytuacji.

– Pani Lauro, wszystko zależy od okoliczności. Im więcej argumentów będzie przemawiało za usprawiedliwioną zasadnością działania, tym lepiej. Między nami mówiąc, cudów bym się nie spodziewał. Atak z użyciem niebezpiecznego narzędzia, naruszenie nietykalności cielesnej z intencją… No właśnie, to wydaje się kluczowe. Jeśli sąd uzna, że chciała pani zabić Zbigniewa Krajskiego…

– Konkretnie: ile? – Dudniewska podniosła głos, wpatrując się uważnie w twarz Mateckiego.

– Za czyn z artykułu trzynastego paragraf pierwszy kodeksu karnego w związku z artykułem sto czterdzieści osiem paragraf pierwszy kodeksu karnego podejrzanemu grozi kara pozbawienia wolności od ośmiu do dwudziestu pięciu lat lub kara dożywotniego pozbawienia wolności – wyrecytował z pamięci mecenas.

– Osiem lat… – Laura bezwiednie powtórzyła dwa kluczowe słowa.

– Jednak po pierwsze, muszą pani udowodnić intencję zabójstwa, a po drugie, jako osoba niekaralna, o wzorowej reputacji, która nie weszła jak dotąd w konflikt z prawem, może pani liczyć na złagodzenie wyroku, włącznie z jego zawieszeniem na czas określony. Rozumie więc pani, że w chwili obecnej nie mogę nic konkretnego powiedzieć. Pomówmy zatem o stawkach, bo w tej

kwestii możemy być zdecydowanie bardziej precyzyjni – Matecki uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją.

– To twoja jedyna szansa, Adam – mężczyzna uśmiechnął się pod nosem i wyciągnął kluczyk ze stacyjki samochodu. – Jak się dobrze spiszesz, załatwię ci lewą tożsamość. Znikniesz i będziesz mógł sobie spokojnie żyć do końca swoich dni. Pół miliona to może nie jest kwota oszałamiająca, ale w twojej sytuacji…

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? – Zalesiak wciąż trzymał się za nos. Zastanawiał się, kto i kiedy mu go nastawi. – Przecież Laura i Krajski znają cię doskonale. Jak przyjdzie co do czego, podadzą twoje nazwisko i wystawią za tobą list gończy.

– O to się nie martw. Ważne, aby teraz inni nie wiązali mnie z porwaniem. To jest w tej chwili sprawa priorytetowa dla policji.

– I Rączego – wtrącił Zalesiak. – Wiesz, że on nigdy nie odpuszcza. Tym bardziej że zagrałeś mu na nosie. On ci tego nie zapomni. No i ten nieszczęsny laptop…

– Laptop Rączy przyniesie mi w zębach, zaręczam ci – facet z kolczykiem w uchu w kształcie egipskiej bogini Nephtys zrobił chytrą minę.

– Niby jak?

– Sam wynegocjujesz warunki – głos mężczyzny stał się na powrót poważny, z twarzy zniknął kpiący uśmieszek, a oczy uważnie wpatrywały się w rozmówcę. – Oddamy mu Ingrid w zamian za laptopa, a Patryk znajdzie kod, którym posługiwał się ten jego kochaś. Kornelowi zależy teraz wyłącznie na tej kobiecie. Początkowo chciałem inaczej to zakończyć, ale wobec zaistniałej sytuacji, jestem zmuszony pójść na taki układ.

– Tylko czy Kornel zechce go przyjąć? – mina Zalesiaka wyrażała powątpiewanie.

– Nie będzie miał wyjścia, podobnie jak ty, Adam, i podobnie jak ja. Wszyscy musimy dostosować się do warunków, a każdy coś przez to zyska. A straci tylko on. Wreszcie on.

– Nienawidzisz go?

– Tak jak ty, Adam, tak jak ty.

Weszli do domu. Panował tu mrok i absolutna cisza. Ale siedzący za ścianą usłyszeli podwójne kroki.

– Panie Kornelu, powinien pan jeszcze odpoczywać – Jakub Szlagrowski patrzył z troską i lekkim wyrzutem na gramolącego się z łóżka Rączego. – Jest pan osłabiony, a Iwo wyraźnie sugerował dodatkowe badania.

– Nic mi nie jest – mruknął Kornel pod nosem, rozglądając się w poszukiwaniu butów. – Muszę pilnie coś załatwić.

Wstał, zachwiał się lekko i zrobił kilka kroków. Zakręciło mu się w głowie i omal nie upadł na podłogę. Przytrzymał się krzesła. Szlagrowski zauważył, że czoło Kornela w jednej chwili zrosił obfity pot.

– Czy może zamówić mi pan taksówkę? – Rączy trzymał już pod pachą laptop.

Stary jazzman posłusznie wybrał numer popularnej korporacji.

– Nagrywa to pan? – ostry ton Laury Dudniewskiej zaskoczył Krępowicza. Potwierdził ruchem głowy. – Zbigniew Krajski od lat wyprowadzał pieniądze z firmy. Mój mąż miał do niego słabość. Interesy szły dobrze i Abi przymykał oko na te działania Zbyszka. Zresztą tylko on znał się na tyle na rachunkowości, więc nie było sensu go sprawdzać. – Wzięła głębszy oddech. – Przyznam, że i ja uległam urokowi osobistemu Krajskiego. Przez pewien czas byliśmy kochankami. Mąż nie interesował się mną jako kobietą, a ja miałam swoje potrzeby… Zbyszek miał więc sytuację więcej niż komfortową i mógł dowolnie zarządzać majątkiem firmy. Posiadał wszystkie potrzebne plenipotencje. Szczegółów tych jego machlojek nie znam, nie interesowałam się nimi aż na tyle, ale jak sprawdzicie wszystko, przekonacie się, że mam rację. Abi nie orientował się zbyt dobrze w kondycji firmy, ufając Krajskiemu bezgranicznie. Dlatego kiedy powstała fundacja założona przez tych dwóch… – przez chwilę Laura szukała odpowiedniego słowa – kochających inaczej, ucierpiała stabilność DUD-BUD-u. Przelewane pieniądze były spore, jednocześnie Zbyszek, chcąc się zabezpieczyć, przyznawał sam sobie premie, oczywiście za wiedzą Abiego. To odbijało się poważnie na

budżecie, w którym wreszcie ukazało się dno. Krajski najpierw ograniczył środki na odzież ochronną i narzędzia, wprowadził wewnętrzny przepis indywidualnej odpowiedzialności pracowników za ich używanie, następnie zredukował wynagrodzenia pracowników, aż wreszcie doprowadził do tego, że firma nie była zdolna zapłacić im czegokolwiek w oznaczonym terminie. To spowodowało konflikt, częściowo załagodzony obietnicami późniejszych wypłat, renegocjacji kontraktów i tak dalej…

– Czyli Damian Wnęk i Patryk Zawistowski byli właściwie dla Krajskiego niechcianym złem… – Krępowicz łyknął wody i poprawił mundur, co czynił bezwiednie, zwłaszcza w obecności przełożonych lub atrakcyjnych kobiet.

– Dokładnie. Ale pojawił się jeszcze ktoś. Widziałam go tylko raz, kiedy zaprzyjaźniony dziennikarz Adam Zalesiak robił nam zdjęcia podczas… podczas randki – kobieta hardo spojrzała na komendanta, wysyłając czytelny komunikat, że nie wstydzi się zdrady męża. – Kręcił się cały czas koło nas i kiedy zwróciłam mu uwagę, uśmiechnął się, przeprosił i powiedział, że ma tylko słówko do Zbyszka. Faktycznie pogadali przez kilka minut i Krajski był wyraźnie zdenerwowany. Teraz jestem pewna, że on po prostu się bał tego faceta. Pytałam go później o to kilka razy, ale zbył mnie byle czym, a ja nie drążyłam tematu. Jak sobie o tym myślę, dochodzę do wniosku, że tamten mógł czymś szantażować Zbyszka, mógł mieć na niego jakiś hak…

– Jak wyglądał ten mężczyzna? Czy może pani go opisać? – Krępowicz miał to rzadkie uczucie, że pyta o coś istotnego, mogącego przynieść przełom w śledztwie.

– Wysoki, dość przystojny. Miał w uchu taki dziwny kolczyk przedstawiający egipską boginię… Zwróciłam na to uwagę, bo interesuję się trochę biżuterią.

– Kolczyk, powiada pani… A coś bliżej, rysy, może jakieś znaki szczególne – komendant był coraz bardziej podniecony.

– Raczej nie. Facet jak facet. Chyba dobrze po czterdziestce. Nic szczególnego – wydęła pogardliwie wargi. – Nie zwróciłabym na niego uwagi na ulicy.

– Poprosimy potem panią, aby popracowała trochę z naszym specjalistą od portretów pamięciowych. – Krępowicz zmrużył oczy. – A teraz zadam podstawowe pytanie: dlaczego i w jakich okolicznościach pchnęła pani dwukrotnie nożem Zbigniewa Krajskiego?

– Ten skurwysyn na to zasłużył – odparła bez zastanowienia, a jej zimny wzrok sprawił, że komisarza przebiegł lekki dreszcz.

Twarz stojącego w drzwiach Radka Bochenka wyrażała zdumienie i dezaprobatę.

– To znowu ty? Mówiłem ci, że jestem zarobiony… – przerwał, gdyż widok bladego, spoconego jak mysz Kornela, trzymającego pod pachą laptop, sygnalizował, że sprawa jest poważna.

– Musisz znaleźć tu coś, o co będę mógł się zaczepić – wydyszał Rączy, opadając ciężko na fotel. – Chodzi o materiały związane z firmą DUD-BUD. Potwierdzenia przelewów, konta, może jakieś prywatne maile. Wiem, że to potrafisz, Radek.

– A ty wiesz, że zachęcasz mnie do przestępstwa? – próbował bronić się Bochenek.

– Nawet jeśli, to w imię ratowania życia – wysapał w trudem Kornel. Zawroty głowy wróciły i najchętniej położyłby się teraz, zamknął oczy i poczekał, aż długi sen przyniesie ukojenie. Wiedział jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Kątem oka obserwował, jak Radek siada przy stole i podnosi czarną klapę laptopa.

Powieki opadały z nieznaną mu wcześniej intensywnością, poczuł wzbierające ciepło. Zachciało mu się wymiotować, ale nie miał już siły wstać. Osunął się na podłogę i stracił przytomność. Po chwili w kieszeni kurtki Kornela zawibrował telefon.

– Nie odbiera – poinformował Zalesiak, a w jego głosie słychać było wyraźną ulgę. – Dzwonię już któryś raz i nic – dodał gwoli usprawiedliwienia.

– Dzwoń dalej, kiedyś wreszcie odbierze – mężczyzna był nieugięty. Siedział przy stole i kroił chleb. Adam zauważył, że niezwykle sprawnie posługiwał się nożem. – Albo… Mam lepszy pomysł! – facet odsłonił zęby w cokolwiek krzywym uśmiechu.

Wstał, wziął ze sobą talerz z kanapkami. Zadźwięczały wyjmowane z kieszeni klucze.

– Może ktoś inny będzie miał więcej szczęścia – otworzył drzwi i pstryknął usytuowany na zewnątrz pomieszczenia włącznik światła.

Oczom Zalesiaka ukazało się niewielkie pomieszczenie bez okien. Dopiero po chwili dostrzegł dwie ludzkie postaci i wpatrzone w niego dwie pary przerażonych oczu.

Ingrid i Patryk byli dokładnie skrępowani mocnym sznurem. Oboje mieli w ustach kneble zrobione ze szmat.

Mężczyzna postawił talerz z kanapkami na podłodze i zdecydowanym ruchem wyjął knebel z ust Patryka. Następnie uwolnił jedną rękę więźnia, wziął od Adama telefon i wybrał numer telefonu Kornela.

– Porozmawiaj ze szwagrem – uśmiechnął się. – I powiedz mu, że ma natychmiast dostarczyć nam laptop. Miejsce odbioru podamy później. Gdyby się opierał, wyjaśnij, że każda godzina zwłoki będzie was kosztować jakiś element ciała, a zaczniemy od Ingrid… Zrozumiałeś?

Wyraz twarzy Patryka świadczył o tym, że tak. Chłopak zaczął się trząść, ledwo był w stanie utrzymać aparat. Po drugiej stronie odezwał się czyjś głos.

– Tu, Patryk. Kornel, zostaliśmy z Ingrid porwani. Im chodzi o laptop, musisz go przywieźć, bo nas zabiją, jesteśmy w le…

Mężczyzna brutalnie wyrwał telefon z dłoni Zawistowskiego. I zakończył połączenie.

– Ty cwaniaczku – na odlew uderzył chłopaka w twarz. – Widzę, że sam się prosisz, aby zrobić ci małe kuku, jeszcze przed rozpoczęciem negocjacji. Masz ochotę dołączyć do kolegi? Do twojego najdroższego przyjaciela? – pytał, wodząc jednocześnie ostrzem w okolicach pachwin Patryka. – To chyba do niczego już ci się nie przyda. Bo przecież jesteś Damianowi wierny po grób – zaniósł się śmiechem. – Zacznijmy więc naszą zabawę…

Radek Bochenek omal nie wypuścił z dłoni aparatu Kornela. Wcześniej nie próbował nawet go odbierać, ale gdy próby ocucenia Rączego spełzły na niczym, zdecydował się na to.

Teraz stał bezradnie na środku pokoju. To, co usłyszał, wprawiło go w stan rozedrgania. Ostatni raz czuł się tak wiele lat temu, kiedy wraz z innymi demonstrantami znalazł się w pułapce – na zamkniętej z obu stron kordonami ZOMO ulicy Gołębiej. Duszący gaz i złowróżbny, coraz głośniejszy dźwięk uderzeń pałkami o tarcze… A potem nie słyszał już nic. Sparaliżowanie strachem zamieniło się w adrenalinę. Nadludzkim wysiłkiem rozpędził się i wbiegł pionowo po trzymetrowym murze okalającym Instytut Etnologii UJ. Chwycił się krawędzi i zeskoczył w ciemność.

Wtedy skończyło się złamaniem nadgarstka lewej ręki, czego skutki – mimo rehabilitacji – odczuwał do dziś, głównie przy zmianie pogody. Dlatego też musiał zrezygnować z kariery dobrze zapowiadającego się perkusisty.

Obecna sytuacja wymagała nie mniej dynamicznych działań. Wystukał trzy nieparzyste cyfry, ale rozmyślił się. Kornel wspominał o swoich nie najlepszych układach z policją. Przeglądnął listę kontaktów i wybrał numer doktora Orędowskiego.

– Tłumaczę pani, że jestem lekarzem współpracującym z policją i mam prawo uzyskać informację o zdrowiu pacjenta – Orędowski przyjął postawę roszczeniową. – Tu mogą decydować minuty, a nawet sekundy – podniósł w górę wskazujący palec.

Na młodej recepcjonistce szpitala MSW nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia. Dwukrotnie odmówiła patologowi wejścia na OIOM i zajęła się innymi ważnymi sprawami, do których należało przełożenie stosu blankietów z biurka na stolik i po krótkim zastanowieniu – z powrotem na biurko.

Orędowski uderzył pulchną pięścią w kontuar, odwrócił się na pięcie i wyszedł ze szpitala na parking. Włączył telefon i zauważył trzy nieodebrane połączenia z numerem Kornela. Nacisnął zieloną słuchawkę.

Podkomisarz Michał Targoński położył na biurku Krępowicza szkic wykonany specjalnym ołówkiem, przedstawiający twarz na oko czterdziestoletniego mężczyzny z kolczykiem w uchu. Komendant przejrzał już zapis ze szpitalnego monitoringu, na którym odnalazł

dwa interesujące go fragmenty. Odwiedzającym samobójczynię Sylwię Brzeszczuk był nie kto inny, jak facet z portretu pamięciowego. Cel został namierzony, ale o tym człowieku nie wiedział nic.

Również przesłuchanie doktora Czulaka, który przy okazji przyznał się do wszystkich nieprawidłowości w pracy oddziału, omijania procedur i naginania regulaminu, nie dało nic. Ordynator nie znał personaliów mężczyzny, którego regularnie wpuszczał na oddział i od którego – też regularnie – otrzymywał pieniądze. Zresztą doświadczony lekarz rozkleił się pod koniec zupełnie i zapowiedział rychłe podanie się do dymisji.

Dla Krępowicza stało się jasne, że jedyną osobą, która znała i mogła ujawnić nazwisko hojnego fundatora, a jednocześnie podejrzanego w sprawie, był Zbigniew Krajski, przebywający aktualnie w szpitalu i oczekujący na operację. Od niego być może zależało powodzenie całego śledztwa. Trzeba było zatem uzbroić się w cierpliwość.

– Wiedziałem, że jesteś świrem, ale to, co teraz odpierdalasz, to już grube przegięcie – Bochenek patrzył z góry na siedzącego na dywanie Kornela.

– Nie cieszysz się, że wróciłem do żywych? – Rączy wstał z pewnym wysiłkiem. Zawroty głowy ustały, ale wciąż czuł lekki szum w głowie. – Gdzie laptop?

Radek milcząco wskazał głową na stolik.

– Bierz się do roboty, muszę wiedzieć, co zawiera twardy dysk. – Kornel zmrużył oczy. Jego twarz odzyskiwała dawny wygląd, a w oczach pojawił się znany Bochenkowi błysk determinacji. – Nie bardzo się orientuję w tych sprawach, ale słyszałem o przechowywaniu danych w chmurze.

– Najpierw trzeba mieć kod dostępu – ostatkiem sił bronił się informatyk, ale wiedział, że stoi na z góry przegranej pozycji. Łowca poczuł krew i nie odpuści.

Usłyszeli dzwonek do drzwi i po chwili do pokoju wpadł niczym piorun kulisty Orędowski.

– Cały pan jest? – wysapał doktor, przyglądając się Kornelowi.

– Jak pan widzi, doktorze – Rączy obdarzył patologa lekkim uśmiechem. – Właśnie pracujemy z kolegą nad rozwiązaniem pewnego problemu.

– Taaa… Pracujemy… – burknął Bochenek, ale charakterystyczny grymas sygnalizował zadowolenie. – Jest! – wykrzyknął z niespodziewanym entuzjazmem.

Orędowski i Rączy natychmiast pochylili się nad ekranem laptopa.

Podkomisarz Łukasz Krępowicz postanowił osobiście pofatygować się do szpitala. Towarzyszyło mu dwóch policjantów. Jeden z nich miał zluzować kolegę pilnującego Krajskiego, drugi pozostawał do dyspozycji komendanta w razie nieprzewidzialnych, a wymagających błyskawicznego działania okoliczności.

Zaopatrzony w dokument podpisany przez samego siebie, sforsował recepcję, przebiegł przez korytarz OIOM-u, ale drzwi do sali operacyjnej okazały się barierą nie do przebycia.

Lekarz dyżurny zdecydowanie odmówił wpuszczenia policjantów dalej i zalecił czekanie na niewygodnych, drewnianych krzesełkach. Po pół godzinie poinformował tylko lakonicznie, że pacjent będzie żył i choć stracił ponad dwa litry krwi, jego stan wydaje się stabilny. Nie potrafił natomiast odpowiedzieć na pytanie, kiedy Krajski, powoli wybudzający się po operacji, będzie mógł odpowiedzieć na pytania policji.

Komendant zastanawiał się właśnie, czy poświęcić swój cenny czas na nie wiedzieć jak długie czekanie, kiedy na ekranie telefonu wyświetliła mu się pucułowata twarz Orędowskiego.

– Zabiłeś go – grobowy głos Zalesiaka zadudnił na drewnianej werandzie. – Uderzyłeś go w głowę i zabiłeś… – zaczął się trząść jak w febrze. – Jesteś jebanym mordercą, a ja… twoim wspólnikiem.

– Zamknij ryj! – zgromił go mężczyzna. – Nie zachowuj się jak stara baba. Jedziemy na tym samym wózku. Zaraz zadzwonisz jeszcze raz do Rączego. Ktoś, kto odebrał telefon, jest z pewnością w posiadaniu laptopa. Jeśli nawet Rączy… – zawahał się – jest chwilowo

niedysponowany, możemy negocjować z kimś w jego zastępstwie. Może to nawet lepiej.

– Sam sobie dzwoń, ja to pierdolę. I tak nas złapią, a mnie pierwszego, bo przecież Kornel mnie widział.

– Ale teraz nie żyje – kpił w żywe oczy mężczyzna. – Sam tak powiedziałeś przed chwilą. Bierz telefon i dzwoń! Wiesz, co masz powiedzieć.

Komórka Rączego zawibrowała, czyniąc na śliskim blacie stołu ćwierć obrotu. Bochenek odebrał z niepewną miną.

– Czy rozmawiam z Kornelem Rączym? – głosowi w słuchawce też brakowało pewności.

– Nie. Z Kornelem już nie porozmawiasz, morderco – Radek starał się być przekonujący. – Chodzi wam o laptop… Oj, drogo będzie was kosztował – powiedział spokojnym głosem.

– Mamy kobietę i jej brata – Zalesiak uciekł się już na wstępie do ostatecznego argumentu. – Jeśli nie dostarczycie nam laptopa w oznaczonym terminie, co kwadrans będziemy obcinać im po jednym palcu. Raz jej, raz jemu…

– Będziemy? – Bochenek czuł, jak po plecach spływa mu strużka potu. – To jest was więcej? A w ogóle z kim ja rozmawiam? Czy może ze słynnym redaktorem Zalesiakiem?

– Nie bądź taki ciekawy, bo kociej mordy dostaniesz – odparował Adam, ale i on miał mokre czoło. – Skontaktujemy się niedługo i powiemy, gdzie macie dostarczyć laptop.

– Chwila, chwila… – Radek chciał zyskać na czasie. – Chcę usłyszeć Ingrid i Patryka. Nie mam pewności, że żyją – ciągnął, ale rozmówca zdążył się rozłączyć.

– Udało się? – Kornel z nadzieją wpatrywał się z zielone, nieregularne linie tańczące na imponujących rozmiarów ekranie komputera.

– Nie do końca – Bochenek stropił się. – Rozmowa była zbyt krótka, ale mam tu taką aplikację, która może wyszukać miejsce, skąd dzwoniono z dokładnością do pół kilometra. Tylko że to może potrwać. Właśnie wprowadzam pewne usprawnienia w jej funkcjonowaniu.

– Do pół kilometra… – gwizdnął z uznaniem Orędowski. – Zakładając, że przetrzymują ich w jakiejś piwnicy albo wiejskiej chałupie, szopie, stajni… – kombinował.

– Raczej w ziemiance lub czymś podobnym – Rączy zmarszczył brwi, co było symptomem intensywnego procesu myślowego. – Na nagraniu wyraźnie słychać śpiew ptaków, a ten dźwięk – uniósł palec w górę, uważnie nasłuchując – to stukanie dzięcioła. Dlatego myślę, że będzie to teren leśny, obstawiam opuszczoną leśniczówkę lub miejsce wykorzystywane przez myśliwych jako baza wypadowa przed polowaniem.

– Kurwa, wciąż mieli i mieli! – Bochenek z dezaprobatą przyglądał się ruchliwym zielonym liniom. – Tam jest słaby zasięg, dlatego trwa to tak długo. Głos jest przerywany, nie można namierzyć precyzyjnie jego źródła.

– Z całą pewnością rozmawiałeś z Zalesiakiem – Kornel wstał z fotela i rozpoczął wędrówkę po pokoju. – Ten drugi wciąż pozostaje w cieniu. Pytanie, dlaczego? Albo jest on nam, a może tylko mnie, znany, albo, i to jest ta gorsza opcja, chce pozostać do końca anonimowy i jako *no name* zniknąć w odpowiednim momencie. Zakładam bowiem, że po tym, co zrobił, będzie musiał uciekać i to bardzo daleko.

– Panie Kornelu, czy nie byłoby lepiej, gdybym teraz pilnował Krajskiego w szpitalu? – Orędowski spojrzał na zegarek. – Ekipa Krępowicza z pewnością już tam jest. Może uda mi się tam jakoś wślizgnąć pod pozorem oględzin lekarskich – Rączy ujrzał ognik przebiegłości w oczach patologa.

– Oczywiście, panie doktorze. Proszę iść, a my będziemy czekać na następny telefon. Radek ogarnia kopiowanie danych i sprawdza lokalizację naszego rozmówcy.

– Niestety w dalszym ciągu nic… – Bochenek założył okulary. Teraz wyglądał nobliwiej. „Mógłby być asystentem do spraw elektronicznych Orędowskiego” – pomyślał Kornel.

– Zostaniesz tu i za kwadrans jeszcze raz zadzwonisz do nich. Bardzo możliwe, że skontaktowali się już z policją i namierzają nas. Dlatego rozmawiaj możliwie krótko, nie dłużej niż minutę. Potem

kieruj się na zachód. Przejdziesz około trzech kilometrów. Przy drodze będziemy czekać na ciebie – mężczyzna wydał polecenie i zasunął szybę w samochodzie.

Bordowy VAN z niedbale zamalowanym czarną farbą logo DUD-BUD-u potoczył się wolno leśnym duktem i zniknął między drzewami.

Zalesiak wpatrywał się jeszcze przez chwilę w tamtą stronę, a kiedy zapanowała cisza przerywana tylko odgłosem pracującego dzięcioła, wybrał numer policji.

– Numer nie odpowiada. Widocznie ciągle zmieniają karty w aparacie. Wydaje mi się, że coś kombinują – Bochenek łyknął piwa prosto z puszki i przetarł ręcznikiem spoconą twarz.

– Mózgiem jest ten drugi. Zalesiak jest zbyt głupi i zbyt tchórzliwy, żeby poważyć się na coś takiego – analizował Rączy. – Owszem, jakiś donosik, małe świństewko, ale to za gruba sprawa na Adasiowi móżdżek.

– Nie domyślasz się, kim może być nasz Iks? – Radek użył bezwiednie terminologii Orędowskiego.

– Nikt mi nie przychodzi do głowy – Kornel bezradnie rozłożył ręce.

Orędowski niemal zderzył się w drzwiach szpitala z Krępowiczem. Podekscytowany podkomisarz ledwie raczył zauważyć patologa. Obrzucił go nieco zdziwionym spojrzeniem.

– Pan tutaj, o tej porze? Krajski żyje, więc raczej…

– Przypominam, że nie jestem pana podwładnym i nie zamierzam się tłumaczyć z mojej tu obecności – odparł doktor urażonym tonem. – Widzę, że pan się spieszy, więc nie zatrzymuję.

– A ja przypominam o obowiązku współpracy śledczej. Zatajanie faktów podchodzi pod odpowiedni paragraf, a pan się tego dopuścił – zripostował hardo Krępowicz. – Nie czas teraz na dłuższe rozmowy, ale niewykluczone, że w najbliższych dniach przesłucham pana na okoliczność szczególnych działań noszących znamiona prywaty. Pana i pana przyjaciela Rączego.

– Ty gnoju, śmiesz mówić mi o prywacie? – nie wytrzymał patolog. – Jeszcze w gacie srałeś, jak ja… – zapowietrzył się i oparł o barierkę przy schodach. – A co robi twój brat? Przynosi wstyd całej komendzie, ba, całej policji! To ma być rzecznik prasowy?! Wiem, czego dopuściłeś się, załatwiając mu tę posadę!

Mina Krępowicza mówiła, że doktor trafił w sedno. Podkomisarz szybko zbiegł po schodach i wsiadł do właśnie podjeżdżającego pod szpital radiowozu.

Bordowy VAN wykonał manewr okrążający i drogą wewnętrzną udał się na wschód. Po ośmiu kilometrach skręcił głębiej w las. Było tu bardziej dziko, dalej od ludzkich szlaków. Jako dziecko lubił się tu zaszywać. Bawił się samotnie w Robinsona Crusoe albo wcielał w Tecumseha, wielkiego wodza dzielnego plemienia Szaunisów zdradzonego przez Brytyjczyków. Czarne wampumy umieszczone na drzewach, głosiły nową wojnę. Nigdy nie zapraszał do zabawy kolegów. W późniejszym wieku bywał tu rzadko.

Raz tylko, w porywie uczucia, przywiózł ją w te leśne ostępy, aby pobyć z nią sam na sam. Tego dnia była jakaś spięta, obca. Nie odwzajemniała gestów czułości, którymi ją obdarzał. Czy bała się go? Chyba tak, bo o tym, że to koniec, powiedziała mu dopiero po powrocie do miasta.

W lesie nie czuła się pewnie, jej brak zaufania drażnił go, ale też podniecał, kusił. Mimo to odwiózł ją do domu, a potem, w tamten wiosenny wieczór, długo stał pod jej blokiem, gapiąc się w ciemne już okno.

Samochód zatrzymał się między wysokimi bukami. Dobrze pamiętał to miejsce, w którym ostatni raz – nie licząc okresu szpitalnego – trzymał ją za rękę, próbując zajrzeć głęboko w oczy. Ale z uporem odwracała głowę, jakby chcąc uchronić swoją duszę, bo przecież oczy są jej zwierciadłem, to każde dziecko wie.

Wysiadł z auta i otworzył bagażnik. Patryk był w dalszym ciągu nieprzytomny, widocznie musiał go zbyt mocno uderzyć, kiedy ten po raz kolejny nie chciał zastosować się do polecenia. Ingrid – związana i zakneblowana – patrzyła na niego z nienawiścią. Był przekonany, że z chęcią obrzuciłaby go stekiem najbardziej

obraźliwych wyzwisk, a potem w akcie desperacji rzuciłaby się na niego jak tygrysica i przegryzła mu gardło.

Ale dzisiaj teatrum nie będzie. Dzisiaj wszystko odbędzie się sprawnie i szybko, a potem już tylko ciemność i wielki ból istnienia. Ciemność dla niego, a cierpienie dla Kornela, człowieka, który tak bardzo mu imponował i którego tak bardzo nienawidził.

Lecz teraz on zaistnieje na kartach kryminalistycznych opracowań, on stanie się wiecznym bohaterem – jak Tecumseh, wielekroć zdradzony, przeżywający w samotności wściekłość i upokorzenie. Kiedy odchodził, jedyny czerwonoskóry znający Szekspira, płakały drzewa, osowiałe chodziły zwierzęta, a wiatr grał na górskich szczytach melodię śmierci.

Po nim nikt nie zapłacze. Być może Rączy poświęci mu jedną ze swych słynnych pogadanek o ludzkich bestiach... O ile, wiedziony nieutuloną rozpaczą, nie trafi wcześniej do piekła.

Wyciągnął z bagażnika skrępowanego Patryka, rzucił na ziemię jak worek ziemniaków i trącił go nogą. Chłopak żył, ale dalej był nieprzytomny. Gorzej poszło z Ingrid, zapierającą się z całych sił, bezskutecznie próbującą się uwolnić i wydającą się z siebie stłumione dźwięki. Wreszcie usadził ją, opierając plecami o koło VAN-a, aby mogła świadomie uczestniczyć w swojej ostatniej drodze.

Pod tylnym siedzeniem znalazł łopatę z metalowym trzonkiem. Rozejrzał się na boki i przystąpił do kopania.

GPS bezbłędnie wskazywał drogę. Dwa radiowozy jadące od strony Kokotowa skręciły na południe i zagłębiły się w las. Do celu było już blisko i Krępowicz czuł podniecenie towarzyszące mu zawsze, gdy sprawa, nad którą pracował, zbliżała się do końca. Tym razem jednak stan umysłu podkomisarza był bliski euforii. Co chwila wybiegał wyobraźnią daleko naprzód i siłą woli wracał do teraźniejszości.

Dukt skończył się i pierwszy z radiowozów zatrzymał się u wjazdu na drogę wewnętrzną. W tej samej chwili z zarośli wyłoniła się postać Zalesiaka.

Karl nieopatrznie dotknął skroni i syknął z bólu. Oderwany w ten sposób rdzawy strup pozostał w dłoni i spowodował ponowne krwawienie. Zacisnął zęby ze złości. Już wczoraj obiecał sobie, że pozabija tych gówniarzy, nierobiących sobie nic z munduru niemieckiego żołnierza.

Znający teren chłopcy potrafili ukryć się w zaroślach, aby potem znienacka wysłać w kierunku patrolującego teren deszcz kamieni. Zazwyczaj kanonada chybiała celu, ale wczoraj jeden z kamieni trafił go w skroń.

Właściwie powinien do nich strzelać, ale postanowił, że rozliczy się z każdym indywidualnie. Dlatego, zamiast iść jak zawsze utartą dróżką wzdłuż rzeki, zszedł nieco niżej i brodząc po pas w wysokich trawach, wypatrywał małoletniego, choć bezczelnego wroga.

Wysiłek opłacił się i po kilku minutach ujrzał jednego z chłopców na drugim brzegu. Stał boso, w samej koszuli, zabawiając się puszczaniem na leniwie płynącą wodę papierowych statków.

Zawrócił, kierując się w stronę niedużego mostku. Stamtąd był niewidoczny. Zatoczył koło i po chwili był już kilkadziesiąt metrów od niczego niespodziewającej się ofiary.

Stanął możliwie blisko, wynurzając się zza kępy wysokich krzaków, zdjął karabin z ramienia i odbezpieczył broń.

Szczęk zamka spłoszył chłopca. Odwrócił się ze strachem w oczach i zrobił ruch w stronę rzeki, ale lufa wycelowana prosto w niego powstrzymała go.

– *Komm hier*[4] – powiedział spokojnie Karl, a kiedy małolat podszedł, wymierzył mu siarczysty policzek. Dzieciak przewrócił się, ale zaraz próbował wstać. Uniemożliwił mu to, kładąc obutą w ciężki but nogę na piersi. – *Schließlich habe ich dich, du kleiner Schwanz. Erinnerst du dich mich?*[5] – spytał, lecz chłopak zaczął się trząść jak w febrze. – *Stehe auf! Stillgestanden!*[6] – rozkazał po wojskowemu i chłopiec, widocznie coś rozumiejąc, posłusznie podniósł się z trawy i stanął w pozycji zasadniczej.

Karl wyjął zza cholewki buta czarny, gruby pejcz. Zamachnął się i uderzył go mocno w twarz. Chłopiec złapał się machinalnie za policzek. Między palcami brudnych rąk pojawiły się strużki krwi, a z oczu trysnęły niekontrolowane łzy.

– *Du weiß, daß ist die kleinste Strafe. Ich sollte dich eigentlich töten* – pochylił się nad nim w udawaną troską. – *Sag mal deinen Kameraden, daß jeder, der die Hand gegen einen deutschen Soldaten erhebt, sofort erschossen wird* [7].

Chłopiec siedział na trawie i cicho chlipiąc, trzymał się za policzek. Jego twarz tonęła w brudnej, czerwono-czarnej mazi.

– *Du wirst ein Andenken haben*[8] – powiedział Karl i na odchodnym kopnął dzieciaka z całej siły w plecy. Coś chrupnęło w okolicy żeber. Mały jęknął, ale nie krzyknął. Odwrócił się i patrzył na odchodzącego żołnierza załzawionymi oczyma.

---

4 *Komm hier* (niem.) – Chodź tu.

5 *Schließlich habe ich dich, du kleiner Schwanz. Erinnerst du dich mich?* (niem.) – Mam cię wreszcie, mały chuju. Pamiętasz mnie?

6 *Stehe auf! Stillgestanden!* (niem.) – Wstawaj! Baczność!

7 *Du weiß, daß ist die kleinste Strafe. Ich sollte dich eigentlich töten. Sag mal deinen Kameraden, daß jeder, der die Hand gegen einen deutschen Soldaten erhebt, sofort erschossen wird* (niem.) – Wiesz, że to najmniejsza kara. Właściwie powinienem cię zabić. Powiedz swoim kumplom, że każdy, kto podniesie rękę na niemieckiego żołnierza, zostanie natychmiast rozstrzelany.

8 *Du wirst ein Andenken haben* (niem.) – Będziesz miał pamiątkę.

# 9

Ktoś zadzwonił do drzwi. Kornel zerwał się z fotela, spojrzał przez wizjer i szybko otworzył. W progu stała Gabi.

– Dzień dobry. Pewnie się mnie nie spodziewałeś, ale mam coś, co chyba należy do ciebie.

Wręczyła zaskoczonemu Rączemu jego własny dowód osobisty. Widocznie musiał wysunąć się z kieszeni podczas walki z Maksem.

– Znalazłam, więc oddaję. – Dziewczyna weszła śmiało do mieszkania i ciekawie rozglądnęła się wokół. – Tak jak myślałam. Książki, płyty... Tak mieszka pan redaktor Rączy. Zrobisz mi mocnej kawy? Należy mi się chyba jakieś znaleźne. – Okręciła się wokół własnej osi, chyba tylko po to, aby mógł w pełni docenić walory jej, musiał to przyznać, nienagannej figury.

Zielone glany firmy Martens doskonale korespondowały z brązem opalonych nóg i krótką, popielatą sukienką, na którą narzuciła ramoneskę. Kruczoczarne, z pewnością farbowane włosy dopełniały całości.

– Jestem ci bardzo wdzięczny. – Kornel włączył elektryczny czajnik z gorącą wodą. – Może być sypana?

– Wyłącznie – odpowiedziała z rozbrajającym uśmiechem i zajęła miejsce na kanapie.

Obserwowała go uważnie, jak krzątał się po aneksie kuchennym, przygotowując kawę. Kiedy wreszcie usiadł naprzeciw niej, zagadnęła:

– Jesteś jeszcze zainteresowany sprawą tych morderstw? Wiesz, wczoraj nie bardzo mogłam się rozgadać na te tematy, było zbyt dużo ludzi, a nie wszystkich jeszcze dobrze poznałam.

– Myślałem, że nie macie przed sobą tajemnic.

Roześmiała się cokolwiek hałaśliwie i zaraz potem konfidencjonalnie ściszyła głos:

– Redaktorze, jest pan aż tak naiwny, a może aż tak zwapniały? Od dwóch miesięcy odwalam zajebistą wcieleniówkę. Jak to opiszę, moim wykładowcom spadną buty… Oni, to znaczy przynajmniej tych trzech, którym pokazałeś wczoraj, ile im jeszcze brakuje, ufają mi w stopniu absolutnym. Biorę udział w międzynarodowym programie unijnym dla przyszłych dziennikarzy śledczych, polegającym na infiltracji niebezpiecznych i nietypowych środowisk: gangów, subkultur, różnego typu nieformalnych i nie do końca legalnych związków i organizacji, ale też partii politycznych i Kościołów. Totalna inwigilacja w czasie, kiedy każdy z nas jest podglądany, sprawdzany, oceniany i ograniczany – wyrecytowała, prezentując rząd śnieżnobiałych zębów. – Oczywiście potrzebny był mi solidny research. Na jego podstawie zakwalifikowałam się do programu. Było nas ponad tysiąc w skali Europy, a zostało kilkanaście osób, w tym dwie z Polski, z Krakowa tylko ja…

– Gratuluję – Kornel westchnął cicho, wspomniawszy swoje, dość siermiężne i, co tu kryć, mało spektakularne początki pracy w zawodzie. – A jaki jest właściwie cel tego programu?

– Najlepsze prace zostaną opublikowane w „Press Review”, w dodatku poświęconym kryminalistyce jako domenie niektórych dziennikarzy. Zwycięzcy otrzymają sporą gratyfikację finansową, równą kilkuletnim poborom na poziomie Europy Zachodniej, a także możliwość wyboru uczelni, na której chce się studiować. Już samo dojście do etapu praktycznego daje duże możliwości, ale ja nie spocznę na laurach. Chcę wygrać ten konkurs.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem i mogę szczerze to wyznać, zazdroszczę ci takich osiągnięć w tak młodym wieku. W naszych czasach było to z wielu względów niemożliwe – Rączy ponownie westchnął. W takich chwilach czuł jakiś dziwny, nieokreślony smutek.

– Ale jednak udało ci się zaistnieć, nawet w niesprzyjających czasach. Czytałam twój biogram.

– Skoro tak uważasz, przez grzeczność nie zaprzeczę – zażartował. – Pokadziliśmy sobie trochę, a teraz powiedz, co

naprawdę, poza dowodem, cię do mnie sprowadza.

– Wczorajsza wasza wizyta dała mi dużo do myślenia. Wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, ale teraz pewne rzeczy wydają mi się składać w całość. Kiedy zaczęłam aspirować do załogi, która sama siebie nazwała WE ARE THE BEST AND FUCK THE REST, bo faktycznie składa się z niegłupich młodych ludzi skupionych wokół, moim zdaniem, nie do końca jeszcze sprecyzowanej, wolnościowej idei, musiałam nieźle się nagimnastykować, aby przekonać ich do siebie. Po pierwsze, podobnie jak ty, jestem po kursach krav magi. Nie sądzę, abym cię mogła pokonać w walce wręcz, ale wciąż ćwiczę i doskonalę się w tym zakresie. Po drugie, zorganizowałam z powodzeniem napad na złodzieja notorycznie okradającego staruszki. Po trzecie, zostałam nieformalną szefową grupy, jako osoba kreatywna…

– W czasach mojego dzieciństwa był taki program w telewizji, nazywał się „Teleranek". I tam prowadzono akcję pod nazwą „Niewidzialna ręka". Młodzi ludzie łączyli się w zakonspirowane grupy, aby pomagać głównie osobom starszym, samotnym, niepełnosprawnym. Coś tam naprawili pod nieobecność gospodyni, przynieśli węgiel z piwnicy, porąbali drewno. Taka oddolna inicjatywa nieobliczona na poklask…

– O, to ciekawe! – w oczach Gabi pojawiło się autentyczne zainteresowanie. – Im chyba chodzi o coś podobnego, ale w tym wypadku ma to mocny trip antysystemowy. Stąd ta agresja. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Mianowicie kilka dni przed morderstwem tego dewelopera…

– Abelarda Dudniewskiego – wtrącił Kornel.

– …pojawił się na Lubelskiej dziwny facet, wydaje mi się, że mógł być w twoim wieku. Najpierw rozmawiał o czymś z Maksem, ale nie doszli do porozumienia. Nie wiem, czy znali się wcześniej, w każdym razie Maks mocno się wkurzył. Ale ten facet był uparty i tym razem omotał takiego chłopaka, którego nazywali Seta. Poszli gdzieś razem i potem już nigdy nie widziałam żadnego z nich. Dopiero wczoraj dodałam dwa do dwóch. Ten cały Seta to moim zdaniem czynny heroinista. Sposób mówienia, ruchy. Trochę znam się na

tym, bo swego czasu pracowałam jako wolontariuszka w ośrodku MONAR-u.

– A ten facet? Ten, który rozmawiał z Maksem i Setą? – podniecenie Rączego sięgnęło w tym momencie zenitu.

– Dobrze utrzymany brunet po pięćdziesiątce. W uchu nosił taki dziwny kolczyk. Chyba egipski. Przedstawiał jakąś postać kobiecą. Ale nie bardzo orientuję się w mitologii – wyznała Gabi z rozbrajającym uśmiechem.

– Pytałaś Maksa o temat rozmowy z tym gościem?

– Tak, ale zbył mnie. Powiedział tylko, że Seta jest totalnym zjebem, i jeszcze coś w rodzaju „ta zabawa nie jest dla dziewczynek" czy jakoś tak. To z jakiejś piosenki?

Kilka godzin później Kornel dotarł do starego budynku u zbiegu Łokietka i Friedleina, miejsca dziecięcych zabaw: gonitw po dachu, zwiedzania zawalonych papierami wnętrz, które – w zależności od przyjętej konwencji – były terenem walk partyzanckich z Niemcami lub westernowym saloonem napadniętym znienacka przez Apaczów. Indiańskie nawoływania mieszały się z pojedynczymi niemieckimi słowami zasłyszanymi w filmach, co jako żywo przypominało dzieło połączonych sił kinematografii dwóch nieistniejących dziś państw – NRD i Jugosławii (przy udziale kilku polskich aktorów).

Stara willa nie zmieniła się od tamtych czasów, z tą różnicą, że wejście do środka było teraz niemożliwe. Solidna brama z wielką kłódką i wewnętrzna krata odgradzały nieistniejący świat od uliczno-samochodowej rzeczywistości.

Jednak Rączy pewnie wmaszerował na teren posesji, okrążył budynek i pochylił się nad stojącym ukośnie względem podłoża sporym kawałkiem dykty. Odciągnął ją na bok i odnalazł okienko piwniczne. Było na wpół otwarte. Informacja uzyskana od Szczygła dawała pewną nadzieję. Według zastępcy komendanta w ostatnich dniach widziano kręcącego się tu Setę.

Kornel spróbował się wcisnąć w otwór, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Gabaryty ciała okazały się przeszkodą nie do pokonania.

Odszedł w głąb podwórka. Z tej perspektywy mógł obserwować okienko, będąc sam niezauważony, pogrążony w ciemności. Choć nie miał żadnej pewności, że dziki lokator odwiedzi dzisiaj swoją sypialnię, postanowił poczekać.

Po godzinie opadły go poważne wątpliwości. Seta – figurujący w policyjnej bazie danych jako Aleksander Setkowicz – mógł być praktycznie wszędzie, czyli nigdzie, i czekanie na niego akurat tutaj miało mniej więcej taki sens, jak postawienie u bukmachera na hipotetyczne zwycięstwo piłkarzy Strażaka Kokotów nad monachijskim Bayernem.

Coś jednak sprawiało, że Rączy wciąż tkwił nieruchomo przy murze, obserwując okolicę. Wszystko ma jednak swój kres i Kornel z głębokim westchnieniem zdecydował się w końcu opuścić posterunek.

Okrążył willę i przystanął, chowając się za rozłożystym bukiem. Usłyszał jakiś szelest. Ktoś zbliżał się od strony Łokietka. Szedł cicho, jakby czając się w mroku, ale Kornel słyszał tłumione kroki. Błysnęła latarka. Przez sekundę Rączy ujrzał postać stojącą przed głównym wejściem i majstrującą przy kłódce. Pokonanie dystansu kilkunastu metrów, tak aby tamten się nie zorientował, było zwyczajnie niemożliwe. Opuszczenie wygodnego punktu obserwacyjnego wiązało się z natychmiastową dekonspiracją, dawało ponadto przewagę przeciwnikowi, który mógłby z łatwością uciec.

Tymczasem kłódka została otwarta, drzwi uchylone i nocny przybysz zmagał się aktualnie z zamkiem kraty wewnętrznej. Z tamtego miejsca nie mógł zobaczyć podwórka. Kornel błyskawicznie prześlizgnął się w stronę budynku i ukrył za jego ścianą od strony Friedleina.

Teraz wyraźnie słyszał ciche przekleństwa skierowane w stronę niepokornego zamka. Od mężczyzny, którego twarz skrywał kaptur kurtki, dzieliło go w prostej linii około czterech metrów.

Szczęk kraty był sygnałem do ataku. Rączy dopadł mężczyznę w momencie, kiedy ten stał do niego tyłem. Mocny uchwyt na wysokości szyi, zmuszający zaatakowanego do stuprocentowej uległości, jednoczesne podcięcie nogą oraz element zaskoczenia spowodowały, że facet, zakląwszy tym razem znacznie głośniej,

zwalił się na kolana. Zdezorientowany ledwie zarejestrował szybki ruch napastnika i po chwili prawa dłoń została spięta z kratą za pomocą kajdanek.

Kornel obszukał pobieżnie kieszenie kurtki mężczyzny, a nie znalazłszy w nich niczego niebezpiecznego, zerwał kaptur z głowy „aresztowanego".

– Cześć, Seta – zwrócił się do niego, trzymając go mocno za włosy i przekręcając głowę w bok.

– Ja nie jestem Seta – cichy jęk klęczącego mógł wydać się w tej sytuacji wiarygodny.

– Z twoim ojcem często jeździliśmy na ryby. Trzeba przyznać, że Tadziu miał znacznie więcej szczęścia. Zawsze coś złapał i nie musiał potem kupować w sklepie, aby wykazać się przed żoną, to znaczy twoją mamą – doktor Orędowski spojrzał na poważną i skupioną twarz posterunkowego Nalepy. – Te ryby nieraz nas ratowały, bo, jak to nad rzeką, zawsze coś się chlapnęło dla kurażu.

Nalepa uśmiechnął się lekko, bardzo lekko, na tyle lekko, na ile pozwalała mu ważna misja pilnowania pacjenta, Zbigniewa Krajskiego, który szczęśliwie przeszedł operację.

– Panie doktorze, naprawdę nie mogę. Szef by mnie udusił – tłumaczył się przed patologiem. – Wie pan zresztą, że on nikogo nie lubi i nikomu nie ufa – ostatnie zdanie posterunkowy wypowiedział szeptem, rozglądając się po pustym korytarzu i wyraźnie przebierając nogami.

– A gdyby tak… – szelmowska mina Orędowskiego świadczyła o tym, iż doktor nie miał zamiaru kapitulować. – A gdyby zachciało ci się odlać. Co wtedy?

Nalepa milczał. Precyzyjnie sformułowany rozkaz nie zawierał wyjaśnienia, jak należałoby zachować się w takim przypadku.

– Czy komendant zabronił ci lać?

– Nie. Chyba nie… – posterunkowy zamyślił się. – Ale też nie mówił, żebym…

– *To piss or not to piss, this is a question* – sparafrazował patolog, a wobec braku reakcji młodego policjanta, dokończył już po polsku: – Możesz spokojnie, zgodnie z regulaminem, iść odcedzić kartofelki i

nie spieszyć się zbytnio. A jak wrócisz, opowiem ci, co wyprawialiśmy z twoim tatą. On miał niezwykłe poczucie humoru.

Po kilku minutach spotkali się ponownie przed drzwiami sali, gdzie po operacji odpoczywał Krajski. Zarówno doktor, jak i Nalepa byli w znakomitych humorach. Pierwszy, bo zdobył właśnie istotną dla śledztwa informację, drugi, bo pozbył się palącego problemu niezauważony przez nikogo.

– Witam, panie Kornelu – tubalny głos patologa zadudnił w słuchawce. – Wydaje mi się, że zbliżamy się do rozwiązania zagadki. Wracam właśnie od Krajskiego i proszę sobie wyobrazić... – dalsze słowa stały się niewyraźne, a po chwili połączenie zostało przerwane.

Rączy spróbował oddzwonić, ale usłyszał jedynie wiadomość o czasowej nieosiągalności abonenta.

– Zatem posłucham teraz ciebie, Maks – zwrócił się do blondwłosego chłopaka. – Nie masz do mnie szczęścia... A więc jeszcze raz: skąd masz klucze do willi?

– Mówiłem już. Od tego faceta, tego z kolczykiem. To miała być forma zachęty...

– Zachęty do czego? – Kornel wciąż dłubał w telefonie, starając się skontaktować z doktorem.

– Dowiedział się jakoś o nas i kilka razy przyszedł na Lubelską. Jakoś tak, od słowa do słowa, zgadało się, że nie lubimy deweloperów, którzy wciskają się wszędzie, korumpują urzędników i generalnie działają na szkodę miasta.

– Pięknie – Rączy kilka razy zaklaskał w dłonie. – I dostałeś propozycję, aby jednego z tych deweloperów wyeliminować...

– No tak... Oczywiści nie zgodziłem się, nie jestem przecież mordercą. Gość nie nalegał, powiedział nawet, żebym zapomniał o całej sprawie.

– Czy inni też otrzymali taką propozycję?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że brany pod uwagę był tylko ten cały Seta, który wziął się właściwie znikąd. Po prostu pojawił się pewnego wieczoru, poczęstował ziołem i potem przychodził od czasu do czasu.

– Ten facet z nim rozmawiał?

– Tak. Ale potem obydwaj gdzieś zniknęli. Dlatego, kiedy przeczytałem o morderstwie tego dewelopera, zacząłem kojarzyć fakty.

– Ale na policję z tym nie poszedłeś. – Rączy z rezygnacją schował telefon do kieszeni.

– Nie. Nie lubię policji. Miałem z nimi nieraz do czynienia. Poza tym zwyczajnie zdygałem. Jeśli ktoś proponuje pieniądze za morderstwo, sam musi być niebezpieczny. Nie wiadomo, jakie ma powiązania. A mnie życie jeszcze miłe.

– Gdzie może być teraz Seta? – zapytał Rączy, bardziej pro forma, niż licząc na konkretną odpowiedź.

– Nie mam pojęcia. Właściwie prawie go nie znam.

– A tutaj go nie widziałeś?

– Nigdy, ale śpię tu dopiero drugą noc. Ktoś tu bywał przede mną. W piwnicy są puste butelki i pety.

– Uwolnię cię, ale musisz mi obiecać, że nie uciekniesz. Ponieważ jednak rzadko wierzę takim obietnicom, zrobię zdjęcie twojego dowodu osobistego. Wiesz, tak na wszelki wypadek, Maks – Kornel klepnął go w ramię.

Trzymając się ścian, zeszli ostrożnie do piwnicy. Rozchodzące się w dwie strony korytarze prowadziły do zbudowanych symetrycznie pomieszczeń. To po lewej było otwarte, ale poza starymi szmatami i kartonami nie znaleźli tam niczego ciekawego. Pomieszczenie po prawej, do którego prowadziły ciężkie, metalowe drzwi, było zamknięte na kłódkę. Prawdopodobnie w latach czterdziestych pod wpływem niemieckiej propagandy ówczesny właściciel postanowił zaanektować to miejsce na prywatny schron przeciwatomowy.

Maks za trzecim razem znalazł właściwy klucz. Trochę czasu zajęło otworzenie kłódki i mocno zatrzaśniętych drzwi. Odsunęli je wspólnymi siłami i natychmiast uderzył ich potężny odór gnijącego ciała. Mimo obrzydzenia Rączy zrobił krok w przód i omiótł pomieszczenie latarką. Pod jedną ze ścian siedział mężczyzna, którego głowa, praktycznie odcięta od korpusu, zwisała nieruchomo na lewym ramieniu. Wszędzie pełno było zaschniętej krwi, a obok zwłok leżał duży kawałek okiennego szkła w kształcie trójkąta.

Telefon wyrwał Krępowicza z czułych objęć Morfeusza. Krew w czaszce komendanta zaczęła buzować na dobre, kiedy usłyszał słowo „morderstwo". Po kilkunastu minutach w rozwidleniu Łokietka i Friedleina zaroiło się od policjantów. Wstrzymano ruch na Wrocławskiej, a zaciekawieni mieszkańcy okolicznych kamienic cisnęli się do okien, niektórzy nawet wylegli na ulicę.

Rączy postanowił nie ujawniać się na razie. Po wykonaniu szybkiego telefonu na policyjną, anonimową infolinię oddalił się możliwie prędko z miejsca zdarzenia. Maks uczynił to samo.

Zbudzony w środku nocy doktor Orędowski pojawił się na miejscu zbrodni jako jeden z pierwszych, ale wcześniej zdążył zadzwonić do Kornela. Przez chwilę obaj przekrzykiwali się, nie mogąc ustalić, czyja rewelacja jest ważniejsza i godna pierwszeństwa. Wreszcie patolog, zdenerwowany werbalnym patem, ryknął w słuchawkę:

– Krajski podał nazwisko!

Rączy zamilkł i doktor słyszał tylko jego ciężki oddech.

– Niech pan mówi! – jęknął.

– Prochowski. Marcin Prochowski. Mówi to panu coś?

Krótkie i lakoniczne „tak" przekonało doktora, że Kornelowi zdobyte w wielkim trudzie personalia człowieka, którego szukali, mówiły bardzo wiele.

Nie pamiętał dokładnie, kiedy to się zaczęło. Już w szkole średniej objawił swoje talenty, polegające na umiejętności manipulacji ludźmi. Potrafił na przykład w szybkim czasie skłócić dwóch dobrych przyjaciół, doprowadzając do sytuacji, w której spierali się o rzecz zgoła nieważną, jednak na tyle istotną, że powrót do wcześniejszych, wzajemnie dobrych relacji był często niemożliwy. Kończyły się trwałe związki, upadały pakty koleżeńskie i dumne triumwiraty, a zawierane na nowo sojusze nosiły li tylko znamiona paktów o nieagresji.

On sam, z niby to życzliwym uśmiechem na ustach, trzymał się gdzieś z boku, gotowy pomóc każdemu, kto tego chciał, chociaż w efekcie sytuacja stawała się jeszcze bardziej napięta.

Próbował swych sił również na nauczycielach. Wychowawczyni, przekonana o wielości cnót ciemnowłosego chłopca o inteligentnym wejrzeniu, broniła go przeciw całemu pedagogicznemu ciału, nierzadko wbrew logice i dydaktycznym kanonom.

Stosował przy tym konsekwentnie zasadę nielojalności, nawet w stosunku do ludzi, którzy byli mu przychylni. Nigdy nie rewanżował się za przysługę, odwrotnie – niemal każda sprzyjająca mu osoba wcześniej czy później odczuła smak zdrady.

Nie przysparzało mu to, co prawda, wiernych i długoletnich przyjaciół, ale – o dziwo – zyskiwał szacunek. Liczono się z jego zdaniem, a nawet zabiegano o jego względy, gdyż miał opinię człowieka wpływowego, specjalisty od spraw niemożliwych.

Kiedy w tak łatwy sposób wypunktował Krajskiego, zyskał jeszcze na pewności siebie. Znajdowanie słabych punktów i bezwzględne, acz mistrzowskie ich wykorzystywanie stało się jego znakiem firmowym. Koryto wydawał się jeszcze łatwiejszym celem, ale – mimo niezłego początku znajomości – nie odniósł pełnego sukcesu. Co innego Seta. Uzależniony od heroiny, wyzbyty wyższych uczuć, był idealnym zabójcą, którym można było dowolnie sterować, stosując dobrze znaną zasadę kija i marchewki.

Kiedy polityka finansowa DUD-BUD-u, polegająca na wyprowadzaniu pieniędzy na prywatne konta po uprzednim przepuszczaniu ich przez założoną przez Wnęka fundację, stała się zbyt czytelna, trzeba było pozbyć się osób mogących odkryć ten mechanizm i w konsekwencji – zaszkodzić beneficjentowi.

Udało się świetnie, ale Seta stawiał coraz wyższe żądania. Zaczął mówić coś o profesjonalnym odwyku w Szwajcarii, o nowym, dostatnim życiu, które w zamian za przysługę miał mu zapewnić.

Grunt usuwał się pod nogami, a wobec braku nowych zleceniobiorców musiał wziąć sprawy w swoje „czyste” ręce. Zwabienie Sety do nowej meliny było dziecinnie proste. To, co stało się później, oraz łatwość i naturalność koniecznych przecież działań, zdziwiły samego ich autora.

Zyskał nową moc i stał się demiurgiem zdolnym pokonać każdego, nawet tego, który zawsze stał mu na drodze i którego trochę się nawet bał. Ale do czasu.

Czuł, że niezależnie od tego, jak skończy się cała zabawa, on odniesie wielkie zwycięstwo. Lecz żeby satysfakcja była pełna, tamten musi mieć świadomość klęski i wizję przyszłej, nieuchronnej rozpaczy.

Plan zakładał kilka alternatywnych względem siebie wersji, na które Rączy absolutnie nie był przygotowany.

Obserwując, jak dół kopany przez Patryka staje się coraz głębszy, wybrał numer Kornela.

– Cześć – spokojny ton głosu Rączego zaskoczył go i jednocześnie zaniepokoił. – Wreszcie się odezwałeś. Ostatnio jakoś unikałeś spotkań ze mną, wyjąwszy oczywiście wypadek przy parkingu.

– No cóż, Kornel… Nie zawsze można być najlepszy. Nadeszła zmiana warty i musisz się z tym pogodzić. Zresztą mam cię w ręku. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że Ingrid i jej popaprany braciszek są ze mną. Są i kopią właśnie grób – wycedził przez zęby. – Będziesz musiał bardzo się postarać, żeby uratować jedno z nich.

– Jedno? – Rączy czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach. Mimo to starał się zachować spokój.

– Jedno, bo tak zdecydowałem – odparł z satysfakcją. – Drugie musi zapłacić za wszystkie niesprawiedliwości, które mnie spotkały. A było ich sporo…

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział cichym głosem Kornel. – Wypuść oboje, a przyjadę, gdzie będziesz chciał, i zrobisz ze mną, co będziesz chciał. Nie wiem, dlaczego to wszystko robisz, ale jeśli ma to związek ze mną, to załatwmy to między sobą jak mężczyźni.

– Nie, Kornel. Po prostu nie. Znam cię zbyt dobrze. Z pewnością wymyśliłbyś coś, co by mi się nie spodobało w ostatecznym rozrachunku. Wiesz, ja cię w pewnym sensie podziwiam. Podziwiam i szanuję. Ale wszedłeś mi w drogę i teraz tego pożałujesz. Nadchodzi twój koniec, superdetektywie, obrońco uciśnionych, gwiazdo dziennikarstwa śledczego – kpił, śmiejąc się coraz głośniej, aż wreszcie nie było już słów, a pozostał tylko śmiech, który wydał się Rączemu śmiechem szaleńca, człowieka stojącego nad przepaścią, skazańca, który zawiesił wzrok na grubej linie.

Chwilowo jednak ów – szaleniec, a być może genialny pragmatyk, miał sporą przewagę. Kornel chciał coś powiedzieć, ale sygnał w

słuchawce poinformował go, że pierwsza rozmowa (bo nie wątpił, że będą następne) została zakończona.

Orędowski usiadł w swojej ulubionej pozycji, w której przypominał zadowolonego ze świata Buddę.

– Moim zdaniem, panie Kornelu, musimy zawiadomić policję. Wiemy ponad wszelką wątpliwość, kto jest porywaczem i domniemanym mordercą – uniósł w górę palec wskazujący prawej ręki. – Wiemy po trzykroć, bo Zalesiak zdradził tożsamość kolegi policji, Krajski wyjawił te same personalia mnie, pan zaś miał okoliczność z nim rozmawiać. Niestety, ani Zalesiak, ani Krajski nie mają pojęcia, w jakim kierunku mógł się udać ani czy jest gotów spełnić swoje groźby.

– Panie doktorze, przecież Krępowicz to zwyczajnie spaprze – Rączemu zadrżał głos, co nie uszło uwagi patologa. – Jedyną szansą na uratowanie Ingrid i Patryka jest póki co stosowanie się do żądań tego skurwysyna. Muszę przyznać, że kompletnie nie brałem pod uwagę jego osoby. Ot, facet jak facet, może trochę narwany, ale żeby był mordercą, porywaczem…

– No cóż, ja też jestem zaskoczony, choć nie znam go tak dobrze jak pan – westchnął doktor i swoim zwyczajem zaczął przecierać wiecznie zaparowane okulary. – Doświadczenie uczy nas jednak, że takie rzeczy się zdarzają. Dlatego nigdy nie spieszę się ze zbyt szybką oceną ludzi. Niemniej nalegam, aby pan skontaktował się z Krępowiczem. Tu mogą decydować minuty, nawet sekundy, a policja, cokolwiek można by o niej sądzić, dysponuje jednak środkami znacznie lepszymi od nas. Oczekiwanie na kolejny telefon bez wiedzy, jak przedstawia się sytuacja porwanych, to woda na młyn tego… tego… – Orędowski nie mógł przypomnieć sobie nazwiska.

– On nazywa się Marcin Prochowski – podpowiedział Kornel i jeszcze raz z niedowierzaniem pokręcił głową. – Kiedyś byliśmy kolegami w jednej redakcji.

– Uważam, że kluczem do rozwiązania zagadki motywu działania pana, przepraszam za wyrażenie, byłego kolegi jest jakiś element

waszych relacji. Coś, co panu być może wydaje się mało istotne, ale dla niego jest wręcz priorytetowe.

– To ja przepraszam, panie doktorze, ale to, co powiedział pan przed chwilą, jest chyba przesadą – Rączy uniósł brwi i spojrzał wymownie na Orędowskiego. – Pamiętałbym jakąkolwiek sytuację kłótni, a choćby sporu, zgrzytu, różnicy zdań między nami. Ale tu – znacząco puknął się w czoło – jest absolutna pustka. Nic… Chyba że…

– Proszę się skupić. Wszystko, co pan sobie przypomni, może okazać się ważne – teraz patolog lustrował uważnie twarz Kornela.

– Dawno temu była taka dziwna sytuacja… Po panelu dyskusyjnym, w którym brałem udział, wybiegła za mną młoda kobieta, która przyszła na spotkanie z Zalesiakiem. Była nachalna, a do tego pijana, więc zbyłem ją i poszedłem sobie. Ot cała przygoda.

– A nie pamięta pan, jak miała na imię ta kobieta? – patolog, siedząc nieruchomo w fotelu, wpatrywał się w Rączego jak wąż w królika, który za chwilę zostanie pożarty.

– Nie jestem pewny, ale chyba Sylwia. Przynajmniej tak się przedstawiła. Jednak pewności nie mam – zaznaczył Kornel.

– Sylwia… Sylwia Brzeszczuk! – wykrzyknął radośnie doktor, zrywając się w jednej chwili z fotela. – No to jesteśmy w domu!

– Nie bardzo rozumiem – Rączy mrugnął nerwowo oczami. – Przecież rozmawiałem z nią może dziesięć czy piętnaście sekund, nic między nami nie zaszło, nawet jej nie dotknąłem…

– Nieważne, to wszystko nieważne! – podekscytowany Orędowski przechadzał się nerwowo po pokoju. – Ważne jest to, co stało się potem. I zaraz to sprawdzimy – ostatnie słowa, wymruczane pod nosem, zabrzmiały bardzo tajemniczo.

Dyżurny komendy policji przy Królewskiej, posterunkowy Jakub Setlak, tylko pozornie był spokojny. Zaaferowany głos informował go właśnie przez telefon, że w lesie, pięć kilometrów od Kokotowa, ktoś zakopał ludzkie zwłoki. Ten głos przedstawił się jako Henryk Chrobot, mieszkaniec Śledziejowic. Dyżurny poprosił go, aby podał swoją lokalizację i niczego nie ruszał.

Po dziesięciu minutach spod budynku komendy pomknęły na południe dwa radiowozy, w pierwszym z nich jechał komisarz Łukasz Krępowicz, w drugim doktor Iwo Orędowski.

Patolog próbował kilka razy połączyć się z Kornelem, aż wreszcie usłyszał w słuchawce charakterystyczny, lekko zachrypnięty tembr Rączego.

– Kokotów, pięć kilometrów w stronę Śledziejowic, w lesie… – wysapał i połączenie zostało przerwane.

Rączy poczuł uderzenie gorąca. Oblał się potem, ale nie bacząc na to, zerwał się krzesła i jak stał, wybiegł z mieszkania, zatrzaskując po drodze drzwi.

– Jedź przez Mogiłę – zapinając pas, rzucił bardziej polecenie niż prośbę, a Bernacki, nie zastanawiając się nad niezbyt grzeczną formą wypowiedzi Kornela, natychmiast odpalił silnik zielonej skody Fabia.

Zaraz po telefonie od Orędowskiego wiedział, że sprawa jest poważna. Teraz utwierdził się w tym przekonaniu. Milczał, zaciskając mocno zęby. Jednocześnie dziękował opatrzności, że zastał Tomka w domu.

– Miałeś szczęście – słowa Bernackiego potwierdziły, że miał fart.

– Wiedziałeś o tym, co robi Prochowski? – Rączy patrzył przed siebie, ale ton, jakim zwrócił się do kierowcy, sugerował konieczność udzielenia konkretnej odpowiedzi.

– No skąd? – Bernacki silił się na swobodny, obojętny ton. – W szoku jestem. Nasz Marcinek? Takie lelum polelum… – pokręcił głową, jakby w dalszym ciągu nie wierzył rewelacjom Kornela.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, że on prowadzi podwójne życie?

– Nie miałem z nim aż tak bliskiego kontaktu, to Adam znał go lepiej. Dla mnie był po prostu jednym z wielu kolegów. Potem, kiedy wszyscy odeszliśmy z redakcji, spotykaliśmy się sporadycznie, często zresztą przypadkowo. W życiu bym nie pomyślał, że to… przestępca!

Minęli Mogiłę, Przewóz i jadąc wciąż na południe, zbliżali się właśnie do Kokotowa od strony zachodniej, kiedy w kieszeni Rączego zawibrował telefon.

– Cześć, Kornel! – poznał głos Prochowskiego. – Pamiętasz balladę *Lilie* Mickiewicza? „Zbrodnia to niesłychana, pani zabija pana, zabiwszy grzebie w gaju, na łączce przy ruczaju" – zarechotał. – Tylko tym razem i pani, i pan leżą już pogrzebani, przysypani ziemią – świr wyraźnie delektował się wypowiadaną z namaszczeniem treścią. – Halo, Kornel! Jesteś tam? Jak się teraz czujesz? Ta cała Ingrid to była twoja nowa flama? Kochałeś ją? Przyznaj się, redaktorze. Serduszko pukało ci w rytmie cha-cha?

– Chuj cię to obchodzi, śmieciu! – wypalił Rączy. – Gadaj, co z nimi zrobiłeś!

– Grzeczniej, Kornel! – upomniał go Prochowski. – Powiedziałem, że są pogrzebani, nie, że martwi… Ale pod ziemią nie ma zbyt wiele powietrza, więc każda sekunda jest droga – zaśmiał się znowu. – Ciekawe, kto pierwszy znajdzie ciała: słynny Kornel Rączy, *primus inter pares*, czy nasza poczciwa policja? – chrząknął znacząco i wyłączył się.

Bernacki spojrzał znacząco na Kornela, a ten ponownie zacisnął mocno zęby. Na skroni zaczęła pulsować jedna z żył.

Dojeżdżali do Kokotowa. Aby dotrzeć do lasu, trzeba było teraz wykonać skręt, będący jednocześnie skrótem znanym niewielu kierowcom.

Kornel wybrał numer Bochenka. Przebijając się przez zasieki żałosnych jęków i tłumaczeń Radka, Rączy przeforsował opcję sprawdzenia ewentualnej lokalizacji poprzedniego rozmówcy. Mechanicznie wykonał kilka podyktowanych mu ustnie działań, które miały to ułatwić. Zielona skoda wjechała do lasu.

– Więc szedłem tędy w poszukiwaniu grzybów – Henryk Bączek, mężczyzna około siedemdziesiątki, wykonał ręką ruch w powietrzu. – O tej porze roku można tu trafić gąski zielonki, opieńki i sarniaki. Ja osobiście przepadam za boczniakami. Suszę je…

– Do rzeczy! – warknął Krępowicz.

Pan Henryk zamilkł na moment, aby po chwili kontynuować.

– No i tu, gdzie zawsze było takie zagłębienie terenu, a znam tę okolicę od dziecka, bo jeszcze z moim dziadkiem nieboszczykiem, świeć Panie nad jego duszą…

– Co pan zobaczył? – komendant nadludzkim wysiłkiem zmusił się, aby nie wytłumaczyć Bączkowi tradycyjną metodą, że należy trzymać się tematu.

– No właśnie. Zauważyłem w tym miejscu świeżo usypany kopczyk. Podszedłem bliżej i… – Bączek przerwał, wskazując palcem na wystającą ponad ziemię ludzką dłoń.

– Dzisiaj jesteś dzieckiem szczęścia – Bernacki obdarzył Kornela lekkim uśmiechem. – Dobrze, że ten lasek nie jest zbyt duży.

Zostawiwszy samochód przy leśnym dukcie, od kilku minut penetrowali okolicę, uważnie patrząc to pod nogi, to przed siebie, to znów rozglądając się wokoło.

Wreszcie między drzewami zamajaczyło kilka sylwetek w policyjnych mundurach. Rączy, nie czekając na kolegę, przyspieszył kroku i niemal biegnąc, wpadł na polanę prawie w objęcia Krępowicza.

Stojąc przez chwilę naprzeciw siebie, mężczyźni mierzyli się wzrokiem i wtedy między nimi pojawił się Orędowski.

– Zakpił z nas – oznajmił doktor lakonicznie. – Proszę, pozwólcie, panowie – podniósł taśmę ograniczającą dostęp do niewielkiego, najwyraźniej niedawno usypanego pagórka, popychając jednocześnie do przodu Krępowicza i Rączego.

Policjanci wydobyli właśnie spod ziemi dwa wypełnione styropianem i pakułami plastikowe worki. Na jednym widniał namalowany białym sprayem uśmiech i napis „INGRID IS DEAD”, na drugim – wulgarny rysunek przedstawiający męskie genitalia.

– Jego tam w ogóle nie ma! – Bochenek krzyczał do słuchawki. – Jakiś słaby sygnał logował się w okolicach Puszczy Niepołomickiej, ale nie jestem w stanie określić, gdzie dokładnie. W każdym razie przez ostatnią godzinę zmieniał kilkakrotnie swoje położenie.

– Co proponujesz? – Rączy walczył z ogarniającą go rozpaczą. Chyba po raz pierwszy w życiu kompletnie nie wiedział, co ma zrobić.

– Stary, przykro mi, ale w tej sytuacji… On musi do ciebie zadzwonić, wtedy być może znowu uda mi się go namierzyć. Możesz

być spokojny, nie będę spał, zresztą i tak bym nie zasnął…

Zegarek Kornela wskazywał godzinę pierwszą w nocy. Radiowozy policyjne wraz z Krępowiczem i Orędowskim odjechały zaraz po identyfikacji znaleziska.

Bernacki kręcił się nerwowo obok samochodu, jakby nie mając odwagi zaproponować powrotu. Nagle uderzył z całą siłą w maskę samochodu.

– Wiem! Chyba wiem! – Rączy spojrzał zaskoczony na Tomka, który błyskawicznie zmienił się w wulkan energii. – Jakieś pół roku temu przypadkowo spotkałem Marcina na Kazimierzu. Był pijany, co zdarzało mu się raczej rzadko. Zaprosił mnie na wódkę, co zdarzało mu się jeszcze rzadziej, i na tej wódce mówił coś o dziewczynie, o wypadku i o kimś, kto powinien ponieść sprawiedliwą karę – przerwał i spojrzał uważnie na Rączego, który dał mu znak ręką, aby mówił dalej. – Wtedy nie przywiązywałem do tego wagi. Prochowski bełkotał coś o zemście, która dosięgnie każdego, kto wejdzie mu w drogę. Przyjąłem to jako pogróżki pijanego, zresztą cała ta jego historia nie trzymała się kupy.

– Dlaczego? – Kornel był coraz bardziej zainteresowany opowieścią.

– Choćby dlatego, że mówił o tej dziewczynie, jakby żyła, więc dlaczego zemsta? Zrozumiałem, że winnym jest kierowca, który ją potrącił i nie zatrzymał się, aby udzielić pomocy. No a ty przecież…

– Nie mam prawa jazdy ani samochodu… – wyszeptał w zamyśleniu Kornel. – Skurwiel przelał całą odpowiedzialność na mnie, choć jestem niewinny.

Usiadł na trawie, bezgłośnie powtarzając kilka razy z rzędu jedno naukowo brzmiące zdanie: „Doświadczamy poczucia winy wtedy, gdy przekraczamy określone normy prawne, etyczne, religijne lub postępujemy wbrew zasadom, które osobiście uznajemy za słuszne”.

To kiedyś tłumaczyła mu Ingrid, wyjaśniając mechanizm socjotechnicznego działania szantażystów i porywaczy. Myśl o niej sprawiła, że poczuł kompletną bezsilność. Nie wiedział przecież, czy żyje, a jeśli nawet, to jak długo jeszcze. Nie wiedział, jakim psychicznym i fizycznym torturom jest poddawana. Złapał się na tym, że prawie wcale nie myśli o Patryku, drugiej ofierze

perfekcyjnego – musiał to przyznać – porwania. Zgromił sam siebie w duchu, bo przecież brat jest osobą dla Ingrid bardzo ważną, a ona sama…

Wstał, nie chcąc rozkleić się na dobre. Było zupełnie ciemno. Rozglądnął się w poszukiwaniu Bernackiego, ale nigdzie nie mógł go dostrzec.

W ostatniej chwili zauważył jakiś ruch i zdążył uskoczyć, chowając się za drzewo. Sekundę później potężny konar uderzył w gruby pień kilka centymetrów od głowy Kornela.

Napastnik włożył w cios tyle siły, że o mało nie stracił równowagi. Zachwiał się i to wystarczyło, aby Rączy umiejętnie podciął mu nogi, sprowadzając go do parteru. Mocno wykręcił prawą rękę Bernackiego, aż ten zawył z bólu. Nie zwolnił uścisku, przeciwnie – zwiększył nacisk na plecy, wskutek czego naprężony kręgosłup groził w każdej chwili złamaniem.

– Puuuść! – wyrwało się z piersi leżącego.

– A nie, Tomku. Trochę sobie pocierpisz w tej pozycji i odpowiesz mi na kilka pytań. Niestety, przez ten pośpiech zapomniałem wziąć z domu kajdanek i nie mogę cię skuć. Nie mogę cię też puścić, bo ci już nie ufam, zatem leż spokojnie i szczerze odpowiadaj na pytania. Pamiętaj przy tym, że w dowolnym momencie mogę cię zabić i nie sądzę, aby cię tu ktoś szukał.

– Powiem wszystko, tylko nie tak mocno… – Bernacki jęczał, a w jego oczach pojawiły się łzy. – To ten kutas Prochowski jest wszystkiemu winien, on mnie do tego namówił. On i jego przydupas Zalesiak. Byłem na dnie, miałem długi w kasynie i u takich tam, wiesz, którzy pożyczają na procent. Obiecali, że mnie dojadą, nie miałem wyjścia. Prochowski zgodził się pożyczyć mi kasę, a potem powiedział nawet, że nie będę musiał wszystkiego oddawać, jak przywiozę mu ciebie…

– Martwego?

– Żywego. On chce… – Bernacki zawiesił się na chwilę – żebyś przed śmiercią zobaczył, co będzie robił z Ingrid i Patrykiem – dokończył i zaniósł się głośnym płaczem. – Przepraszam, Kornel, strasznie cię przepraszam, ale to strach i ten jebany stres. Z tamtymi kolesiami naprawdę nie ma żartów.

– Zrobiłeś wiele głupot, ale będziesz miał szansę odkupić winy – mruknął Rączy. – Masz w bagażniku jakąś linkę albo sznur?

Tomek potwierdzająco skinął głową.

Stali obok siebie na chybotliwym konarze drzewa, który pochylał się nad sztucznym zalewem. Ingrid, ze spuszczoną głową, w ciemności nie widziała w wodzie swojego odbicia. Patryk, sparaliżowany strachem, patrzył przed siebie, gdzieś ponad korony drzew.

Napięcie, które opadło tylko na moment, kiedy po wykopaniu dziury zapakował do niej jakieś pomalowane sprayem worki i śmiejąc się, kazał je zakopać, wzrosło ponownie z całą siłą. Chwyciło za gardło i trzymało mocno. W ciszy słyszała wyraźnie szybkie uderzenia swego serca. Inne serce, ukryte w piersi Patryka, synkopowało połamany, nieparzysty rytm.

Oboje mieli skrępowane ręce i zakneblowane usta, a każde z nich zaciśniętą na szyi linę przerzuconą przez grubą gałąź sąsiedniego drzewa. Prochowski zadbał o wszystko. Będąc niewidoczny dla kogoś, kto nadjechałby jedyną drogą prowadzącą prosto nad zalew, mógł za pomocą swoistej dźwigni spowodować jednocześnie śmierć dwóch osób. Śmierć przez powieszenie.

Aktorzy przedstawienia byli więc na swoich miejscach, reżyser czuwał za kulisami, oczekiwano jedynie na publiczność.

Z Bernackim umówili się tak, że przywiezie tu Rączego, aby ten przed śmiercią uczestniczył w ostatnim spektaklu świadomy swojej bezradności i upokorzenia. Potem trzeba będzie uciekać, bo przecież naturalny odruch stanie się imperatywem, a on sam zwierzyną łowną. Zero komfortu, zero kompromisu – wszystko albo nic. Najważniejsze, aby człowiek, który jeszcze do niedawna był zawsze o krok przed nim, zniknął raz na zawsze, do tego w poczuciu bezwzględnej porażki.

Usłyszał odgłos silnika. Po chwili zza drzew wyłonił się ciemny kontur samochodu. Auto zatrzymało się kilkanaście metrów od akwenu. Kierowca wyłączył silnik, ale nikt nie wysiadł.

Prochowski zszedł z drzewa, zabezpieczając system linek i dźwigni. Podszedł kilka metrów i wyjął z kieszeni latarkę. Mocne,

punktowe światło prześlizgnęło się po przedniej szybie. Dostrzegł postać siedzącą nieruchomo na miejscu kierowcy.

Zbliżył się jeszcze i odbezpieczył zamontowany w latarce elektryczny paralizator. Postać nie poruszyła się.

Ostrożnie podszedł z boku i nagłym ruchem otworzył drzwi. Bezwładne ciało Bernackiego wypadło mu wprost pod nogi. Poczuł mocny zapach chloroformu. Zachwiał się i stracił równowagę. Niemal równocześnie otworzyły się tylne drzwi po prawej stronie. Kornel ukryty teraz za samochodem wstrzymał oddech.

Prochowski spokojnie wstał z ziemi i z paralizatorem w dłoni posuwał się ostrożnie w kierunku tyłu auta.

Nagle rozległ się trzask odpalanej petardy. Pomarańczowa raca przeleciała tuż obok głowy Prochowskiego. Oślepiony podniósł do góry ręce, zasłaniając twarz.

Rączy, wykorzystując moment zaskoczenia, wskoczył na maskę samochodu. Wybił się w górę i kopnął prawą nogą prosto w dłoń z paralizatorem. Podłużny przedmiot zniknął w trawie. Światło zgasło, kilka metrów dalej kończyła swój żywot dogasająca raca.

Leżąc na przeciwniku, Kornel zdołał podnieść jego głowę i z całej siły uderzył czołem. Trafił Prochowskiego w nasadę nosa. Charakterystyczne chrupnięcie potwierdziło celność ciosu. Twarz porywacza, zalana krwią, wyglądała teraz upiornie. Rączy podniósł w bok prawą nogę i wymierzył kolejny cios, tym razem kolanem w żebra. Przysiągłby, że usłyszał jeszcze jedno chrupnięcie.

Prochowski, jęcząc głośno, wił się z bólu. Jednak prawą ręką intensywnie szukał czegoś w trawie. Kornel wstał, odkopnął dalej latarkę i dysząc ciężko, kucnął obok swej ofiary. Przy uchu Prochowskiego błysnął kolczyk. Trzymając leżącego za gardło, obejrzał go z bliska i bez zdziwienia rozpoznał migoczącą postać bogini Nephtys.

– Pójdziesz do piekła, kutasie – wysyczał przez zęby, pochylając się nad Marcinem. Ostatnie uderzenie zadane pięścią pozbawiło Prochowskiego obu górnych jedynek.

– Sprawa ewidentnie kwalifikuje się do prokuratury – Krępowicz z satysfakcją spojrzał na Orędowskiego. – To nie jest jakiś pieprzony

Dziki Zachód, a Rączy nie jest szeryfem wymierzającym sprawiedliwość na własną rękę. Oczywiście rozumiem intencje, a nawet – podniósł palec w górę – doceniam efekty, ale fakt pozostaje faktem. Poza tym porywacz przebywa teraz na OIOMi-e i nie wiadomo, czy nie poniósł trwałego uszczerbku na zdrowiu, a to już kolejny paragraf. Inny uczestnik zdarzenia, niejaki – zerknął w leżący na biurku protokół – Bernacki, został potraktowany jakąś trucizną i skrępowany sznurem. Jak dotychczas nie odzyskał przytomności. Dodajmy do tego zatajanie faktów mogących pomóc w śledztwie, działanie bez porozumienia z organami ścigania... – przerwał, obserwując reakcję doktora, który znów zdawał się medytować w pozycji śpiącego Buddy. – Co by było, gdybyśmy tolerowali takie zachowania? Gdyby takich Rączych było więcej?

– Świat byłby lepszy, komendancie – patolog podniósł na Krępowicza zmęczony wzrok. – Lepszy, a egzekwowanie prawa przestałoby być fikcją. Zdaje pan sobie sprawę, że Kornel, mój długoletni przyjaciel – podkreślił te słowa – reprezentuje wyższą klasę, o której pan i pańscy koledzy, proszę się nie obrazić, mogą tylko pomarzyć albo i zapomnieć. Zrobi pan, co będzie uważał za stosowne, ale moim zdaniem ma pan na podorędziu prawdziwą perłę i olbrzymią głupotą byłoby z tego nie skorzystać.

Komendant chciał mu przerwać, ale zdecydowany gest dłoni Orędowskiego powstrzymał jego zapędy.

– Tymczasem od lat stara się pan umniejszać zasługi Rączego, aresztuje go pan przy byle okazji, grozi mu paragrafami, jednym słowem przeszkadza w pracy. Czy tak wygląda, według pana, działanie *pro publico bono*?

– On nie liczy się z nami, lekceważy wszelkie przepisy... – próbował bronić się podkomisarz.

– I całe szczęście, tak panu odpowiem, bo większość tych przepisów można rozbić o kant dupy. Mówię to panu z całą odpowiedzialnością i doświadczeniem zawodowym. O kant dupy!

– Muszę jakoś zareagować – Krępowicz jeszcze nie zrezygnował z urzędowego tonu.

– Powiem panu coś, panie komendancie – patolog ciężko westchnął, podniósł się z krzesła i stanął naprzeciw policjanta. –

Jestem już praktycznie na emeryturze. Niczego się już nie obawiam, tym bardziej że na moje miejsce przyszedł wybitny fachowiec, rokujący na przyszłość. Jednym słowem zostawiam swoje stanowisko pracy w dobrych rękach. Mam jednak sporo znajomości, kontaktów, bo człowiek innym życzliwy takie zazwyczaj posiada. Jeśli Rączemu spadnie włos z głowy, jeśli będzie go pan dręczył pozwami, sądami, aresztami, postaram się, aby pańskie, cokolwiek marne życie zmieniło się w biurokratyczny koszmar. Zacznę od pańskiego brata, który nie wiedzieć czemu otrzymał stanowisko rzecznika prasowego, a z jego medialnych popisów śmieje się całe miasto, a potem dobiorę się do pana. Zaręczam, że potrafię być niezwykle skuteczny i precyzyjny. Ostatecznie ponad czterdzieści lat w zawodzie – uśmiechnął się jakby do siebie. – Niech pan to przemyśli, komendancie…

Jeszcze teraz, po kilkunastu godzinach, wyczuwał drżenie jej ciała. Trzymał ją w ramionach i wiedział, że nie będzie chciał wypuścić. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, wydała mu się wyniosła i pewna siebie, teraz sprawiała wrażenie bezbronnej i kruchej.

Kołysząc ją lekko i muskając ustami jej włosy, zamyślił się nad istotą psychologii, przydatności tej, w gruncie rzeczy, młodej nauki.

Chciała coś powiedzieć, ale tylko przytuliła się mocniej. Odwróciła głowę i dopiero po chwili zauważył, że po jej twarzy płyną łzy. Nie wydała przy tym żadnego dźwięku, ale ta niema skarga wyrażała znacznie więcej niż głośny płacz.

Minuty mijały, a oni trwali niemalże nieruchomo. Bez słów, które stały się zbędne.

Od dawna nie czuł niczego podobnego – lekki niepokój zamienił się w dziwny stan, który być może pamiętał z dalekiej przeszłości, kiedy był jeszcze innym Kornelem, niepoprawnym optymistą nieznającym prawdziwego zła i z tym złem niepotrafiącym walczyć.

Z czasem zamienił się w bestię zdolną zabić, a w każdym razie skutecznie unieszkodliwić przeciwnika. Szczególna dwoistość natury niosła za sobą niebezpieczne myśli i czyny, ale wiedział już, że oto dotarł do nieznanego jeszcze portu i podoba mu się tutaj jak nigdzie. Zarzucił więc kotwicę.

Ciepłą dłonią dotknął jej mokrej twarzy. Uśmiechnęła się, choć pewnie przyszło jej to nie bez trudu. Dwie filiżanki zimnej już kawy i kilka rozrzuconych na stole pomarańczy dopełniało statycznego aktu rodzącego się uczucia, bezczelnie przeczącego kanonicznej martwości natury.

Świergot ptaka za oknem obudził w nich nowego ducha. Wyplątała się z jego objęć, poprawiła zmierzwione włosy i pełnym kokieterii gestem odchyliła ciało w tył, opierając się na łokciach.

– Chodź… – to jedno słowo wzburzyło w nim krew. Znów był „tamtym" Kornelem, lecz w innym, jakby lepszym wydaniu. – Przecież chcę cię właśnie takiego – wyszeptała przymykając oczy.

– Otóż plan powstawał etapami – Orędowski usadowił się wygodnie w fotelu. – Im Zalesiak i Bernacki stawali się bardziej zależni od Prochowskiego, tym on wymagał od nich więcej. Zalesiak miał kilka rzeczy za uszami, był i jest klasyczną gnidą, przepraszam za wyrażenie – łypnął figlarnie w stronę Ingrid. – Z kolei Bernacki to hazardzista, który już nieraz popadał z tego powodu w nieliche problemy finansowe. Kiedy zaczął pożyczać pieniądze od gangsterów, sytuacja stała się jeszcze gorsza. Nie mógł praktycznie swobodnie poruszać się po mieście, co w waszym zawodzie jest wręcz absurdalne – tym razem obdarzył uśmiechem Rączego. – Podczas przesłuchania przyznał, że nic do pana nie miał, ale okoliczności zmusiły go do bezwzględnego posłuszeństwa wobec Prochowskiego, który inteligentnym szantażem powoli osiągał swój cel.

– Ale jak to możliwe, żeby tak przeciętny człowiek tak długo manipulował tyloma osobami, dodajmy pochodzącymi z różnych środowisk? – Kornel podniósł brwi i spojrzał pytająco na patologa.

– To już jest materiał dla naszej drogiej pani psycholog – doktor przechylił się w przód, ujął dłoń Ingrid i ucałował ją. – Na moje oko dość wcześnie zdał sobie sprawę, że nie osiągnie wiele w swojej profesji, działając klasycznie, według określonych reguł etycznych, natomiast odkrył w sobie inne talenty i na efekty nie trzeba było długo czekać. Jednym z, można rzec, szczególnych uzdolnień Prochowskiego była umiejętność znajdowania się we właściwym

miejscu i czasie, innymi słowy wyczucie koniunktury. W ten sposób kompletnie spacyfikował Krajskiego, który przez lata okradał DUD-BUD, za cichym przyzwoleniem Laury Dudniewskiej. Pozyskanie do swych zbrodniczych celów Sety było już bułką z masłem. Nie docenił natomiast Korytkiewicza, który zwyczajnie wystraszył się, a wcześniejsze wizyty w miejscach odosobnienia nauczyły go liczyć i kalkulować. Seta wykonał zadanie z nadwyżką, bo nie dość, że pierwszym podejrzanym o zamordowanie Dudniewskiego okrzyknięto pana – Orędowski wymierzył pulchny palec w Kornela – to jeszcze przy drugiej zbrodni aresztowano dwóch, tym razem niewinnych, skinheadów. Zanim sprawa się wyjaśniła, Prochowski miał dużo czasu, aby działać dalej. Chyba najbardziej przykre jest to, że mój przyjaciel Mietek Czulak, skądinąd znakomity lekarz i uczciwy człowiek, również poszedł na układ z przestępcą. Oczywiście w dobrej wierze, nie mając pojęcia o prawdziwych intencjach Prochowskiego. Cóż, będzie musiał ponieść poważne konsekwencje. Krakowski oddział Naczelnej Izby Lekarskiej wyznaczył posiedzenie w tej sprawie na przyszły tydzień. Wybieram się tam naturalnie, ale prawdę mówiąc, nie widzę większych szans powodzenia, biorąc pod uwagę siłę argumentów za i przeciw.

– A co sprawiło, że ten do tej pory wysługujący się innymi osobami człowiek zdecydował się zabić sam? – spytała cicho Ingrid.

– Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z punktem kulminacyjnym całej historii. I ze zmianą sposobu myślenia przestępcy. Seta stał się dla Prochowskiego niebezpieczny. Czynny narkoman jest kompletnie nieobliczalny, w momentach szczytowego głodu może zrobić wszystko, i to każdemu. Plan zakładający cykliczne ściąganie pieniędzy zawalił się, bo to Seta stał się nieoczekiwanie jego beneficjentem. Właśnie przez swój nałóg. To on mógł szantażować, domagając się pieniędzy albo wręcz towaru. Dlatego musiał umrzeć.

– Myślę, że Zalesiak i Bernacki wydali się Prochowskiemu zbyt słabi do wykonania tego zadania – włączył się do rozmowy Rączy. – Juliana nie zdołał namówić, Korytkiewiczowi przestał już dawno ufać. Zatem musiał wziąć sprawy w swoje ręce i trzeba przyznać, poszło mu to dość gładko. Wystarczyło zwabić Setę do ustronnego,

starannie wybranego miejsca, załatwić trochę amfetaminy, pomieszać ją z czymś, co spowodowało częściowe ustanie akcji serca, i poczekać na zgon.

– Tak właśnie było – potwierdził Orędowski. – Z tym tylko, że Seta miał mocny organizm i jak na złość, nie chciał zejść z tego świata. Prochowski wykorzystał moment, kiedy tamten po zażyciu amfy odpłynął, i wtedy poderżnął mu gardło kawałkiem szkła.

– W ten sposób sam stał się mordercą, tym razem *sensu stricto*… – Ingrid machinalnie oparła stopy o udo Kornela, co nie uszło uwagi patologa.

– Ambicją tego człowieka było stworzenie siatki czy może lepiej: szkieletu przyszłej organizacji, na której czele zasiadłby on. Mając popleczników wśród, przypomnę, biznesmenów, lekarzy i ludzi z półświatka, czuł się niemal bezkarny. Do tego nieudolne działania policji utwierdziły go w przekonaniu o swojej bezkarności.

– Jedynym realnym zagrożeniem stał się więc on – Ingrid ujęła dłoń Rączego i popatrzyła na niego z troską.

– Tak. Pan Kornel był celem numer jeden i to z dwóch powodów. Po pierwsze Prochowski ubzdurał sobie, iż jest on winny wypadku Sylwii Brzeszczuk i wszystkich jego następstw, po drugie mógł wreszcie zrewanżować się naszemu redaktorowi za wszystkie zawodowe porażki. Tu świetnym sojusznikiem okazał się Zalesiak i, jak się okazało, Bernacki.

– Ale przecież sam doprowadził do jej śmierci, przemycając skalpel do szpitala…

– To typowe, że przestępca posiadający osobowość patologiczną zrzuca winę na inne osoby, oskarżając je o skutki własnych działań – Ingrid przybrała zawodową pozę.

– Na koniec mam wam do oznajmienia jeszcze jedno. Otóż z dniem jutrzejszym przechodzę na emeryturę i to w sensie dosłownym. Zero zleceń, nagłych przypadków, zarwanych nocy… – doktor Orędowski zamknął z lubością oczy. – Chcę wreszcie odpocząć. Pojechać sobie na ryby, posłuchać dobrego jazzu, poczytać… byle nie kryminał! – zaznaczył z szerokim uśmiechem, a widząc niewesołą minę Rączego, dodał: – Czyż nie milej będzie

spotkać się w miłych okolicznościach koncertu lub wernisażu niż, jak do tej pory, nad zwłokami?

Kiedy Kornel odprowadził patologa do drzwi, ten odwrócił się jeszcze w progu i wskazując w stronę pokoju szepnął:

– Nie spartol pan tego, kolego…

W izbie było cicho, tylko przez otwarte na oścież drzwi dochodził śpiew ptaków. Staszka wróciła z ogrodu z naręczem łopianowych liści. Spojrzała na syna. Spał, oddychając ciężko, a na czole perliły mu się krople potu. Odruchowo dotknęła głowy Antka. Gorączka trochę spadła. Wzdłuż twarzy, na prawym policzku czerwieniła się głęboka rana po uderzeniu pejczem.

Staszka, tłumiąc płacz, przygotowywała okład z liścia, kiedy w progu pojawił się Marian. Podszedł do łóżka syna i przez chwilę w milczeniu patrzył na śpiącego chłopca. Kiedy spróbował położyć rękę na ramieniu żony, ta szarpnęła się zdecydowanie, a w jej oczach błysnęły złe ogniki.

Cofnął rękę. Usiadł ciężko na krześle i wpatrzył się w podłogowe deski.

– To wszystko twoja wina – Staszka zaczęła swoją codzienną mantrę. – Namieszałeś mu w głowie i teraz masz. Dobrze, że go nie zabił – jej głos załamał się nagle. Oczyma pełnymi wyrzutu i łez spojrzała na ślubnego. Ten siedział, milcząc, tylko pięści zacisnął, aż kłykcie zupełnie zbielały.

Oboje równocześnie odwrócili głowy, bo w drzwiach pojawił się szczupły chłopiec z czarną, gęstą czupryną.

– Ja… – zaczął niepewnie. – Ja chciałem się dowiedzieć, jak czuje się Antek.

– Jak się czuje?! – wybuchnęła Staszka – A o tak! – ruchem głowy wskazała łóżko i leżącego w niej syna. – To przez te wasze głupie zabawy!

– Proszę pani, ja znam Antka dopiero od niedawna. Co się właściwie stało?

– A to nie powinno cię obchodzić – odezwał się nagle Marian. – Twój ojciec pracuje dla nich, macie z tego pieniądze. Nie wiem, czego tu szukasz. – Popatrzył na Florka nieco łagodniej. – Nic do

ciebie nie mamy, ale lepiej już idź. Chłopakom powiedz, że Antek jeszcze słaby, ale wyliże się.

Florek wyprostował się. W jego postawie można było wyczuć urażoną dumę i godność.

– Pan nic nie wie – zwrócił się do Mariana. – Mój ojciec został dziś rano aresztowany.

Kolejny cios w głowę pozbawił go przytomności. Bugaj spadł z krzesła. Leżał teraz na podłodze pokoju przesłuchań w podziemiach kamienicy przy Schlessien Strasse. Z jego ust sączyła się wąska strużka krwi.

Knabe trącił butem leżącego. Pochylił się, dotknął szyi Bugaja i zwrócił się do opasłego, ubranego w zakrwawiony podkoszulek i spodnie od munduru czterdziestolatka:

– Tym razem przesadziłeś. On nie żyje.

Błękitne jak chabry oczy gestapowskiego siepacza nie wyrażały żadnych uczuć.

Knabe wyprostował się i obciągnął mundur. Teraz należało się spieszyć. Polecił grubemu Paulowi usunięcie ciała i wyszedł z pokoju. Wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. Wyszedł na zalaną słońcem ulicę i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie. Telefon, który zamierzał wykonać, miał być ostatnim elementem precyzyjnego planu.

Karl wsparł głowę o blat stołu i siedząc w niezbyt wygodnej pozycji, trwał w półdrzemce, z której wyrwało go dopiero pukanie do drzwi.

W odpowiedzi na głośne „proszę” do pokoju weszła Emma, służąca w kobiecym oddziale Bund Deutscher Mädel. Wraz z czterema koleżankami mieszkała na drugim piętrze tej samej kamienicy. Znał ją z widzenia jeszcze sprzed wojny – dziewczyna chodziła do gimnazjum w Mistelbach i często spotykali się w drodze do szkoły.

– Mam dla ciebie list od ojca – powiedziała cicho, wyciągając w stronę Karla rękę z białym prostokątem. – Kiedy byłam ostatnio w domu, przyjechał na rowerze, dał mi go i poprosił, żebym oddała ci do rąk własnych. To chyba coś ważnego.

Karl zerwał się z krzesła, bez słowa wziął list, rozerwał byle jak kopertę i zaczął szybko czytać. Przerwał na moment, mruknął pod nosem coś na kształt podziękowania i wrócił do lektury. Dziewczyna z lekkim uśmiechem wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

*Synu* – pisał Wolfgang Schuster. – *Doszły mnie słuchy, że Twoim dowódcą jest hauptmann Georg von Knabe. Odwiedził nas kiedyś w Staatz i byliśmy z matką tym zaskoczeni. Muszę zatem ostrzec Cię przed nim i dlatego list ten przesyłam Ci za pośrednictwem Emmy Friedke, której rodzinę znam od dawna i uważam za godną zaufania. Z Georgiem służyłem w jednym oddziale podczas Wielkiej Wojny. To kanalia, o jakiej świat nie słyszał, niegodna, aby nazywać ją oficerem czy tym bardziej patriotą. Był zamieszany w szwindle związane z budową grobów dla poległych w bitwach żołnierzy. Knabe wraz z kilkoma innymi zlecali budowanie tych grobów z podlejszych materiałów, często też nie płacili robotnikom. A jak który wykłócał się o pieniądze, zaraz znikał bez śladu. Mieli nawet taką organizację czy grupę, nazywali ją „das Skelett".*

*Strzeż się zatem Knabego, to człowiek niebezpieczny i bezwzględny, patrzy tylko swojego interesu i Bóg raczy wiedzieć, ile istnień ludzkich ma na sumieniu.*

*Kończę już to pisanie, matka i Hermine Cię całują, niech Cię Bóg prowadzi.*

*Ojciec*

Zbliżała się dziesiąta wieczorem. Tym razem patrolowali nadrzeczny rewir we dwóch. Rozmawiali półgłosem. Tematem był głównie futbol. Helmut był pod wrażeniem gry Luftwaffen-Sportverein Boelcke Krakau. Wspominał również zawody piłkarskie rozgrywane na stadionie Juvenii i finałowy mecz nieistniejących formalnie klubów Wisły i Cracovii. Rozwodził się nad techniką i szybkością prawoskrzydłowego Władysława Giergiela. Opowiadał właśnie Karlowi o mistrzostwie Niemiec zdobytym w 1933 roku przez piłkarzy Fortuny Düsseldorf, omijając skrzętnie powód, dla którego uczestniczył w tym sportowym wydarzeniu na stadionie w Kolonii, kiedy uwagę Karla zwrócił jakiś ruch w przydrożnych krzakach. Spojrzał porozumiewawczo na Helmuta, a ten natychmiast zrozumiał jego intencję. Niemal równocześnie zdjęli z ramion

karabiny i odbezpieczyli je. Poruszając się w ciemności po omacku, wolno zbliżali się do kępy wysokich krzewów.

Kiedy podeszli bliżej, coś szurnęło im pod nogami. Poznali kunę – nocnego drapieżnika. Sekundę później wieczorną ciszę przerwał strzał oddany gdzieś z tyłu. Karl patrzył z przerażeniem, jak kompan, wygiąwszy się nienaturalnie, pada na ziemię. Machinalnie przylgnął do wilgotnej trawy. Znów cisza pozbawiona najcichszego choćby szelestu. Podczołgał się do miejsca, gdzie upadł Helmut. Sprawdził puls. Żołnierz Wehrmachtu, kibic Fortuny i perfekcyjny włamywacz w jednej osobie był martwy.

Kiedy Karl próbował wstać, padł drugi strzał. Poczuł ostry ból w uchu i na powrót przyjął pozycję horyzontalną. Zrozumiał, że jest w potrzasku. Rozejrzał się wokoło. Nic nie wskazywało na czyjąś obecność, a jednak ktoś tam był. Był i właśnie urządził sobie polowanie.

Ucho krwawiło, ale Karl myślał wyłącznie o tym, jak wyrwać się z nieoczekiwanej opresji. Nagle usłyszał cichy szmer. Ktoś zbliżał się od strony rzeki. Ciemny kształt zamajaczył na tle nocnego nieba, by zaraz zniknąć w zaroślach. Przez chwilę zastanawiał się, czy ruszyć jego śladem, ale uznał operację za zbyt niebezpieczną.

Schowani w rozłożystych gałęziach wysokiego dębu dwaj chłopcy obserwowali z góry całą sytuację. Widzieli, jak młody człowiek o szybkich, sportowych ruchach usadowił się w przybrzeżnych zaroślach. Przez dłuższą chwilę majstrował przy broni z długą, lśniącą lufą, a potem zająwszy pozycję leżącą, znieruchomiał.

Po kilkunastu minutach zauważyli dwie sylwetki żołnierzy idące od strony Kujawskiej. Rozmawiali cicho – właściwie jeden z nich mówił, a drugi potakiwał tylko głową, wtrącając pojedyncze słowa. Kiedy zbliżyli się, Antek rozpoznał w nim swojego oprawcę. Nerwowo potarł policzek, na którym czerwieniła się kilkucentymetrowa szrama. Szturchnął lekko Florka.

„To on” – bezgłośnie wypowiedziane dwa krótkie słowa i jakby w odpowiedzi ściśnięty we Florkowej dłoni kozik z długim ostrzem i rzeźbioną rękojeścią. Dwie pary oczu, przebijając się przez ciemność, śledziły każdy ruch idących.

Żołnierze nagle zatrzymali się, odbezpieczyli broń i skradając się, podeszli do przydrożnej kępy krzaków. Spod nóg smyrgnęła przestraszona kuna. W tym samym momencie ciszę rozdarł głośny strzał. Jeden z żołnierzy padł na ziemię, drugi zniknął w trawie.

Chłopcy znieruchomieli. Wyraźnie słyszeli bicie swych serc. Tymczasem jeden z leżących podczołgał się do kolegi, ale tamten nie okazywał oznak życia. Gruchnął drugi strzał, a Antek i Florek aż poskoczyli na gałęzi.

Jeszcze kilka minut i strzelec wstał. Trzymając przed sobą broń i kryjąc się w wysokich zaroślach, oddalił się w stronę Racławickiej. Po chwili wstał i żołnierz. Także i on poruszał się z największą uwagą.

Stał teraz obok drzewa, dokładnie pod nimi. Spojrzeli na siebie i jednocześnie skoczyli w dół.

# Outro

Ja spadłem prosto na plecy tego żołnierza. Był tak zaskoczony, że wypuścił z dłoni karabin – dziewięćdziesięcioletni Antoni Konik uśmiechnął się do Kornela. Na prawym policzku starca widoczna była kilkucentymetrowa, biała szrama. – Florek wylądował tuż obok, zamachnął się i znokautował Niemca. Ten upadł, a Bugaj zaszedł go od tyłu i poderżnął mu gardło kozikiem. Kiedy się wykrwawiał, zakryliśmy mu usta czapką, żeby nie krzyczał. Pamiętam, zwymiotowałem wtedy w krzaki…

Siedzieli w ogródku piwiarni przy Czarnowiejskiej. Rączy zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i spojrzał uważnie na rozmówcę.

– Nie ujawnialiście się przez tyle lat…

– Tej nocy przysięgliśmy sobie dozgonne milczenie. Zresztą Florek nie doczekał końca wojny. Zdążył wyeliminować kilku szkopów, doprowadził też do denuncjacji kreta w szeregach AK, niejakiego Władysława Zachara, współsprawcy śmierci ojca. Wpadł na ulicy przy rozdawaniu ulotek na krakowskich Plantach. Podobno zanim go ujęli i zamęczyli na Pomorskiej, zdążył jeszcze złamać szczękę jednemu z gestapowców.

– A kiedy dowiedział się o śmierci ojca, inżyniera Bugaja?

– Kilka dni po niej. Dziewczyna sprzątająca w katowni Gestapo, zresztą nasza sąsiadka, poznała skatowanego, kiedy pakowali go wraz z innymi zamordowanymi do ciężarówki i gdzieś wywozili. Niestety nie wiadomo do dzisiaj, gdzie spoczęły jego prochy. Młody Bugaj pałał chęcią zemsty, chciał zabijać Niemców, a mnie to wtedy cholernie imponowało. Stąd wziął się pomysł, aby napaść na tego, który tak mnie potraktował – pan Antoni przesunął palcem po policzku. – Florek był bardzo silny jak na swoje szesnaście lat, no i wcześniej trenował boks w Wiśle.

– Jak to się stało, że szkielet jednego z żołnierzy znalazł się tak daleko od miejsca zgonu, a drugi zniknął?

Stary Konik uśmiechnął się chytrze.

– Tamtej nocy wywieźliśmy oba ciała konnym wozem aż na tereny Czarnej Wsi, oddalone od domostw, żeby w razie czego nie zrobić komuś niedźwiedziej przysługi. Wykopaliśmy dół i wrzuciliśmy je tam. Potem wszystko zakopaliśmy. To prawdziwy cud, że nie zauważył nas żaden niemiecki patrol, ale oni rzadko poruszali się nocami. Niemniej jednak taka akcja, grubo po godzinie policyjnej, była śmiałym wyczynem.

– Niemcy nie szukali swoich żołnierzy, którzy nagle zniknęli?

– Na początku szukali, spodziewano się nawet represji na okolicznych mieszkańcach, ale ostatecznie sprawa przyschła. Podobno w dowództwie odkryto jakieś szwindle i może niektórym oficerom było nawet na rękę zniknięcie tych dwóch. To wiązało się z przetargami na budowę tak zwanej Deutschviertel, czyli niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej. Aresztowanie kilku szefów firm budowlanych, w tym Bugaja, było spowodowane ich protestami przeciwko korupcji w polityce przetargowej. Wszystkim kierował niejaki Knabe.

– A kto zastrzelił pierwszego z żołnierzy?

– Tego prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy. Moim zdaniem to był wynik tych właśnie porachunków, ale czy na pewno? Jeszcze przed wycofaniem się Niemców w styczniu czterdziestego piątego Knabe jakby zapadł się pod ziemię… Gdzieś chyba czytałem, że wraz z kilkoma innymi udało mu się przedostać do Argentyny. Pewien historyk, znawca biografii nazistów, utrzymywał, że ciało Knabego wyłowiono z Tybru. Widocznie chciał on odpłynąć za ocean z Włoch, ale coś poszło nie tak… Tak czy siak, biorąc pod uwagę upływ czasu, z pewnością już nie żyje. Dzisiaj miałby przecież ze sto trzydzieści lat…

– Proszę mi wytłumaczyć jeszcze jedno. Jeśli zwłoki obu żołnierzy zakopaliście w jednym miejscu, to dlaczego odnalezione szczątki są niekompletne: jedna czaszka, jedna ręka, ale palce kilku dłoni, dwie nogi, ale każda należąca do innego ciała, niekompletne żebra…

Pan Antoni nie odniósł się w ogóle do tego pytania. Westchnął tylko ciężko i wolno wstał z krzesła.

– Muszę już iść, mam umówioną wizytę u lekarza w przychodni na Galla. Niedługo mają wymieniać mi rozrusznik serca – poklepał się lekko po lewej piersi i cicho, ledwo słyszalnie zaśpiewał: – Siekiera, motyka, bimber, szklanka…

Kornel uśmiechnął się szeroko. Zrozumiał, że właśnie otrzymał odpowiedź na ostatnie pytanie. Wykonał w powietrzu ruch imitujący krojenie. Pan Antoni kiwnął twierdząco głową.

– Paliło się w piecu, zostały tam sadze… – zanucił znowu z tajemniczą miną.

Finał rozmowy odbył się w szczególnej, śpiewanej konspiracji i Rączy nie posiadał się z radości.

– A co stało się z Cezarem? – Kornel postanowił wykorzystać sprzyjającą sytuację i wypytać Konika o wszystko.

– Cóż… W pewnym momencie przestał się pojawiać. Mówiono, że zastrzelili go Niemcy. Nie podobały im się jego piosenki.

– Bardzo panu dziękuję, że zdecydował się pan opowiedzieć to wszystko właśnie mnie.

– To nie przypadek. Przez wiele lat czytywałem pana teksty o dzielnicy i muszę przyznać, że były bardzo interesujące. Ale ostatnio nie publikuje pan w lokalnej prasie.

– No cóż – Rączy uśmiechnął się szeroko. – Nic nie trwa wiecznie. Zrezygnowano z moich usług, a ja przeniosłem się do sieci.

– Tak, tak… – Konik wsparł się na pięknie inkrustowanej główce laski. – Złych i głupich ludzi nie brakuje w żadnych czasach. Powodzenia!

Kornel patrzył, jak zgarbiona sylwetka znika za załomem kamienicy. Przysiągłby, że pan Antoni, idąc, zanosi się cichym, starczym i nieco w tej sytuacji demonicznym śmiechem. Odprowadził go wzrokiem i spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Miał kwadrans do umówionego spotkania z Ingrid. Trzy emotikony w kształcie czerwonych serduszek przesłane przez nią SMS-em wprawiły go w dobry humor.

Przeglądnął lokalną prasę. Zwrócił uwagę na spory artykuł ze zdjęciem, na którym wyprężony do granic możliwości, odziany w

galowy mundur podkomisarz Łukasz Krępowicz przyjmuje od prezydenta miasta odznaczenie za walkę z przestępczością. Podpis pod fotografią stanowił dość nachalną laudację dla komendanta. Rączy wzdrygnął się i z lekkim obrzydzeniem położył na stoliku płachtę gazety.

Dopił piwo i wyszedł na Czarnowiejską. Skręcił w Urzędniczą, potem w Lea. Na skrzyżowaniu z aleją Kijowską wznosił się szkielet powstającego w szybkim tempie apartamentowca. Doliczył się siedmiu kondygnacji.

Dalsze jego myśli zagłuszył skutecznie hałas budowlanych maszyn.